NINO SALVANESCHI ·



ŻAL SZOPENOWSKI



CHROSTOWSKI

TRZASKA, EVERT i MICHALSKI · WARSZAWA

ŻAL SZOPENOWSKI

NINO SALVANESCHI

ŻAL SZOPENOWSKI

PRZEKŁAD I OPRACOWANIE
EWELINY RADOMSKIEJ

NAKŁADEM TRZASKI, EVERTA I MICHALSKIEGO
WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 13. GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

OKŁADKA — DRZEWORYT BARWNY
ST. O. - CHROSTOWSKIEGO

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

Droga Pani i Przyjaciółko,

Kiedy powstała we mnie myśl napisania książki o Fryderyku Szopenie, nie przypuszczałem, aby mogła ona tak prędko zawitać do Polski. Kochałem autora Nokturnów od lat, może od najwcześniejszej mojej młodości; przeczulona wrażliwość i jakieś nieokreślone i nieukojone wewnętrzne wzburzenie pozwalało mi wchodzić w bliski kontakt z jego twórczością. Nie jestem muzykiem, ale wzrusza mnie ona głęboko. W pewnych romantycznych godzinach widziałem wyraźnie odbicie duszy mojej w Preludiach Majorskich.

Wyznałem Pani w naszych długich rozmowach o Szopenie, że w muzyce Jej Wielkiego Rodaka znalazłem te tajemnicze skrzydła, które unoszą ducha poza, niedostępne zazwyczaj, granice horyzontu rzeczywistości, kołysząc go na falach ideału.

Lecz nie wyznałem Pani, że w tych lazurowych przestworzach odzyskałem spokój konieczny, ażeby móc kroczyć, ja, człowiek dotknięty ślepotą, po szlakach życia zmuszających do stałej walki.

Kiedyś, podczas ulewnego deszczu w Certosa di Valdemosa zrozumiałem wyraźnie, jak wiele zawdzięczam muzyce Szopena, odzwierciedlającej je-

go udrękę. I zapragnąłem wyrazić Mu moją wdzięczność, pisząc o Nim książkę.

Pamięta Pani, z jaką sympatią przyjęła publiczność włoska tę właśnie książkę? Była Pani na niejednym z 40-tu odczytów o Szopenie, które wygłosiłem w wielu miastach mojej ojczyzny, oddając w ten sposób skromny hołd pamięci waszego wielkiego kompozytora.

Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy wyraziła Pani nagle życzenie przełożenia na mowę ojczystą Szopena tej książki o Nim. Wyraziłem nawet pewne wątpliwości, ale Pani, Droga Przyjaciółko, tak życzliwie i przekonywająco broniła tej sprawy, że z radością oddawałem całkowicie losy książki w Jej ręce.

Zrozumiałem od razu, że rola Pani, jako spółpracowniczki mojej, będzie znacznie większa, niż się to zdawać mogło początkowo. Przyjaźń nasza, zrodzona pod znakiem Szopena, stała się tym bliższą i głębszą. Poprzez swą wielką intuicję, wyczucie artystyczne i zrozumienie muzyki Szopena, odzwierciedlającej jego udrękę, wniknęła Pani głęboko do serca mojej pracy.

Tak być musiało. Aby się ukazać przed polską publicznością, książka skromnego pisarza włoskiego o wielkim muzyku polskim musiała dostroić się do duszy polskiej. To się właśnie stało za pośrednictwem Pani i za tą piękną i delikatną pracę, rad jestem, w chwili gdy się książka ma ukazać w Polsce, wyrazić Pani, Droga Przyjaciółko, moją wdzięczność.

Nasze imiona, złączone pod promiennym znakiem Szopena, będą świadczyły o tym, że obie nasze Ojczyzny łączą się w oddaniu hołdu Wielkiemu Ambasadorowi Polski, Fryderykowi Szopenowi, piewcy wszelkich ideałów ludzkości.

Nino Salvaneschi

Turyn, 18 października 1938 r.

O D A U T O R A

Trzy dni już trwa ulewa. Istny potop. Kto nie był podczas tych nawałnic na Majorce, z trudem je sobie wyobrazi. Zda się, że cała Valdemosa tonie; zda się, że morze rykiem powolnym i głębokim wzywa ją do tajemnych otchłani. Valdemosa odpowiada rozwichrzonymi grzywami cyprysów, a sosny, dęby, drzewa oliwne, migdały i palmy łączą swe głosy w jeden wielki chór.

Z nieba poprzez chmury, co galopują pędzone porywami wichru, jakiś ptak morski zabłąkany w burzy woła. A deszcz z gwałtownym pluskiem spada na dach Cartuji. Turyści nie przychodzą w taką niepogodę. Nie ma też żadnego samochodu przy bramie Certosy, ani przed celą Szopena i George Sand.

Kościół św. Brunona jest pusty. Wilgotne i milczące kurytarze klasztoru czekają, rzekłbyś, na niechybne przyjście śmierci. Czy przyjdzie z Patio de los mirtos? Ukaże się może w małych drzwiach apteczki Szopena? Czy zstąpi ze starego cmentarzyska mnichów, niknącego w oleandrach, cyprysach i karłowatych palmach, gdzie jakiś nieszczęsny szaleniec próżno złorzeczy dziś niebu?

Z ogródka przy celi unosi się cierpki zapach setek kwiatów schłostanych przez ulewę, a z nizin oddech spokojny wielkiego lasu tysiącletnich drzew

oliwnych. Cartuja nie odzywa się żadnym ludzkim głosem. Oderwana prawie od starego klasztoru Kartuzów z XV wieku, zatopiona przez deszcz i kołysana wichrem cela, w której Szopen sto lat temu przeżywał swoją tragedię, należy zda się do nieskończoności.

Pod rozetą na ścianie, tam gdzie stało łóżko Szopena, stoi obecnie fortepian majorskich Preludiów: otwarty, ale niemy. Jak gdyby czekał... Na cud może. Kto wie: przywołany tęsknotą bliskich mu rzeczy, smutkiem rozpaczliwym tej godziny, co przygniata ziemię, zbudzony deszczem ulewnym, który ongi wywołał u niego dreszcze, majaczenia i kaszel, Szopen, w bez zarzutu skrojonych, jasnopopielatych spodniach, najmodniejszej aksamitnej kamizelce, idealnie ogolony i uczesany, blady, z gorączkowymi oczyma i spalonymi usty, trzymając w ręku jakby z kości słoniowej różę Marii i wstążkę Konstancji, powróci może?

Zmierzch. To jego godzina. Pada wciąż deszcz, jak gdyby niebo chciało swymi łzami przeniknąć jak najgłębiej do serca wszelkich rzeczy i stworzeń. Może to ten deszcz, który żyje w jego Preludiach?

Słychać śmiech dziecka w podwórzu, gdzie był dawniej cmentarz klasztorny. Z daleka dolatują dźwięki gitary. W przerwach słabnącego nagle deszczu zaśpiewał ptak. I oto słońce, jak przebłysk nadziei, żegna w pogodnym rozjaśnieniu Valdemosę. Takie chwile radosnego rozpromienienia mają wieczorem suchotnicy. W tej celi słychać dotąd oddech gorący i chory Szopena.

Jakież może mieć obecnie znaczenie nie uzgodniona opinia co do celi jego w Valdemosie? Czy miała numer drugi, czy piąty? I jakie może mieć także znaczenie, czy Preludium deszczowe to jest właśnie to szóste, ósme czy piętnaste? W każdym z nich żyje jego żal, i wszystkie cele, jak rozwarte trumny, przechowują jego tajemnice.

„Tu chory na śmierć napisał rajską muzykę i dał fortepianowi głos nieskończoności" — mówi George Sand. „Tu posługiwał się sztuką, ażeby sobie samemu dać własną tragedię" — pisał Franciszek Liszt. Aleć nie ma zdobyczy bez cierpienia i nie osiąga się nieskończoności bez tragedii. W klasztorze Kartuzów w Valdemosie Szopen za Hamletem powtarza: „Przeznaczenie woła".

Dlatego to podczas tego jesiennego, dżdżystego zmierzchu, widzę go tak wyraźnie przy tym fortepianie majorskim, wsłuchanego w rytm swego chorego serca i płuc zranionych, pytającego swe biedne dwadzieścia ośm lat znękanych miłością, życiem i cierpieniem, o istotną prawdę swego bólu. W Valdemosie w roku 1838 wołała nań, z nieskończoną tęsknotą poprzez wszystkie uczucia do rodziny i przyjaciół, daleka, umęczona ojczyzna, a wspomnienia o Konstancji Gładkowskiej i Marii Wodzińskiej nawiedzały go co wieczór. Tu rozczarowania i starcia z George Sand znaczyły godziny każdego dnia, a gorycz, bunt, pogarda, milczenie, samotność, gorączka, pragnienia, żale i majaczenia, które towarzyszyły chorobie, tkwią jeszcze w atmosferze tej celi. Tu się usunął, gdy ludzie nie chcieli

podawać mu ręki w obawie przed zarazą, gdy mu spalili łóżko w willi „Sont Vent", żeby nie rozsiewał po wyspie suchot. Tu poczuł się więźniem ziemi i ludzi, ale też synem nieba i nieskończoności. Ten oddech gorący, te milczące zmory, ta tęsknota za wielkością losu, wszystko to jest zawarte w jego Preludiach. Szopen żyje bardziej w Valdemosie niż w siedmiu apartamentach paryskich i może intensywniej niż w kościele św. Krzyża w Warszawie, gdzie, nareszcie ukojone, spoczywa jego serce. W Valdemosie przeznaczenie kładzie mu rękę na ramieniu, aby zrozumiał, czym jest właściwie jego rana, i śpiewał z miłości i bólu dla dusz, które staną twarzą w twarz wobec życia.

I ja tu właśnie przybyłem, aby do tej mojej książki ostatnie dodać słowo.

Nie jest to rozbiór muzyczny jego dzieł: niezdolny byłbym do tego. I po co? Muzyka Szopena to dla mnie odblask życia jego, echo jego wewnętrznej burzy.

I tylko to jest ważne. „Sztuka była środkiem do wyrażenia jego tragedii". Trzeba się zbliżyć do jego tragedii, aby poznać głębiej jego sztukę.

Książka ta nie ma być również zimnym życiorysem, przeglądem szczegółowym wszystkich godzin i dni jego. Mniej jeszcze romansowaną biografią, gdzie fantazja tego co pisze poprawia, zbacza i przeistacza, zgodnie z własnym upodobaniem fakty, rzeczy, osoby i namiętności.

Starałem się przystąpić do Szopena z pełną szacunku miłością dla jego zbolałej duszy. Pokochałem

go cierpiącego i chorego. Tak też najbardziej jest mi bliskim, z tymi łagodnymi suchotami, które go przez długie dziesięć lat trawiły, kołysząc od nadziei do rozpaczy, popychając go wolno ku nieskończoności, darząc go tęsknotą do niebios, których już łaknął poprzez ideały swej pierwszej młodości.

Zresztą nie zawsze autor wybiera swój temat. Przynajmniej ze mną to się nie zdarza: to temat porywa i pochłania mnie. Od dawna już myślałem o Szopenie, ale dopiero w Valdemosie odczułem cały ból jego i zrozumiałem jego twórczość.

Ta książka nie jest więc przeznaczona dla muzyków, tylko dla wszystkich miłujących, tęsknych i smutnych dusz, siostrzyc jego duszy.

Jest to raczej wykładnia poufna przeznaczenia Szopena, którego głos zawsze słychać poprzez jego muzykę.

Właściwie chciałem tylko powiedzieć, za co go kocham, i niechaj miłość mnie z tej winy rozgrzeszy.

Cartuja di Valdemosa, jesień 1933.

N. S.

OKRES PIERWSZY

„Ja już, na moje nieszczęście,
mam mój ideał"...

Z listu Szopena do Tytusa Woyciechowskiego.

Pierwszy okres życia Szopena ma wartość jakby wtajemniczenia wewnętrznego. W tym okresie rzec można budzi się w duszy to, co jest wieczne.

Dlatego też, kiedy pisze do swego przyjaciela Tytusa Woyciechowskiego „ja już na moje nieszczęście mam swój ideał", przeczuwa nieokreślonym zmysłem wróżbiarskim swoją prawdę.

I nie wiedząc ani jak, ani kiedy, ani dlaczego, oddaje się temu cierpieniu, poprzez które rzuci świetlany obraz swego „ja" na nieśmiertelną swoją muzykę.

Po słodkim okresie dzieciństwa, po pierwszych koncertach, po objawieniu muzycznym w Zullichau i Wiedniu, po wykryciu swego wewnętrznego „daimona", po pierwszej miłości do Konstancji Gładkowskiej, mając lat dwadzieścia żegna swój dom, którego już nigdy nie zobaczy.

Urodził się 22-go lutego 1810 roku w Żelazowej Woli pod Warszawą, opuścił kraj 1-go listopada 1830 roku w pogoni za swoim marzeniem i sławą dla ojczyzny.

PRZEZNACZENIA I SYMFONIE

Każda dusza, to rytm. Każdy rytm, to przeznaczenie. Każde przeznaczenie, to symfonia życiowa. Badać czyjeś życie oznacza wyczuć rytm jego, tłumaczyć przeznaczenie i analizować poszczególne części jego symfonii. Bo każde życie rozwija w rozmaitych tonacjach minorowych lub majorowych zasadnicze motywy własnego przeznaczenia.

Oto ku czemu służą żywoty bohaterów, geniuszów i świętych.

Poprzedzając ludzkość na wielkich drogach wiodących do ideału, przez swą twórczość i myśl, przez czyn i cierpienie, oświetlają równinę, gdzie my stawiamy nasze kroki, pobudzają nasze zwykłe namiętności, pomagając nam swym przykładem do zindywidualizowania punktów newralgicznych naszego własnego przeznaczenia.

Poza tym wszystko jest czcze. Idziemy wraz z trzodami dusz, należąc do tego lub innego ugrupowania, zawsze w towarzystwie niewidzialnego anioła, strażnika rozmaitych rzek ludzkich przeznaczeń. A wszystkie te rzeki płyną do tego samego ujścia, choć po innych łożyskach, i choćby napotykały niejednakie przeszkody i zapory, płaszczyzny i doliny, do tej samej dojdą mety.

Bo żywoty to są potoki i rytmy. Każdy porusza

się na rozmaitych, odrębnych płaszczyznach, po rozbieżnych drogach, mierząc się z trudnościami wedle sił własnych, wyzwalając wibracje sympatyzujące i prądy pokrewne innym duszom dalekim i bliskim w czasie i przestrzeni. Niezmierzona karawana dusz ciągnie wciąż swój epiczny pochód przez wieki. Odłączają się tylko od czasu do czasu, dla uwypuklenia walk, namiętności i cierpień, dusze bohaterów, geniuszów i świętych, którzy przez swe istnienie dochodzą do syntezowania jakiejś głębokiej, wnętrznej prawdy.

Tę oto prawdę musimy poznać poprzez rytmy każdego życia.

Każdy człowiek spotyka swe przeznaczenie. A nazwałbym przeznaczeniem reakcję, która tworzy się pomiędzy duchem i doświadczeniami na naszej drodze. A że pomiędzy jednym człowiekiem a drugim jest większa różnica niż pomiędzy kamieniem a gwiazdą, toteż i przeznaczenia mają różnorodne oblicza i kierunki. Symfonie majorowe i minorowe. Pozorne takty i zaledwie zaznaczone akordy. Sola, duety i chóry. Głos jeden, dwa, i wielka harmonia świata.

Na ogół można podzielić symfonie życiowe na cztery części: Adagio dzieciństwa, allegro con fuoco młodości, crescendo wieku dojrzałego i rallentando ostatnich lat. A motywami będą zawsze miłość i cierpienie, wieczyste rytmy tego świata.

Istnieją symfonie romantyczne, bohaterskie i tragiczne: tkanina ich nie jest jednaka. Ale nad każdą symfonią panuje zawsze jeden „leitmotiv". I oto

Zbiory Stowarzyszenia I.F.C.
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA W WARSZAWIE BIBLIOTEKA

zdarza się często, że cierpienie pochłania oderwany i zatracony motyw miłości, unosząc symfonię w królestwo przemienień symbolicznych.

W każdym więc życiu, któremu chcemy się przypatrzeć, choćby ono było kruche i ubogie, musimy wyszukać te zasadnicze motywy miłości i bólu, które zapładniają jego przeznaczenie, nadają koloryt, ton i wzniosłość rozmaitym częściom symfonii życiowej. Jeżeli nie zdołamy w żaden sposób wykryć tonów, z których składa się motyw przewodni danego życia, nie możemy rzec sumiennie, że je znamy i osądzamy słusznie.

Niestety codzienne przyspieszone tempo życia naszego obecnego przyzwyczaja nas do sądzenia bez poznania.

Niektóre życia mają zaledwie zarysowane wytyczne linie i trudną jest rzeczą odnaleźć takowe pod zawikłanym splotem zdarzeń szarych, zimnych i bezbarwnych. Dlatego też, aby zrozumieć ubogie i ciemne przeznaczenia, trzeba przyzwyczaić się do analizowania przede wszystkim tych, które są wielkie i pełne chwały.

Istotnie, gdy chodzi o życie bohatera, geniusza lub świętego wszystko wydaje się jasne: motywy miłości i bólu ukazują się jak linie rzucone mistrzowską ręką, czyli że akcja, twórczość i myśl stają się jakby zmaterializowanym urzeczywistnieniem drgań tych szczytnych dusz. Zbliżyć się do tych żywotów bohaterskich, komentować je, oznacza w następstwie na mniejszą skalę, miarę i rytm móc rozumieć i są-

dzić tyle innych istnień zabłąkanych na manowcach i spowitych w mroku.

I oto jak chciałbym analizować Fryderyka Szopena: odszukiwać w jego życiu, poprzez listy jego i tych, którzy mu byli bliscy, zasadnicze rytmy jego ducha i dzieląc symfonię jego życia na części odnaleźć w każdej z nich jego przeznaczenie, odzwierciedlone w nieśmiertelnej muzyce.

Są życia, w których przeznaczenie ukazuje od razu, władczo swe oblicze. Otwiera na oścież drzwi i okna i zajmuje całą scenę. Istnienia, w którym przeznaczenie kołacze do bram wyraźnym, przejrzystym i nalegającym uderzeniem Piątej Symfonii Beethovenowskiej. Przeznaczenie to majorowe, boć sam, bez przyjaciół, zatruty samotnością, Beethoven pisze testament z Heiligenstadtu, bierze za gardło przeznaczenie swoje i rzuca okrzyk „Durch Sturm empor", „Poprzez burzę wzwyż".

Lecz postawa olbrzyma z Bonn onieśmiela Fryderyka Szopena, który nie był stworzony dla huraganów. Inną jest jego minorowa symfonia, w której przeznaczenie nie wpada z wściekłością wichru, jeno z powiewem wiatru. Są żywoty, w których przeznaczenie jakby się bało ukazać od razu swe oblicze. Obserwując życie Szopena rzekłbyś, że idzie ono za nim krok w krok z Warszawy do Wiednia, Stuttgartu, Paryża i Drezna, na Majorkę, do Londynu i Szkocji, kładąc mu od czasu do czasu rękę na ramieniu i mówiąc: „Pamiętaj: oto jestem tu zawsze wraz z Twą ojczyzną zranioną, Konstancją, Marią

i George Sand, neurastenią, wyrzeczeniem się miłości i chorobą. Jestem istotnym panem Twoim. Nie chcę, byś cierpiał za wiele, ale cierpieć musisz koniecznie, aby dusza Twoja śpiewała".

Oto tajemne prawo wybranych dusz.

Tylko samotny i głuchy Beethoven mógł napisać swoje symfonie. I tylko po zawodach miłosnych i załamaniu się zdrowia mógł Szopen napisać swoje Preludia. Bo prawo jest zawsze jedno: *Nie masz zdobyczy bez cierpienia.*

CZTERY OKRESY ŻYCIA SZOPENA

Dla uwypuklenia w każdej części symfonii życiowej Szopena roli przeznaczenia nie wydaje mi się słusznym podział, jak się to często robi, życia jego na dwa okresy: pierwszy od urodzenia do wyjazdu z Warszawy w roku 1830 i drugi, który zawiera intermezzo wiedeńskie, pobyt w Paryżu, wyprawę na Majorkę, podróż do Anglii, powrót do Paryża i śmierć, czyli lata 1830 — 1849.

Wydaje mi się bardziej wskazane, dla głębszego zrozumienia wewnętrznego rytmu, który rozpromienia jego twórczość, dla nadania imion różnorodnym delikatnym cierpieniom, dla uchwycenia doniosłych chwil budzenia się pierwiastków wiekuistych w duszy, rozpoznania przez nią bólu, który miał się stać jej udziałem, aspiracji jej do tajemnic, które nad nią szybowały, — podzielić życie Fryderyka Szopena na cztery okresy.

Poprzednio jednak istnieje fakt, błahy na pozór, który jakby preludium symboliczne, wskazuje nam na naturę życia jego.

Przeznaczenie lubuje się czasem w takich zapowiedziach. Zjawienie się wyjątkowo wytwornej duszy poprzedzane bywa jakby przez introdukcję rewelacyjną do symfonii, której części poszczególne rozwijać się będą w następstwie. Trzeba szukać nieustannie tych nieśmiałych akordów, łączących wokoło nas rzeczy, postacie i zdarzenia, bodaj ulotne.

Dlatego też skrzypek wiejski, który o szóstej wieczorem dnia dwudziestego drugiego lutego 1810 roku grał rzewne piosenki na ślubie chłopków polskich właśnie pod oknem pokoju, gdzie Justyna z Krzyżanowskich Szopenowa wydawała na świat dziecko, nieświadomie witał Fryderyka Szopena, piewcę nostalgii i zmierzchu, miłości i Polski.

Urodził się o szóstej wieczorem. Ta szara godzina jest jakby symbolem zmierzchu wszelkich umiłowań jego i przedwczesnego zachodu.

Zdaje mi się, że Goethe przez drugiego swego Fausta powiedział: „Wszystko to, co nas otacza, ma wartość symboliczną". Przy naszym życiu dynamicznym, wywrotowym i gorączkowym trudne jest zrozumienie tych tajemnych znaków losu, a jednak należałoby umieć odczytywać je już w zaraniu życia.

Po tym preludium symbolicznym oto według mnie cztery okresy symfonii życiowej Szopena.

Pierwszy od roku 1810 do 1 listopada 1830, kiedy to opuścił Warszawę. W tym okresie dusza Fryderyka wchodzi w posiadanie swego wewnętrznego „daimona".

Okres drugi: od intermezzo wiedeńskiego czyli lat 1830—31 aż do 1837, kiedy dusza jego nabywa dwa pierwiastki swego przeznaczenia: tęsknotę do ojczyzny i zawód w miłości do Marii Wodzińskiej.

Trzeci okres: od 1838 do 1840; w tych latach po spotkaniu z George Sand i wyprawie na Majorkę poznaje trzeci pierwiastek: chorobę.

Okres czwarty i ostatni: od roku 1840 do 1849. W tym właśnie czasie duch jego nabiera głębokiej świadomości swojej prawdy. Zraniony przez miłość, wzbogacony przez cierpienie, poprzez to samo cierpienie tęskni do nieśmiertelności.

A że miłość była zasadniczym motywem życia Szopena, nie miłość niska i pospolita, ale wyidealizowana przez wyrafinowanie artysty i wrażliwość chorego, postawiłbym te cztery okresy pod znakiem czterech postaci kobiecych: Konstancji Gładkowskiej, Marii Wodzińskiej, George Sand i Joanny Stirling. Kobiety były kwiatami w ogrodzie Szopena, a on subtelnym ogrodnikiem, który się ich zapachem upajał. Lilia z Warszawy, Konstancja słodka i dziewicza; wrześniowa róża, ciemnowłosa Maria Wodzińska; kwiat granatu płomienny i szczodry, George Sand; delikatny angielski fiołek, Joanna Stirling; dwa wytworne storczyki: piękna Delfina Potocka o zmysłowych ustach i księżna Marcelina Czartoryska o białych miłosiernych rękach.

Cierpienie Szopena rozświetlające jego twórczość zdaje mi się być również czworakiej natury: tęskno-

ta do ojczyzny, zawody miłosne, suchoty i pragnienie wieczności.

Trzy pierwsze cierpienia, stapiając się właśnie w klasztorze kartuzów w Valdemosie w jedną ogromną boleść, zdają się chcieć wydrzeć duszę jego, aby rzucić ją w harmonijny świat muzyki, poza granice życia, tam gdzie się to tchnienie boskie czuje, które Fryderyk w zetknięciu z przeznaczeniem swoim już odczuł.

Męka życia i miłości. Męka cierpienia i śmierci. Oto ten rozpaczliwy smutek preludiów i nokturnów, w których odzwierciedla się jego dusza. Dlatego to, pomimo wszelkich nowych formułek, które przyszłość może uznać za modne, muzyka Szopena pozostanie żywa. Zrodzona z miłości i bólu, napiętnowana niepokojem, gorączką i strachem, delikatna jak jego uśmiech, zwierciadło jego cierpień, echo jego milczenia, ta muzyka żyć będzie wiecznie, dopóki jedna dusza będzie szukała drugiej kochającej duszy, dopóki sama nad sobą pochylać się będzie, dopóki tęsknić będzie do nieba.

W muzyce jego jest rytm jego bólu i piętno jego przeznaczenia.

DZIECIŃSTWO „FRYCKA"

Fryderyk Szopen urodził się dnia 22-go lutego 1810 roku w Żelazowej Woli. Co prawda w liście adresowanym dnia 17-go stycznia 1833 roku do Société Littéraire Polonaise w Paryżu oświadczył,

że urodził się 1 marca 1810 roku. Ta data jest potwierdzona w liście pisanym 1-go marca 1851 roku przez Joannę Stirling, Angielkę, przyjaciółkę Szopena, do starszej siostry muzyka, Ludwiki. „Powiedział mi kiedyś: tylko rodzina moja, pewna przełożona pensji i Ty Joanno, wiecie o dniu moich urodzin".

W gruncie rzeczy ścisłość daty nie ma wielkiego znaczenia: gdy się Joannie Stirling zwierzał, dusza jego była pełna tęsknoty, spragniona tkliwości. Tylko epizod symbolicznego powitania geniusza harmonii przez grajka wiejskiego pozostaje jakby wyraźnym znakiem przeznaczenia. Muzyka jest jego gwiazdą zaranną i będzie też gwiazdą zachodnią przez śpiew Delfiny Potockiej.

Przyjrzyjmy się teraz jego rodzinie.

Ojcu było na imię Mikołaj. Pochodzenia francuskiego, przybył z Lotaryngii do Warszawy w roku 1787, aby objąć posadę buchaltera w fabryce tytoniu kierowanej przez Francuza. Po kampanii 1792 roku, którą zakończył w randze kapitana, nie mogąc powrócić do dawnego zajęcia z powodu trudności finansowych i politycznych, ani też do Francji, jakby tego pragnął z powodu stanu zdrowia, ażeby wybrnąć z kłopotów, zaczął dawać lekcje francuskiego. Dostosowując się coraz bardziej do otoczenia polskiego, Mikołaj w roku 1800 został guwernerem syna hrabiny Skarbkowej w Żelazowej Woli, koło Sochaczewa. Tam też poznał zarządzającą domem hrabiny pannę Justynę Krzyżanowską, którą poślubił 2-go czerwca 1806 roku. Mikołaj miał 37 lat,

a Justyna 24. Z ich szczęśliwego związku urodziły się trzy córki i jeden syn: Ludwika, Fryderyk, Izabela i Emilia.

Wszystkie trzy siostry kochały bardzo tkliwie swego słodkiego Frycka.

Ludwika i Izabela posiadały zdolności literackie i pisały dziełka dla dzieci. Fryderyk współzawodniczył chętnie z siostrami w tych turniejach literackich, tak że nawet w roku 1824 redagował pod tytułem „Kurier Szafarski" gazetkę pełną przenikliwych spostrzeżeń, parodiując wielki „Kurier Warszawski". Najmłodsza siostra Emilia, która umarła w czternastym roku życia na suchoty, wykazała znaczne zdolności poetyckie i była już znana z tłumaczenia z niemieckiego, na współkę z siostrą Izabelą, zbioru nowel. Razem też z małą Emilią napisał Frycek komedyjkę wierszem pod tytułem „Omyłka, czyli mniemany filut", po czym, posiadając istotnie niepowszedni dar imitacji, odegrał świetnie rolę ciekawej postaci Burmistrza.

Ludwika, zawsze ogromnie mu oddana, wyszła za mąż za Józefa Kalasantego Jędrzejewicza, profesora prawa administracyjnego; Izabela poślubiła nauczyciela Antoniego Barcińskiego; obie przeżyły Fryderyka. Rodzice umarli: ojciec w 1844 roku na suchoty, a matka w 1861. Tylko mała Emilka i ojciec przed Fryderykiem wyruszyli w wielką podróż.

Dzieciństwo Frycka było pogodne i szczęśliwe. Ojciec powołany na profesora Liceum Warszawskiego opuścił Żelazową Wolę w roku 1810. W latach 1812 i 1815 otrzymał jeszcze posady nauczyciela

w Szkole Aplikacyjnej i Artylerii oraz Inżynierów. Wreszcie aby polepszyć finansowe warunki rodziny, otworzył pensjonat dla zamożnych uczniów. W tym pensjonacie znalazł Fryderyk małych przyjaciół, którzy pozostali mu najwierniejszymi na całe życie: Tytusa Woyciechowskiego, Fontanę i Wodzińskich, braci Marii. O pogodnym charakterze i prostolinijnej naturze, Mikołaj Szopen był znakomitym wychowawcą, szanowanym i kochanym. Hrabia Fryderyk Skarbek, który został profesorem na Uniwersytecie Warszawskim, nie miał po prostu słów pochwały dla swego nauczyciela. A stosunki serdeczne i pomimo wszelkich zmian zawsze ożywione pomiędzy członkami całej rodziny świadczą najlepiej o zaletach tego doskonałego ojca.

Matka Fryderyka była również doskonałą niewiastą. Córka skromnego szlachcica, z rodziny materialnie podupadłej, miała charakter skupiony i łagodny. Pomimo nieco surowych zasad była prosta i serdeczna. Dowiemy się z czasem od George Sand, jak Fryderyk uwielbiał Matkę — „swoją jedyną miłość".

I tak oto w atmosferze wielkiej kobiecej tkliwości, pomiędzy Matką i siostrami, mały Frycek żył jakby kwiat cieplarniany. Dlatego może, jak mówił Franciszek Liszt, wyobraźnia Fryderyka miała tę delikatną, aksamitną powłokę kwiatów, które nie były nigdy wystawione na kurz wielkich dróg. Kurz zjawił się później z powiewem namiętności i chorób...

Ogromna wrażliwość Frycka ujawnia się już bardzo wcześnie: pewni biografowie jego opowiadają,

że już w kołysce muzyka wywoływała u niego okrzyki radości. Fortepian jest istotnie jego drugim w czasie ukochaniem, natychmiast po matce. I oto widzimy go już, zaledwie sześcioletniego, poważnie siedzącego przy fortepianie, mającego u boku swego pierwszego nauczyciela, Wojciecha Żywnego, wielkiego wielbiciela Bacha, dobrego skrzypka i doskonałego pedagoga. Żywny, który się szybko zorientował w niezwykłych zdolnościach muzycznych swego fenomenalnego ucznia, zadowalał się tylko kierowaniem go, pozostawiając Fryckowi jak największą wolność, aby odnalazł swój prawdziwy temperament. Ta przedwczesna dojrzałość jego miała pewne punkty styczności z Mozartem. W dniu ósmej rocznicy swych urodzin, 22 lutego 1818 roku ukazuje się już publiczności grając koncert Adalberta Gyrowetza na dobroczynnym koncercie, zorganizowanym przez pisarza i męża stanu, Ursyna Niemcewicza.

Kiedy matka, która nie mogła być obecną przy tym tryumfie, pomagając małemu Fryckowi przy zdejmowaniu pięknego, odświętnego ubranka, krótkich majteczek i aksamitnej bluzeczki z dużym kołnierzem, zapytała przejęta: „Co się najbardziej publiczności podobało?“, Frycek poważnie, z przekonaniem odpowiedział:

„Wie Mama, wszyscy na mój kołnierzyk patrzyli“.

Już w tym wieku znać pewien wyrafinowany gust, poczucie prawdziwej pańskości, dystynkcję arystokratyczną, to wszystko słowem, co jest niezaprzeczalną oznaką wyższej rasy. Odczuwa się w nim

„pełną krew“, odbijającą się w szlachetności instynktów, utrzymaną przez otoczenie rodzinne w granicach skromności i powściągliwości, a w muzyce ujawniającą się w szczerym wyrazie wzniosłych ideałów ducha.

A przecież urodził się w skromnym domku nauczyciela i nie posiadał ani tytułów, ani żadnego herbu...

Po tym koncercie nawiązują się pierwsze stosunki z arystokracją polską: Czartoryskim, Sapiehą, Radziwiłłem, Czetwertyńskim. Księżna Czetwertyńska przedstawia go nawet żonie wielkiego księcia Konstantego, księżnej Łowickiej, która zaprasza go do siebie i u której grywa potem często. Wszędzie i zawsze wielkie sukcesy. Frycek ma temperament zdobywcy.

Ale rodzice czuwają: wykształcenie jego musi być kompletne i wszechstronne. Oddają go więc do Liceum Warszawskiego w roku 1824; zaczyna też studia pod kierunkiem Józefa Elsnera, profesora harmonii i kompozycji, autora oper, Mszy i symfonii, artysty o poważnej kulturze i głębokim temperamencie muzycznym, o którym w roku 1841 powiedzą:

„Najwybitniejszą osobistością muzykalnej Warszawy jest wciąż jeszcze stary a zawsze młody Elsner“.

Należy oddać hołd temu mistrzowi, który w niczym nie paczył temperamentu Fryderyka Szopena. Tak jak i Żywny spostrzegł od razu, jak niebywałego ma ucznia. Toteż bez popychania go w jakim-

kolwiek bądź kierunku, bez zmuszania go do zwykłych naśladownictw Himmla czy Hummla, zrozumiawszy, że Fryderyk posiada w sobie szczodre i przeczyste źródło gotowe wytrysnąć, gdy tylko zaczarowany ideał, który musi mieć każdy artysta, napotka, pozostawia mu zupełną wolność i tylko pilnuje go z serdeczną pieczołowitością. Franciszek Liszt ocenił go jako znawca, twierdząc, że Elsner wpoił swemu uczniowi najtrudniejsze i najrzadsze u artysty cechy, którymi są: wymagać wiele od siebie samego i liczyć tylko na zdobycze osiągnięte cierpliwością i pracą.

W raporcie rocznym z roku 1829 Elsner, jako dyrektor, stwierdza: „Szopen Fryderyk (trzecioletni) szczególna zdolność; geniusz muzyczny".

Wykształcenie ogólne Fryderyka, dozorowane stale przez ojca, było doskonałe, tak że zdobył nawet dwie nagrody: z historii i literatury polskiej. Oczywiście, że otoczenie rodzinne, jak też wybitne osobistości, które odwiedzały dom rodziców Szopena, jako to pisarz Brodziński, rektor Liceum Linde, zoolog Jarocki, nauczycielowie Frycka: Żywny i Elsner, przyczynili się niemało do stworzenia jego ogólnej kultury.

O bystrym umyśle, pierwszorzędnym zmyśle obserwacyjnym, zdolności szybkiej asymilacji, posiadając doskonale dwa języki: polski i francuski, w którym zawsze z ojcem rozmawiał, Fryderyk już w piętnastym roku życia gotów był do spotkania ze swym losem.

Skrzypek wiejski, który grał rzewne piosenki pod-

czas narodzin Szopena, był posłańcem symbolicznym tego Przeznaczenia, które mu się już w snach młodzieńczych ukazuje jako coś, co nazwijmy na razie tęsknotą.

O zapłodnieniu tej tęsknoty zatroszczą się później dwa wyższe żywioły: Miłość i Cierpienie.

OBJAWIENIE W ZULLICHAU

I oto pierwsze koncerty, które zmuszają do zwrócenia nań ogólnej uwagi. 27-go maja i 10-go czerwca 1825 roku bierze Fryderyk udział w dwóch wieczorach dobroczynnych w konserwatorium, zorganizowanych przez Józefa Jawurka.

Lipska „Allgemeine Musikalische Zeitung" zdaje obszerną relację z tych improwizacji na aelopentaleonie, instrumencie wynalezionym przez hebanistę Długosza z Warszawy, kombinacji aelomelodikonu i fortepianu.

W tymże czasie uproszony przez wynalazców aelomelodikonu Szopen gra z wielkim sukcesem przed carem Aleksandrem Pierwszym, który obdarza go brylantowym pierścieniem.

Rok 1825 jest też ważny z tego powodu, że pierwszy utwór Szopena, który został wydrukowany, Rondo C-moll, zadedykowany pani Linde, żonie rektora Liceum Warszawskiego, jest właśnie w tym roku napisane.

Podczas wakacji 1826 roku w Reinerz, gdzie Fryderyk towarzyszy matce i siostrom, dla leczenia wo-

dami tamtejszymi bardzo niepewnego już zdrowia małej Emilki, daje on dwa koncerty na korzyść biednych sierot.

Będąc w gościnie w Strzyżewie spotyka Fryderyk księcia Radziwiłła, który zaprasza go do swej rezydencji w Antoninie, gdzie poznaje księżniczki Wandę i Elizę, „dwie boskie istoty".

Eliza maluje jego portret. Fryderyk grywa z Wandą. „Były tam dwie Ewy, młode księżniczki, nadzwyczaj uprzejme, dobre, muzykalne i czułe istoty. Jej (Wandzie) dawałem przez ten czas lekcje, dalipan, aż miło było ustawiać paluszki"...

Ten blady chłopak o romantycznej twarzy i rozmarzonych oczach miał także delikatne i białe, jak księżniczka, palce...

Jesteśmy w roku 1827. Szopen kończy Liceum i poświęca się wyłącznie muzyce. Tymczasem ilość kompozycji rośnie. Fryderyk ma nieoceniony dar improwizacji i posiada czary wywoływania tego daru. Oddaje się wtedy natchnieniu i może grać godzinami, nie przypominając żadnego artysty, nie powtarzając się nigdy. W takich chwilach jego posłuszne ręce stają się dotykalnym echem tych harmonii, którymi jego dusza oddycha w niewidzialnych sferach ideału. Nie wie z kim, ani gdzie się znajduje; jest sam ze swoją muzyką, która zalewa go jak tajemna fala boskiego oceanu. Artysta staje się żywym płomieniem tego ognia, który tylko on zna, widzi i czuje. Jego „daimon" zapowiada już siebie w tych improwizacjach, które mają charakter nadprzyrodzony i podczas których, jak mówią

znawcy, przewyższa nawet Liszta. Ten kto go w takich chwilach słyszał, mógł dojrzeć na tej bladej twarzy promieniowanie ideału. Obecni milkli przeświadczeni, że się w ich oczach cud przemienienia stawał. Dusza jego już się przygotowywała w ten sposób do przyjęcia boskiego chrztu miłości i bólu tego świata i pełna przeczuć dążyła do tego najwyższego sakramentu.

Nie możemy pominąć wspomnienia o znanym powszechnie zdarzeniu w Zullichau.

We wrześniu roku 1828 Fryderyk wybrał się w podróż do Berlina w towarzystwie przyjaciela swego ojca, profesora Jarockiego. Po usłyszeniu oper Spontiniego, Cimarosy, Webera i Oratorium Św. Cecylii Haendla, które uważa za bardzo pokrewne swemu temperamentowi, po zwiedzeniu akademii, fabryk fortepianów i podziwianiu z daleka Belliniego i Mendelssohna, Szopen wybiera się w powrotną drogę.

W Zullichau, małej stacyjce pomiędzy Frankfurtem nad Odrą a Poznaniem, podczas oczekiwania w gospodzie na zmianę pocztowego dyliżansu, ciekawy fakt daje muzykowi wyraźny dowód jego osobliwego czaru.

Ujrzawszy jakiś skromny fortepian w rogu pokoju Szopen zasiada przed klawiaturą i zapominając o tym, gdzie się znajduje, oddaje się natchnieniu; po pewnym czasie tylko, powracając do rzeczywistości, spostrzega, że ma wokoło uważnych i wzruszonych słuchaczy: rodzinę pocztmistrza, klientów, podróżnych, służbę, kuchcików, jest nawet sam pocz-

tylion dyliżansu. Wybuchają entuzjastyczne oklaski, wszyscy zrozumieli, że ten pianista to geniusz. Szopen nie będzie już miał żadnych kłopotów z paszportem. Zachwyt dochodzi do tego stopnia, że pan pocztmistrz urządza przyjęcie na jego cześć, po czym wszyscy odprowadzają go tryumfalnie do pocztowej karety.

Być może, że to wtedy właśnie, w Zullichau, ma Fryderyk po raz pierwszy wyraźne objawienie cudownej potęgi swojej muzyki.

Po powrocie do Warszawy komponuje mazurki i polonezy. Gorączka twórcza opanowuje go. W ojczyźnie tymczasem dowiedziano się o zdarzeniu w Zullichau i niejeden chciałby go posłyszeć. Zacny ojciec, który tyle pieniędzy już poświęcił, uważa jednak, że przyszedł czas próby w wielkich stolicach. Wybór pada naturalnie na Wiedeń. Tylko ta stolica muzyki będzie mogła wydać prawdziwy sąd o wartości artysty. Fryderyk jest tego samego zdania.

„Co z tego, że mnie tu chwalą, ale co na to powiedzą w Wiedniu albo w Paryżu?"

Elsner również namawia na próbę.

I oto wkrótce już w towarzystwie czterech przyjaciół Szopen zjeżdża do Wiednia, gdzie od razu jest przyjęty przez wydawcę Haslingera, który zachęca go do dania koncertu. Zgadza się to także z opinią hrabiego Gallenberga, zarządzającego Kärthnerthortheatrem. Wiele osób z kolonii polskiej, dowiedziawszy się o przyjeździe muzyka, którego Haslinger nazywa „gwiazdą północną", pobudza go

do ukazania się przed publicznością, która oklaskiwała Beethovena.

Koncert 11-go sierpnia jest niespodzianką dla wszystkich. Po programie złożonym z dzieł Beethovena, Rossiniego i Vaccaja, wobec niemożliwości odcyfrowania przez orkiestrę jego Ronda Krakowskiego, Szopen zmuszony jest do improwizowania. Ogromny sukces od razu. Ten blady młodzieniec jest niewątpliwie czarujący. Są tacy, którzy go widzą już na piedestale opróżnionym przez Beethovena. Fryderyk pozostaje pogodny i spokojny wobec tego sukcesu i cieszy się przede wszystkim dla rodziców i Polski: nareszcie będą mogli w Warszawie oprzeć się na sądzie naprawdę miarodajnym.

Publiczność tymczasem żąda nowego koncertu i dnia 18-go sierpnia Fryderyk osiąga nowy tryumf, grając swoje Rondo Krakowskie na fortepian i orkiestrę.

Gazeta „Wiener Theater Zeitung" z dnia 29 sierpnia 1829 roku pisze istotnie: „Szopen wykazał talent niepospolity. Z racji oryginalnej kompozycji i stylu można go uznać za geniusza". Jedynie zarzucają mu wtedy i często w następstwie zarzucać będą to, że gra za cicho i za delikatnie.

„Ale to mój sposób grania" — powiada Fryderyk, gdy książę Lichnowski chce mu pożyczyć dźwięczniejszego fortepianu — „sposób, który się znowu damom bardzo podoba"...

Warszawa również zaczyna dopominać się uporczywie usłyszenia go po tych sukcesach. Szopen po

krótkim pobycie w Pradze, Toeplitz i Dreznie powraca do Warszawy dnia 12-go września 1829 roku.

W czasie tych wszystkich koncertów miał Fryderyk ciągłą styczność z wytwornym towarzystwem i arystokracją. Już w Antoninie u księcia Radziwiłła wyrafinowane otoczenie i przepych pociągały go. Ma pańskie wymagania; niebawem stanie się ogromnie starannym i szykownym w sposobie ubierania się, tak że Liszt nazywać go będzie „Le Prince".

Na tym tle miewał częste nieporozumienia z George Sand. Przez całe życie cierpiący, chory, nawet umierający, będzie dbał o wygląd estetyczny. A działo się to wszystko bez żadnego wysiłku, jako naturalny zewnętrzny wyraz duszy, w której nie było nic pospolitego.

ZWYCIĘSTWO NAD „DAIMONEM"

W tym właśnie czasie Szopen odkrywa swego wewnętrznego „daimona". W rozwoju życia duchowego jest to jeden z najdelikatniejszych momentów.

Myślę, że każda dusza przychodzi na świat niosąc ze sobą całe światło, które w następstwie stanie się jej świadomą własnością i za którym będzie kroczyła niechybnie poprzez doświadczenia swego losu. Światło to objawia się często nie tylko bohaterom, geniuszom i świętym, ale też duszom wybranym w okresach zmierzchu wczesnej młodości, na granicy młodzieńczych lat, kiedy to w jakiejś niby tajemnej wizji ukazuje się ideał. Tak się też stało z Fry-

derykiem Szopenem, będącym pomiędzy szesnastym a siedemnastym rokiem życia w „stanie łaski" z powodu smętku wywołanego miłością do Konstancji Gładkowskiej.

Ta pierwsza miłość wywołała w nieśmiałej i kobieco delikatnej duszy Fryderyka jaskrawe odbicie.

Dlatego to dnia 3-go października 1829 roku pisał do Tytusa Woyciechowskiego, posyłając mu swój walc: „ja już może na nieszczęście mam swój ideał, któremu wiernie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni, na którego pamiątkę stanęło adagio od mojego koncertu, który mi inspirował tego walczyka dziś rano, co Ci posyłam".

Konstancja jest więc pierwszym kwiatem wykwitłym na terenie jego tęsknoty. Szopen oczarowany stwarza w sobie swój własny świat, do którego będzie mógł zawsze się schronić w godzinach nawałnic. Oto jego dusza wstrząśnięta przez kontakt z ideałem nieświadomie budzi w sobie pierwiastki wieczne i dostrzega swoją prawdę.

Zresztą ideał może nie jest innym, jak odbiciem tej dalekiej ojczyzny, której dusza, co ją posiadała, nie pamięta, ale czuje do niej pomimo to nieskończoną tęsknotę. Odnawia się oto, przekształcona nieco, mistyczna legenda Izydora z Sewilli, który opowiada, jak orlica porywając w szpony ostatnio wyklute pisklę unosi je aż do słońca, aby patrząc w nie nauczyło się wszelkiej odwagi. Podczas takich „uniesień" pierwszej młodości staje się nagle cud i dusza widzi prawdę, którą się będzie żywiła przez długie lata, przez całe życie nawet. Prawda ta staje się tar-

czą, schroniskiem, źródłem i światłem, a zależnie od osiągniętych wyżyn może stać się natchnieniem artystów, wiarą bohaterów i oświeceniem świętych.

A kto ją raz poznał, będzie jej strzegł na wieki.

Dlatego też analizując żywot Szopena, który dał swojej muzyce specyficzne zabarwienie swego cierpienia i tętno życia swego ideału, znajdujemy w nim często znaki tej tajemniczej ojczyzny, którą Fryderyk przejrzał w okresie młodości. Do tej idealnej ojczyzny powraca on w miarę, jak się wzmacniają główne elementy jego przeznaczenia: tęsknota za ojczyzną i rodziną, zawody miłosne i choroba, która go do śmierci przedwczesnej doprowadzi. Jak wszyscy dotknięci poważną chorobą, ma on ostry zmysł wróżbiarski i przeczucie jutra.

Franciszek Liszt, który posiadał nie tylko geniusz muzyczny, ale też zdolność wyczuwania najwyższych prądów duchowych, (dlatego też tak gorąco uwielbiał flamandzkiego mistyka Ruysbroecka Wspaniałego, autora „Ślubów duchowych"), syntetyzuje w ten sposób życie i sztukę Szopena: „Posługiwał się sztuką, aby samemu sobie dać własną tragedię".

Bez tego ideału przejrzanego w młodości, bez jego wewnętrznego „daimona", bez jego cierpień i bólu, i żalu, muzyka Fryderyka Szopena nie byłaby tym, czym jest i nie przemawiałaby do milionów dusz rozsianych po świecie.

Oto dlaczego ten moment, w którym poznaje samego siebie i swój ideał, ma wartość mistycznego wtajemniczenia.

Zdarza się często, że dusza jakby tłumi w sobie głęboki i poufny głos przeznaczenia; a jednak pomimo małej w gruncie znajomości jej spraw możemy się wszyscy przekonać, że najczęściej to, co nam pomaga żyć i znosić cierpienie, jest właśnie ta kryjąca się w nas latami całymi prawda.

Tym, którzy szukali nazw dla jego improwizacji, Szopen uśmiechając się odpowiadał:

— „Nazwijcie je żalem..."

Żal... ten wyraz czysto polski, co ma tyle treści. Wzburzenie, protest, milczenie głębokie, pragnienie, współczucie serdeczne i tęsknota bez końca, opuszczenie smętne, jakby rozmarzone...

Żal jest pieczęcią tęsknej duszy polskiej, którą Szopen odsłonił i ukazał światu.

Żal: w tym słowie krótkim jak uderzenie skrzydeł i suchym jak tętno chorego serca było właśnie to skrzydło, które uniosło jego biedne serce poza horyzont realności.

I ci co mówią, że tylko Polacy mogą oceniać i kochać Szopena z powodu polskości jego utworów, mazurków i polonezów, zapominają zbyt łatwo, że obok rytmów ojczystych inne jeszcze rytmy kołysały jego duszę i żywiły jego twórczość.

Szopen przeżywając swoje tragedie jest także synem tej wielkiej ojczyzny ideałów, gdzie ten co kocha i cierpi, czuje się jego bratem, choćby innym mówił językiem, bo muzyka Szopena jest wyrazem również jego milczenia i nadziei.

Od chwili kiedy Fryderyk poznał swego „daimona" i oddał się cierpieniu, stał się on także obywate-

lem tej wielkiej krainy artystów, którzy potrafią otworzyć złote bramy dla wszelkich snów.

Posiadał on w wielkiej mierze ten najcenniejszy dar artysty: sugestię. I podszeptywał fortepianowi to, co się w nim zradzało, co widział poza granicami bezpośrednimi rzeczywistości codziennej, to co mu podpowiadał jego „daimon" w zależności od godzin, dni i chwil wybranych przez los.

„Ja już może na nieszczęście mam swój ideał", te słowa to motyw przewodni jego życia. I z powodu tej oto prawdy posiadania „ideału" Szopen będzie cierpiał i kochał całe życie. Przez tę prawdę stanie się człowiekiem świadomym swego przeznaczenia. Dwadzieścia lat rozczarowań, konfliktów, cierpień, dziesięć lat choroby potrzebne będą, aby rzucić na ekran jego muzyki światło tej prawdy utkanej z tęsknoty, miłości i goryczy. Lecz dusza już od dawna przeczuła, poznała i przyjęła ją do swoich głębin.

Na tym polega jej tajemnica wobec przeznaczenia. Przed zmysłami i ciałem, które się zawsze sprzeciwia lub pozostaje nieczułym, jakby nieobecnym, dusza w chwili wtajemniczenia przyjmuje swój los, identyfikując swoją prawdę. I zamyka w sobie tę tajemnicę całymi latami, przez całe życie nawet, aż do chwili wybranej, wzniosłej i rozpaczliwej, kiedy przeznaczenie wymawia nagle swoje władcze słowo.

I ziarno wydaje plon.

Beethoven nie słysząc już rzuca w świat boską obietnicę IX-ej Symfonii, a Szopen złamany chorobą rozsiewa perły swoich Preludiów.

Miłość jest elementem rewelacyjnym „żalu". I oto kobieta, na którą Fryderyk czeka i będzie czekał przez całe życie, kobieta, która ma mu dać idealną miłość, wymarzoną w młodzieńczych snach, staje się władczynią jego królestwa harmonii.

Aby zrozumieć Szopena, trzeba poznać kobiety, które z bliska dotknęły go.

Interesujące byłoby porównanie pomiędzy nim a Mussetem. Obaj są piewcami kobiet i miłości. Obaj mieli, jako wielką przygodę w życiu, George Sand.

Kobiety i Szopen... Ten temat w twórczości jego zajmuje znacznie większe miejsce, niżby się zdawać mogło. Oddaję tu słowo muzykowi Kamilowi Saint-Saënsowi.

„Szczerość jest cechą najwybitniejszą u Szopena; nie ma „programu", jego muzyka jest wiernym obrazem, nie „fabrykował" jej, słuchał tylko natchnienia. Muzyka jego daje wyraz najrozmaitszym uczuciom, jak też wrażeniom wywołanym naturą. Lecz wtedy gdy, jak na przykład u Beethovena, wrażenia te mogą być bez domieszki, u niego z wyjątkiem może Polonezów, gdzie głos patriotyzmu odzywa się przede wszystkim, kobieta jest zawsze obecna. Wszystko się sprowadza do niej i z tego punktu widzenia trzeba patrzeć, aby poznać istotną głębię wielu utworów Szopena. Namiętność, raz bujna, raz hamowana i skupiona, drga zawsze w je-

go muzyce, dając jej to ciepło wewnętrzne, dzięki któremu żyją tak intensywnym życiem i które się zbyt często zastępuje zmanierowanym wykonaniem, pełnym przekręceń tak przeciwnych jego wzruszającemu, pełnemu prostoty stylowi"...

W harmonijnym ogrodzie Szopena kobiety są kwiatami. Na pierwszej wiosennej grządce zakwita biała lilia, Konstancja Gładkowska.

Za mało mamy szczegółów o tej młodziutkiej uczenicy Konserwatorium Warszawskiego. Tylko z listów Fryderyka do Tytusa Woyciechowskiego dowiadujemy się, jakie miejsce zajęła w sercu artysty.

„Nie uwierzysz, jak dla mnie teraz Warszawa smutna; gdyby nie to, że familia mi uprzyjemnia, to bym nie wysiedział. A jak to przykro nie mieć pójść do kogo rano, podzielić z nim smutku, radości, jak to niegodziwie, kiedy coś cięży a nie ma gdzie złożyć. Wiesz, do czego to aluzja. Fortepianowi gadam to, co bym Tobie nieraz był powiedział".

Serce Fryderyka zadrgało: muzyka jego rozpromienia się. Żal ma swoją bohaterkę. Objawienie miłości, tego tchnienia, które świat ożywia, przekształca go wobec niego samego. Żyje, tworzy, pisze w ekstazie. Konstancja będzie tą pierwszą miłością, która pozostanie na zawsze tęsknotą za tym, co być mogło, a nie było. Miłość, która już wtedy tak głęboko nim wstrząsnęła, stanie się dlań cierpieniem, a jednak jego jasnowidząca dusza będzie jej szukała i pragnęła ciągle.

Przed samym wyjazdem Fryderyka z Warszawy

spowiada się on w liście z dnia 22-go września 1830 roku wiernemu przyjacielowi Tytusowi:

„Szkoda, że w taki dzień mi wypadło pisać, co myśli do kupy zebrać nie mogę. Jak się nad sobą zastanowię, tak mi się żal zrobi, że jakoś przytomność często mnie odchodzi. Jeśli coś mam przed oczyma, co mnie interesuje, mogą mię i konie rozjechać i nie będę wiedział i o mało nie miałem tego wypadku na ulicy onegdaj; w niedzielę uderzony jednym niespodzianym spojrzeniem w kościele, właśnie w chwili jakiegoś lubego odrętwienia, natychmiast wyleciawszy, z kwadrans nie wiedziałem, co się ze mną stało... Taki wariat się ze mnie robi, że aż strach!"

W chwili wyjazdu z Warszawy ideałem jego jest zawsze jeszcze Konstancja. Jakże jest szczęśliwy, że bierze ona udział w jego trzecim, pożegnalnym koncercie w Warszawie dnia 11-go października 1830 roku. Konstancja Gładkowska i panna Wołkow śpiewają tego niezapomnianego wieczoru, a Szopen odegrywa Allegro, Adagio i Rondo z Koncertu E moll, oraz Potpourri z Polskich Pieśni, zapowiedź miłości do Polski, którą zabierze ze sobą w świat.

„(Soliwa) dyrygował arię panny Gładkowskiej, biało z różami na głowie do twarzy prześlicznie ubranej, która odśpiewała Cavatinę z La donna del Lago z recitativem tak jak prócz arii w Agnieszce nic jeszcze nie zaśpiewała. Znasz to: „O quante lagrime per Te versai", ta aria była transponowana dla jej głosu, który wiele na tym zyskał"...

Trudno powiedzieć, czym jest właściwie więcej zachwycony: koncertem czy Konstancją, która miała

prześliczny uśmiech i łagodne, jasne oczy. Naturalnie, że jej talent śpiewaczki pierwszorzędnej powiększał miłość Fryderyka. Przyznał się już do tego Tytusowi, kiedy Konstancja ze swą przyjaciółką panną Wołkow wystąpiła w Agnese Paëra:

„Aniela najprzód mię w Warszawie zajęła. Byłem na wystawieniu. Gładkowskiej mało brak. Lepiej jest na scenie, co się zaś śpiewu tyczy, żeby nie te fis i g czasem u góry, nie trzeba by nam w tym rodzaju nic lepszego. Jak frazuje, — to byś się rozkoszował, cieniuje paradnie, a chociaż z początku na wejściu głos się trząsł, później bardzo śmiało śpiewała... Na końcu przywołano Anielę i rzęsistymi okryto poklaskami".

Łatwo można sobie wyobrazić, jaką radość odczuwał, mając Konstancję przy sobie tego ostatniego wieczoru muzycznego. Byli oto złączeni w tryumfie, aby się zaraz potem rozstali... Ideał i cierpienie mają jedno wspólne tętno.

Wyjazd staje się koniecznym, aby zająć odpowiednie miejsce na szerokim świecie. Jedyny cel, który wskazują mu wszyscy, to chwała. Zanim się stanie środkiem „do wyrażania własnej tragedii", muzyka Fryderyka ma przysporzyć chwały ojczyźnie.

Trudne musiało być dla Fryderyka oderwanie od istoty, którą pokochał pierwszą miłością. Może nawet Tytusowi nie zwierzał się całkowicie. Idylla ta czysta, jak kwiat wykwitły na sentymentalnej glebie tęsknoty, zapadła głęboko do jego duszy. Pozostało mu o niej delikatne, jak tchnienie wiosny,

wspomnienie, a „na sercu wstążka" niebieska, jak jej promienne oczy.

I może była to jedyna miłość, z powodu której nie cierpiał za wiele.

Konstancja miała także niezwykłe przeznaczenie. Ta słodka dziewczyna zjawiła się jak sen przelotny w życiu Fryderyka tylko po to, aby nadać ton minorowy jego uczuciowości i usunąć się natychmiast z jego egzystencji, jak kwiat, co przekwitł za wcześnie. We dwa lata po wyjeździe Fryderyka z Warszawy wyszła ona za mąż za obywatela ziemskiego Józefa Grabowskiego i wkrótce potem straciła wzrok. Piękne i promienne oczy jej spełniły swoje zadanie: płomień miłości zapalił się w sercu Szopena.

„Choć opuszczasz nasze kraje, serce Twe wpośród nas zostaje", śpiewano mu na odjezdnym... Istotnie serce Fryderyka pozostało w Polsce, przy Konstancji.

Czy pamiętał przez długi czas o niej? Z pewnością powracał nieraz myślami do swojej pierwszej ukochanej, bo po śmierci jego, w mieszkaniu na Place Vendôme, obok paru pamiątek osobistych, znaleziono wyblakłą niebieską jej wstążkę, smutny symbol nie urzeczywistnionej miłości.

Zresztą któż by zapomniał o swej pierwszej miłości? Płomień, który nosimy w sobie, rozżarzać się będzie przed coraz to innym ołtarzem, lecz tylko pierwsza miłość na zawsze pozostawi gorące popioły.

POŻEGNANIE Z POLSKĄ

W przeciwieństwie do Beethovena, Szopen nie walczy z przeznaczeniem. Ślady pojedynku autora IX-ej Symfonii z jego losem pozostały na zawsze w Testamencie z Heiligenstadtu. Beethoven jest nieugięty, jak dąb wobec piorunów.

Szopen przypomina raczej cyprysy, które chylą wierzchołki miotane wichrem i wsłuchują się we własne dreszcze. Nie wyjawia burzom, skąd przychodzi, ani że jutro on im rozkazywać będzie. W chwili rozstania z krajem, miłością i drogimi sercu przyjaciółmi dusza jego z pewnością wyczuwa doniosłe znaczenie pożegnania pod Wolą.

Uśmiech Szopena jest pogodniejszy od uśmiechu Beethovena. Może dlatego właśnie los jego tak wiernie mu towarzyszy, jak dobry druh w godzinach próby.

Zrozumiał on zresztą już sam wołanie swego „daimona". Trzeba odjechać... Trzeba pożegnać kochaną Matkę, siostry, Konstancję, przyjaciół, tyle, tyle drogich osób i rzeczy... Odjechać...

Dla chwały Polski. Musi wyśpiewać jej duszę. Musi stać się poetą tej ziemi, wyjawić jej rytmy, twórczością swoją podbić dla niej cały świat! Tego pragnie od niego zacny, pełen poświęcenia ojciec, tego oczekują dumni z niego profesorowie i publiczność, która z nadzieją wymawia jego imię, jakby zwiastujący coś szept: Szopen...

Wyjedzie więc. Wyjedzie po koncertach... Dokąd? W Wiedniu z pewnością pamiętają o nim. Znajdzie tam lekcje, wydawców, pieniądze i sławę.

Jakiś czas przed wyjazdem Fryderyk spędza na wsi. Wsłuchuje się tam w motywy polskich tańców i pieśni, upaja się podświadomie ich rytmem, aby potem oddać ich tęskny urok w swoich mazurkach i polonezach. I pisze do Tytusa z romantycznym smutkiem: „Mam szczerą chęć po cichu, nic nie mówiąc, zdecydować się wyjechać... Nuty w tłumok, wstążeczka do duszy, dusza na ramieniu i w dyliżans. Łzy jak groch padać będą..."

Po powrocie do Warszawy przygotowuje się do pożegnalnych koncertów. Jest zdziwiony ogromem powodzenia, jak w Wiedniu. Na trzy dni przed koncertem, który ma się odbyć 16-go marca 1830 roku, nie ma już ani jednego miejsca. Publiczność jest trochę zaskoczona nowością techniki i kompozycji, bije jednak entuzjastycznie brawa za prawdziwymi znawcami. Szopen uznaje jednak, że „potpourri z polskich pieśni celu nie dopięło", ale czymże to jest wobec obecności w jednym z najbliższych rzędów Konstancji, która dodaje mu tyle otuchy.

I oto po sześciu dniach drugi koncert. Tym razem tryumf kompletny. Improwizacje, Rondo i Krakowiak wywołują burze oklasków. Zasypują go kwiatami, piszą poematy na jego cześć. Nieopisany entuzjazm towarzyszy wszędzie temu Arielowi fortepianu. Polska może już szczycić się nim tak jak Niemcy Mozartem.

Fryderyk szczęśliwy i uśmiechnięty zadaje sobie chwilami pytania: Co mu przyniesie sława? Jakim

okupi ją kosztem? Czuje się trochę oszołomiony... Są ślady tej melancholijnej wewnętrznej walki w liście do Tytusa, pisanym właśnie w tym okresie: „Pojadę, ale dokąd, kiedy jakoś nigdzie mnie nie ciągnie... jeżeli masz jakie podejrzenia miłosne, tak jak wielu ludzi w Warszawie, to odrzuć je i przekonaj się, że umiałbym wyższym być nad wszystko, gdzie idzie o moje ja i gdybym był rozkochany, parę lat dłużej potrafiłbym ukryć nędzne i niedołężne zapały"...

A więc Konstancja stanie się już wkrótce tylko wspomnieniem... „Nędzne i niedołężne zapały..." Ileż głębokiej melancholii mieści się w tych pełnych goryczy słowach.

Trzeba walczyć i zwyciężać „dla ludzi, dla oka ludzkiego", jak pisze.

Wiemy już, że Konstancja bierze udział w trzecim i ostatnim koncercie 11-go października. Znamy też łagodny smutek tego pożegnania, kiedy w laurowy wieniec tryumfu wplotły się ciernie rozstania.

Poza tym wszystko zdaje mu się uśmiechać: Polska wynosi swego syna na wyżyny. Zdrowie pod troskliwą opieką matki, nieustannie czuwającej nad delikatnym, dziedzicznie obarczonym organizmem syna, przedstawia się zupełnie zadowalająco. Zaczarowany świat książąt i pięknych dam otwiera na oścież przed Fryderykiem pozłacane drzwi uperfumowanych salonów. Upojone kobiety błagają go o perły jego improwizacji...

Ale w sercu tkwią już dwa ciernie: Polska i Kon-

stancja. Fryderyk czuje nagle, że nie zobaczy już nigdy ani jednej, ani drugiej. Gdy wybije godzina wyjazdu, usłyszy on wyraźny głos przeznaczenia. Może to podczas jednego z tych uniesień, które nazywał „żalem", objawiło się ono jego duszy. „Myślę", powiada, że „opuszczam Warszawę po to, żebym już nigdy nie wrócił do domu. Myślę, że jadę umrzeć"...

Odjazd jest wyznaczony na 1-go listopada. Wszystko już postanowione. Pojedzie do Wiednia, tam będzie mógł zarabiać swoją muzyką. Musi pracować dużo, żeby urzeczywistnić pokładane w nim nadzieje. Spodziewają się po nim wielkich rzeczy wszyscy. Ale jakże smutno oderwać się od tych, których się tak gorąco kocha...

W przededniu wyjazdu grono przyjaciół urządza dlań ucztę pożegnalną, podczas której ofiarowują mu srebrny puchar wypełniony ziemią rodzinną. Rozrzewniony Fryderyk ma oczy pełne łez. Wierny Tytus obiecuje dogonić go jak najprędzej w drodze do Wiednia.

Drugiego listopada żegna Szopen rodzinę i wsiada do dyliżansu. Za rogatką na Woli spotyka go wzruszająca niespodzianka. Chór złożony z uczni Konserwatorium z Elsnerem na czele odśpiewuje pożegnalną kantatę, skomponowaną przez tegoż na cześć Fryderyka z okazji jego wyjazdu:

„Zrodzony w Polskiej krainie
niech Twój Talent wszędzie słynie...

. . . . . .

stąd szukaj zaszczytu, chluby,
nagrody talentu, trudów,
że głosząc pieśń naszych ludów,
jako ich współziomek prawy
przydasz wieniec do ich sławy.
Choć opuszczasz nasze kraje,
serce Twe wpośród nas zostaje..."

Istotnie serce to tęsknić będzie zawsze do Polski, a rytm jego w obliczu srebrnego puchara jednoczyć się będzie z rytmami dalekiej ojczyzny.

„Nuty w tłumok, wstążeczka do duszy, dusza na ramieniu i w dyliżans". Ziemia ojczysta w pucharze, przyjaciel Tytus tuż za nim; dlaczego miałby się obawiać jutra?

A jednak smutny uśmiech błądzi na ustach Fryderyka. Marzące oczy patrzą z rezygnacją jakąś przed siebie... Nie wróci już nigdy? Nie zobaczy ukochanej Polski? Istotnie, zanim dwadzieścia lat upłynie, zbolała Warszawa przyjmować będzie jego biedne serce na wieczny odpoczynek do kościoła Św. Krzyża, a garść ziemi polskiej ze srebrnego puchara rzucona będzie na grób jego na cmentarzu Père Lachaise w Paryżu. „Łzy jak groch lecą"...

Ma przecież dwadzieścia lat, a oto przekroczył już większą połowę życia... Przyciskając do wzruszonego serca symboliczny puchar w ten zimny dzień listopadowy, Fryderyk nie wie, czy tuli swe marzenia i ukochania młodzieńcze, czy też przeznaczenie i śmierć.

„Nuty w tłumok, wstążeczka do duszy, dusza na

ramieniu..." tak, niczego nie brak, aby spełniło się to, co się ma spełnić: dusza, przez którą będzie cierpiał, muzyka, która mu przyniesie chwałę, wstążeczka, symbol miłości nie urzeczywistnionej, i urna srebrna, która zawiera tęsknotę i śmierć.

Niewidzialny Anioł strzegący jego przeznaczenia był z pewnością wpośród grona przyjaciół odprowadzających go na Woli; towarzyszyć mu będzie nieodstępnie do Wiednia, Paryża, Majorki, szepcąc od czasu do czasu: „Panem Twoim jestem ja, a udziałem cierpienie. Dusza Twoja śpiewać będzie nawet w bólu, albowiem zrozumiesz niebawem, że nie ma zdobyczy bez męki i walki".

Tak więc opuszczał Fryderyk swój kraj. W chwilach gdy dusza odrywa się od największych przywiązań, gdy wybije godzina nieubłagana rozstania, przeznaczenie uprzedza nas czasem o jutrze poprzez jakieś wewnętrzne przeczucie: „myślę, że jadę umrzeć..."

OKRES DRUGI

„Ręce jego były powolnymi sługami jego duszy"

Henryk Heine

W tym drugim okresie, który trwa od roku 1830 do 1837, Szopen pogłębia samopoznanie, a dusza jego wchodzi w posiadanie dwóch elementów swego przeznaczenia: tęsknoty za ojczyzną i zawodu miłosnego.

Rany spowodowane tymi dwoma składnikami cierpienia pozostaną na zawsze otwarte i przez całe życie krwawić będą w jego twórczości.

Po burzliwym okresie wiedeńskim, po latach chwały w Paryżu, w chwili gdy się pierwsze, niepokojące już bardzo, oznaki choroby pojawią, Fryderyk spotka Marię Wodzińską; utrata jej miłości będzie jego „biedą".

BURZLIWE INTERMEZZO WIEDEŃSKIE

Z „nutami więc w tłumoku i duszą na ramieniu" przenosi dyliżans Szopena do stolicy Beethovenowskiej. Towarzyszy mu też przekonanie tak charakterystyczne dla młodych geniuszów, że rytm jego serca stopi się niebawem z szeroką harmonią świata.

Na razie będzie się starał o stworzenie sobie stanowiska oraz imienia międzynarodowego. Pragnął gorąco uszczęśliwić grono kochających go tak serdecznie ludzi, spłacić długi najdroższym rodzicom, którzy tyle już dla niego zrobili. Nie znał jeszcze rozpiętości swych skrzydeł; wyrwał się z rodzinnego gniazda, aby wyśpiewać pieśni zrodzone w jego sercu przed najbardziej wymagającą publicznością Europy. W tej chwili jednak nie myślał ani o zwycięstwie, ani o porażce. Zaciskał w nerwowych palcach wstążkę Konstancji i wsłuchiwał się w rodzące się w sercu, pełne tęsknoty zwrotki.

Myślał też o tym, że to wkrótce będzie Boże Narodzenie. W Służewie będą rozbrzmiewać cudne mazureczki i walce... Może źle zrobił opuszczając Warszawę, matkę i siostry...

Zaczyna się okres wewnętrznej, gorączkowej walki. W Wiedniu po raz pierwszy ogarnia go szarpiący niepokój. Stwarzać się zaczyna powoli klimat jego cierpienia.

Aby zaczęła rodzić ziarno i kwiaty, gleba powinna być poruszona i przeorana; na tym polega znaczenie i sens okresu wiedeńskiego. Tu się otworzą szerzej rany tęsknoty, tu zacznie szukać ukojenia w przyjaźni, gdy przyjdą pierwsze napady rozpaczy.

Na szczęście zacny Tytus Woyciechowski jest przy nim, przynajmniej na kilka pierwszych tygodni. W tych dniach rozterki ukazuje się całe oddanie tego zacnego przyjaciela.

Tytus był trochę starszy od Fryderyka. Obdarzony niepospolitą siłą fizyczną i duszą otwartą i szczerą, miał prawdziwą namiętność dla muzyki i bezgraniczne oddanie dla swego młodszego przyjaciela, którego uwielbiał po prostu. Dlatego też postanowił dogonić go w Kaliszu i towarzyszyć mu do Wiednia, gdzie obecność jego mogła być nader potrzebna przy zetknięciu się z wydawcami, prasą i publicznością.

Oto koniec listopada 1830 roku i oto pierwsze rozczarowania. Większa część nawiązanych w 1829 roku stosunków zanikła lub osłabła w tym stopniu, że jest zupełnie nieużyteczna. Wydawca Haslinger nie ma nawet zamiaru zakupienia jego kompozycji. I Szopen z przekąsem pisze do rodziny: „Haslinger mądry, on mnie grzecznie ale lekko chce zbywać, żebym mu za darmo kompozycje dawał. Może myśli, że na pozór ważąc sobie lekko moje rzeczy, ja to wezmę na serio i dam mu je darmo. Ale już się darmo skończyło, teraz bezahl, bestio!“

Lecz Haslinger zapłacił i wydał dzieła Szopena dopiero po jego śmierci...

Na razie najważniejszym zadaniem było ponowne zdobycie Wiednia. Obojętność stolicy dziwi i drażni Fryderyka. Wiedeń zdaje się nie pamiętać jego tryumfu z zaledwie ubiegłego roku.

I nagle spada jak grom wiadomość o powstaniu. Tytus musi natychmiast wracać do kraju, aby spełnić obowiązek żołnierski. Burza może porwać całą Europę, a wtedy... jaki los czeka ukochaną Polskę?

Fryderyk chciałby również powracać z Tytusem, aby walczyć. Powstrzymuje go błagalny list ojca, który stara się przekonać go, zupełnie słusznie zresztą, że niepewne zdrowie Fryderyka nie wytrzymałoby trudów wojennych. Będzie więc musiał pozostać sam w tej wrogo do Polski usposobionej Austrii Metternicha.

Samotność... Czarne myśli osaczają go zewsząd. „Czuję więcej niżeli kiedy osierociałość moją“ — pisze do Matuszyńskiego. I jeszcze: „Śmieję się, a właśnie kiedy piszę to, jakieś mię okropne dręczy przeczucie... Żyć, umrzeć, dziś mi się wszystko jedno wydaje...“

Nie może znieść niepewności swego wiedeńskiego życia. Chciałby wyjechać do Włoch lub powrócić do kraju, gdzie zajaśnieje znowu uśmiech Konstancji. Ale czyż mu wolno wyzyskiwać jeszcze rodziców? „Już i tak Was dosyć kosztuję na moje nieszczęście...“ Przecież wyjechał, by wywalczyć nie tylko chwałę, ale też niezależność materialną. Na razie jednak organizatorzy i przedsiębiorcy koncertowi nie dają znaku życia, a wydawcy nie odpowiadają nawet na listy...

Bywa dużo w towarzystwie, uczęszcza na zabawy,

bale, przyjęcia. Wiedeń zalotnym uśmiechem uchyla przed nim podwoje salonów, gdzie szaleją walce...

W liście do wiernego przyjaciela Jana Matuszyńskiego pisze Fryderyk dnia 26-go grudnia 1830 roku: „Wszystkie obiady, wieczory, koncerta, tańce, których mam po uszy, nudzą mnie: tak mi tu smętno, głucho, ponuro. Lubię ja to, ale nie w tak okrutny sposób. Nie mogę czynić, jak mi się podoba, muszę się stroić, fryzować, chossować; w salonie udaję spokojnego, a wróciwszy do domu piorunuję na fortepianie... Mam ludzi, co mię niby lubią... cóż mi po tym, kiedy spokoju nie mam".

Oto krótki ale dokładny opis życia Fryderyka w Wiedniu oraz stanu istotnego jego ducha. Brakuje mu też bardzo duszy przyjacielskiej. Myśli często o Konstancji i tęskni do niej. W tymże liście pisze: „Czy naprawdę choć trochę zmiany? Czy nie chorowano? Przypuściłbym łatwo coś podobnego na tak czułym stworzeniu. Czy Ci się nie zdawało? Może przestrach 29-go? Bo niechaj Bóg broni mojej przyczyny! Uspokój, powiedz, że póki sił starczy... że do śmierci... że po śmierci jeszcze mój popiół będzie się słał pod nogi. Ale to wszystko mało, co byś Ty mógł powiedzieć..."

Na myśl o Konstancji serce mu bije jak młotem. Chętnie bywa w domu pani Bayerowej, ponieważ nosi imię jego ukochanej. „Lubię tam bywać przez reminiscencję: wszystkie nuty, chustki od nosa, serwety znaczone jej imieniem..."

Podczas tego niespokojnego okresu zaostrzona

wrażliwość staje się jak wiatr wiosenny, który niesie plenne ziarno. Uczucia smutku, przybicia i rozpaczy posuwają się do paroksyzmu. Ten okres wiedeński to gorący czas siejby, po której przyjdzie obfite żniwo paryskie: żyzną jest gleba tęsknoty.

W nocy nawiedzają go zmory zdające się przepowiadać tragiczne zmierzchy majorskie. Struny ducha w oczekiwaniu zaczynają się nastrajać, aby została na nich wygrana trzecia część symfonii życiowej Fryderyka.

Słania się jak w letargu po ciemnej katedrze Św. Szczepana. Jest wigilia Bożego Narodzenia. Ogarnia go jakiś rozpaczliwy smutek, wiejący od grobów, które otaczają go, palący jak płomienie woskowych świec dookoła niego: „za mną, pode mną grób... Tylko nade mną grobu brakowało. Ponura mi się roiła harmonia..." W każdym liście wyciąga rozpaczliwe ramiona ku ojczyźnie, rodzicom, Konstancji.

Wieczorami wraca znękany do swego pokoju, a rankami „gra sobie smutno" i „tęskni po fortepianie". Zapisuje w notesie dziwne wrażenie, jakoby widział już na swoim łóżku trupa. Trawi go paląca gorączka, w duszy rozpacz graniczącą z najintensywniejszym pragnieniem śmierci. „Lepiej umrzeć niż żyć". W sercu coraz większa pustka i beznadziejny smutek. „Żyć, umrzeć, dziś mi się wszystko jedno wydaje... śmieję się, a właśnie kiedy to piszę, jakieś mię okropne dręczy przeczucie..."

A wokół obojętni zawsze wydawcy i przedsiębiorcy koncertowi; prasa milczy o nim uporczywie. Trze-

ba się na coś zdecydować, działać, szukać innego, gościnniejszego kraju, skoro Wiedeń stał się nie do zdobycia. Anglia? Włochy? Z Bolonii dochodzą rewolucyjne echa, więc raczej Anglia... zatrzymując się przejazdem w Paryżu.

„Je ne suis ici qu'en passant", powie niebawem w salonach paryskich. Przejazdem... W istocie zatrzyma się, aby tam cierpieć, zdobyć sławę i umrzeć.

Jedyny dobry i użyteczny przyjaciel Szopena w Wiedniu, to nadworny lekarz cesarski Malfatti. Ten który otoczył opieką ostatni okres choroby Beethovena, stał się serdecznym przyjacielem Fryderyka. Musiał odczuć i zrozumieć wewnętrzny dramat i walkę tej zbolałej duszy. Zaprasza go na obiady, każe przygotowywać jego ulubione polskie potrawy, chodzi z nim na spacery, organizuje małe przyjęcia muzykalne i przedstawia go rozmaitym wiedeńskim znakomitościom, stara się na wszelkie sposoby, a przede wszystkim okazując mu ogromną serdeczność i przyjaźń, dodać mu otuchy i wiary w siebie samego.

Szopen pozwala kierować sobą jak dziecko. Dusza jego tęskniąca do idealnej ojczyzny czuje, że powróci do niej tylko na falach muzyki rozkołysanej przez „żal". Toteż w muzyce szuka zapomnienia w chwilach, gdy ogarnia go rozpacz.

Wiedeń staje się nie do zniesienia. Nie udaje się zorganizować żadnego poważnego koncertu. Zda się, że na tych ciągłych zabawach i przyjęciach Frycek zatracił już samego siebie.

Toteż wkrótce, tj. po dziewięciomiesięcznym i jak

sądzi, bezużytecznym pobycie w Wiedniu, tęskny wygnaniec zabiera walizkę pełną notatek muzycznych i opuszcza stolicę Austrii dnia 20 lipca 1831 roku.

Będzie szukał gdzie indziej urzeczywistnienia swoich nadziei i pragnień. Stanowczo nie wróci do Warszawy, nie chce być ciężarem ojcu, przecież czuje w sobie wyraźny głos natchnienia.

Czyżby się łudził?

Czyżby to, co tworzy, nie miało wartości?

MAZURKI I POLONEZY

Są w każdym życiu słoneczne chwile, gdy zda się, że dusza odnajduje drogę do orzeźwiającego źródła radości; w godzinach smutku i goryczy instynktownie będzie czerpała promienną energię we wspomnieniach o tych chwilach. Gdy na progu ukaże się wzburzone oblicze zgryzoty, oto na delikatnej tkaninie wspomnień pojawiają się, jak kwiaty, te godziny jasne; płynie z nich cudowna moc rozjaśniająca mrok duszy.

Gdy znękany tęsknotą do Polski, w której miłość do rodziców, przyjaciół i Konstancji zlewały się w jeden wspólny rytm, zasiadał Fryderyk do fortepianu i przymykając powieki wpatrywał się w swój „żal", wypływające spod palców jego mazurki i polonezy były krystalicznym odbiciem dziecięcych i młodzieńczych wspomnień. Przechadzał się znów po rodzimych polach, brał udział w zabawach wiej-

skich, przyglądał się tańcom, słuchał piosenek, które dotykając bezpośrednio strun jego serca przeistaczały się obecnie w płomienne wezwania twórczości. Nawet cudzoziemcy, jak naprz. Auber, autor „Niemej z Portici", odczuwali, że bolejące serce Fryderyka szukało ukojenia tęsknoty w sercu dalekiej ojczyzny. „Niechaj polskim obyczajem ogłaszanymi zostaną przez Twe zajmujące tony, co umila nasze strony, Mazur i Krakowiak luby..."

W Polsce pragnęli, by napisać operę narodową lub jakie monumentalne dzieło. Oto co pisze „Dziennik Poranny" z dnia 25-go września 1830 roku: „F. Szopen ma wkrótce wyjechać za granicę. Miejmy nadzieję, że żadna obca stolica nie zatrzyma go na zawsze, że nowym okryty blaskiem wróci na łono swojej rodziny do rodzinnego miasta, aby poświęcić się dla chwały polskiej opery".

Lecz Fryderyk czuje, że wypowiadać się będzie krótko, zaledwie jękiem wyrazi swą rozpacz, a łzy jego serca będą krystalizować się raczej na klawiszach fortepianu niż rozlewać po strunach orkiestry.

„Zostawcie mi fortepian" — mówił do Mickiewicza — „c'est mon affaire"...

W drodze do Paryża oczekuje nań boleść, która zada mu głęboki cios. 28 sierpnia daje koncert w Monachium, zdobywa ogromny sukces, publiczność bawarska okazuje mu, jak bardzo jest pod jego urokiem, ale Szopen jest nieswój, ogarnia go jakiś niewytłumaczony na razie niepokój. Trwa to wprawdzie od Wiednia, pisze przed samym wyjazdem

w notatniku: „dziwno mi, smutno mi, rady sobie nie wiem", ale teraz potęguje się ten stan coraz bardziej, aż napisze w tymże notatniku dnia 26-go sierpnia: „chce mi się śmierci..."

Nie może właściwie określić wyraźnie tego stanu ducha; swą niezwykłą intuicją wyczuwa jakieś smutne wydarzenie. Coś się stało w Warszawie. Toteż przeczulona dusza, stojąca zawsze na granicy świadomości, podpowiada mu tętniące miłością do ojczyzny rytmy... Dlaczego?

Wierna i subtelna uczennica Szopena, Szkotka Joanna Stirling, która w ostatnich latach jego życia darzyła go tak czystą i ofiarną przyjaźnią, ma rację twierdząc, że Szopen miał w sobie moc przekraczania granic rzeczywistości. Będziemy nieraz mieli sposobność stwierdzenia tego daru intuicji i przeczucia, właściwego na ogół duszom słowiańskim, a w szczególności duszy tego wielkiego geniusza dotkniętego nieuleczalną chorobą. Czy głosy i rytmy polskie, które tak uporczywie dźwięczały w owej chwili w głębi duszy Fryderyka, nie były tajemnym wołaniem cierpiących i wiernych dusz pozostawionych w kraju, zalanym w tej chwili serdeczną krwią?

Głuche milczenie przerywa nagle rozdzierający krzyk gorącej namiętności i ukochania, tak charakterystyczny dla twórczości Szopena. Bolesny jęk znajduje natychmiast echo w jego muzyce, tak ściśle związanej z każdym przeżyciem. Fryderyk dowiaduje się w Stuttgardzie, że po krwawym szturmie dnia 8-go września 1831-go roku Warszawa musiała poddać się Moskalom.

Jak zwykle w znamiennych godzinach jego życia, cierpienie zda się rozdzierać serce Fryderyka na strzępy, wstrząsa całym jego jestestwem. Jak cyprys podczas wichury pochyla się nad samym sobą z bolesnym jękiem. Ale słowa nie mówi. Siada do fortepianu i oto płyną owiane rozpaczą rytmy słyszane niegdyś w Żelazowej Woli i Służewie...

Rozpętuje się huragan na fortepianie; rana wybucha potokiem krwi i na świat przychodzi tragiczna Etiuda C-moll, która druzgocze wroga ojczyzny!

Skądże ma przyjść ukojenie, jak nie z tych szeptów tajemniczych polskiej natury, które słuchał wtedy, kiedy udziałem jego była radość rozsłoneczniona młodzieńczych lat. Na wspomnienie tych głosów, które łączyły się z rytmem jego serca tak ściśle, odpowiedział wielkopańskim darem muzyki poświęconej dalekiej ojczyźnie. Przypomniał sobie z pewnością w tej chwili mądre słowa Stefana Witwickiego w liście z dnia 6-go lipca tego roku, który nakazywał pamiętać zawsze i przede wszystkim o swojej narodowości, „bo jest ojczysta melodia, jak klima ojczyste". Góry, lasy, wody i łąki mają swój głos rodzinny, poufny, choć go nie każdy usłyszy i nie każda dusza pojąć może.

Zaświadczą niebawem o miłości do Polski mazurki i polonezy. One też będą niezaprzeczalnym świadectwem jego przynależności państwowej. Zrodzone w wiejskim folklorze, wchłonięte przez wewnętrzną jaźń Fryderyka, ogrzane tchnieniem gorącym, ożywione tętnem krwi, naznaczone wybuchami jego uczuć, mazurki i polonezy staną się echem jego na-

miętnego umiłowania Polski. Skomponował około 60-ciu mazurków, tych pełnych narodowego wdzięku tańców, którymi, jak słusznie podkreślił to Edward Ganche, wyprzedził szkołę rosyjską w objawieniu Zachodowi wrażliwej duszy słowiańskiej.

Liszt tak pisał o mazurkach Szopena: „Uwolnił on z więzów zasadniczych motywów ten nieuchwytny, zaledwie zaznaczony powiew poetycki mazurków polskich; zachowując ich rytm uszlachetnił melodie, rozszerzył wymiary i granice, i podkreślił harmonijne półcienie..."

W mazurkach Szopena ukazuje się cała jego wytworność, delikatność, szlachetność rasy, wyrafinowanie, którymi niebawem oczaruje Paryż. W polonezach odczuwa się cała druga strona jego gorącej i wybuchowej natury, szarpanej przez miłość i tęsknotę do kraju.

Mazurki i polonezy: oto dwa odbicia jego wewnętrznego „daimona".

Kiedy gorączka zwiastuje przez jakieś smętne rozmarzenie rozwijającą się chorobę, nadchodzi godzina subtelnych, z pewną domieszką delikatnej goryczy mazurków. Lecz kiedy siły powracają i nad wszystkim góruje miłość do ojczyzny i boleść nad jej losem, rozbrzmiewają epickie tony tryumfalnych, wyzywających polonezów, jak okrzyk buntu i nadziei.

Jeden z polonezów jest skomponowany jakby w transie muzycznym, z bohaterską wizją przed oczyma — lecących na odsiecz, z rozwianymi sztandarami hufców rycerzy polskich.

„Energiczny rytm polonezów" — powiada Franciszek Liszt — „pobudza i galwanizuje nieruchomość naszej obojętności. Są one przepełnione najszlachetniejszymi tradycjonalnymi uczuciami starożytnej Polski. Prawie zawsze bohaterskie, odtwarzają z wielką prostotą dzielność i odwagę, te cechy charakterystyczne walecznego narodu polskiego. Słuchając niektórych polonezów zda się słyszeć ciężki i twardy pochód tych, którzy z dumą nadstawiali piersi na ciosy niesprawiedliwego losu".

Duch rycerski starożytnych polonezów z XVIII wieku, polonezów Kościuszki, Ogińskiego, Trzeciego Maja, oraz szlachetna dostojność ich, gdy przybrały formę reprezentacyjnego tańca, znalazły wyraz doskonały w twórczości Szopena.

I gdy mazurki odzwierciedlają rytmiczny wdzięk mazowieckiej wsi, polonezy noszą cechy cnót zasadniczych szlachectwa polskiego. „Był to taniec" — powiada Liszt — „przeznaczony, aby uwydatnić przede wszystkim męskość i wytworność panów polskich, dumę sarmacką i szlachetność postawy. Pan domu rozpoczynał ten taniec z damą, której się ten najwyższy honor „z wieku i urzędu" należał. Nie była to pospolita i bezsensowna przechadzka, lecz jakby pochód, podczas którego cała szlachta z upodobaniem się sobie przyglądała, podziwiając własną dostojność, przepych i piękno".

Schuman pisał, że „opiekuńczy duch Szopena uniósł go do jednej ze stolic świata, gdzie mógł dowolnie poetyzować i nie zżymać się. Jego pochodzeniem, losami jego ojczyzny tłumaczą się jego przy-

mioty i błędy". Powiada też, że dzieła Szopena są nacechowane najwybitniejszą narodowością i że mazurki to są „działa ukryte w kwieciu".

„W mazurkach Szopena przebija od razu ów żywioł ludowy, z którego jak z nieprzebranej skarbnicy czerpał on swoje wrażenie" — pisze Jan Kleczyński.

Ogromnie lubił Fryderyk grać swoje polonezy, ale najbardziej mazurki; na twarzy jego malowało się wówczas romantyczne wzruszenie. Otwierały się bramy „żalu" i z najgłębszych tajników duszy wyrywały się marzenia, aby ulecieć na falach rodzimych rytmów i melodii. Nikło wszystko dokoła. Istniał tylko on i jego nieskończona tęsknota. Ojciec Szopena mógł być francuskiego pochodzenia, wystarcza usłyszeć jego mazurki i polonezy, aby wszelka dyskusja co do jego niezaprzeczalnej polskości była zbyteczna. Do Polski należy i Polska światu całemu ofiarowała go w darze.

„Szopen jest bardziej polski niż Polska" — powiedział Ludwik Enault. Podkreśla on zarazem, że Słowianie na ogół nie oddają się obcym całkowicie. Również Franciszek Liszt pisze: „nie idąc w ślady za milczącą skrytością muzułmańską, Słowianie mają w charakterze pewną nieufną rezerwę, o ile dotyczy tematów wewnętrznych, poufnych..."

Poznając bliżej naturę Szopena przekonamy się, jak wiele było w nim właśnie tego delikatnego opanowania, pomimo niesłychanie wrażliwej i bolesnej uczuciowości.

A więc to Polska przede wszystkim jest motywem

bólu Szopena. Nie jednym, ale z pewnością tym, na którym zaszczepiły się w następstwie inne motywy cierpienia, miłość i choroba, wszystkie nastrojone w tym samym tonie. „La“ jego życiu dała tęsknota do ojczyzny.

Wiemy o tym, że gdy improwizował dla wybranych przyjaciół, nie przestawał grać aż do kompletnego wyczerpania, znajdując w tym umęczeniu jakby jakąś rozkosz. Zdawało się, że ten stan ekstatyczny, znany mistykom, był dla niego w danej chwili po prostu koniecznym. Przyjaciele, którzy go w takich chwilach otaczali, cierpieli wraz z nim i rozumiejąc, że w każdej improwizacji oddawał roztrzaskane cząstki swego życia, że wyczerpywał siły swoje do ostatka, używali jedynego sposobu, który oderwać go mógł od fortepianu, jego rozkoszy i męki: proszono go, by zagrał swego Marsza Żałobnego, którego skomponował po klęsce polskiej. Wtedy przemieniony jakby w symbol umęczonej ojczyzny, odegrywał go z całą namiętnością; po czym powstawszy zamykał fortepian i blady, rozgorączkowany, oddalał się wlokąc za sobą niewidzialną dla oczu, lecz wyczuwalną tak jasno przez wszystkie dusze, ś m i e r ć. . .

CRESCENDO SŁAWY W PARYŻU

Rozczarowanie zaprawione goryczą opanowało Fryderyka, gdy na początku pobytu w Paryżu nie znalazł źródła zarobkowania. Mało przynoszące koncerty, tak przeciwne jego usposobieniu, były trud-

ne do zorganizowania. Nie cierpiał stawać przed licznym audytorium, tłumy onieśmielały go. Wstępował na estradę zmuszony koniecznością. Nie można też było rozpoczynać lekcji przed ostatecznym osiedleniem się w której ze stolic. Może by tak w Londynie? Byleby się nie powtórzyło smutne doświadczenie wiedeńskie. Na Paryż miał parę listów polecających od zacnego doktora Malfattiego i profesora Elsnera. Zużytkował je, ale pierwszy kontakt z Paryżem nie był najszczęśliwszy.

Fryderyk zniechęca się łatwo: nie jest stworzony do walki. Nie ma w nim nic z postaci tragicznych. Wobec trudności w sprawach koncertowych oraz niemożliwości uniezależnienia się finansowego przez dawanie lekcji opadają mu ręce. I nie ma nikogo, kto by dodał mu bodźca.

Ojciec pisze do niego ciągle z ogromnym przywiązaniem, pocieszając go i starając się oddalić od niego troski natury materialnej. Ufa w opiekę Boską nad synem, zapewnia Fryderyka, że powodzi się im nieźle, że zdrowie dość dobre, że się cieszą z jego lepszego wyglądu, wraz z matką tulą go do serca...

Moment jest trudny, ale w tym samym już roku Fryderyk umocni swą postawę wewnętrzną i zdobędzie sławę. Jesteśmy w pełni romantyzmu. Świt panowania Ludwika Filipa. Victor Hugo, Chateaubriand, Lamartine, Alfred de Vigny, Balzac, Gautier, de Musset, Georges Sand, Stendhal, Sainte - Beuve, Delacroix, Delaroche, Isabey, oto świecące na firmamencie paryskim gwiazdy. W modnej harmonijnej konstelacji podziwiać można Rossiniego,

Aubera, Halévy'ego, Cherubiniego, Boieldieu, Paëra, Meyerbeera, Berlioza, Liszta.

W tej upajającej dla artysty atmosferze znalazł się nagle Fryderyk. Jest obecny na przyjęciu przez Paryż włoskiego generała Ramorina, powracającego z Polski. Z mieszkania swego na boulevard Poissonière obserwuje te uroczystości, które wzruszają i podniecają go, choć zasadniczo nie cierpi tłumów, hałasu i przemówień politycznych. Lecz ta oznaka sympatii do nieszczęśliwego generała objawia Fryderykowi od razu, że Francja Ludwika Filipa to zupełnie co innego niż Austria Metternicha.

O jakże gorąco pragnie zawojować ten szatański i boski zarazem Paryż, ten Paryż, który może wznieść go na wyżyny lub strącić w najgłębszą otchłań.

Spieszy przede wszystkim do opery. Słucha wciąż muzyki i opisuje swoim bliskim w Warszawie, szczególnie Tytusowi Woyciechowskiemu, swoje wrażenia. Płaci 24 franki za miejsce w operze, aby usłyszeć słynną Malibran w „Otello", zachwyca się znanym tenorem Nourritem; nie myśli już o opuszczeniu Paryża.

Gdy z listem polecającym od doktora Malfattiego zgłasza się do Paëra, ten przedstawia go Rossiniemu, Cherubiniemu i królowi wirtuozów fortepianu Kalkbrennerowi.

Dziwne spotkanie. Fryderyk Wilhelm Kalkbrenner urodził się w Cassel w 1784 roku. Artysta o temperamencie poważnym, nieco pedantycznym, miał bogate zasoby, osiągające pewne skutki. Opanowany jako wykonawca, może mało porywał swoich słu-

chaczy, lecz zadziwiał czystością i doskonałością stylu, miał też wielką sławę z powodu znakomitej swej szkoły. Ogromnie pochlebnie wyraża się o nim Kamil Saint Saëns.

Wysłuchawszy Fryderyka spostrzega od razu Kalkbrenner jego niebywałe możliwości, uważa jednak, że młodemu Polakowi brak tego, co nazywa szkołą, toteż proponuje dawać mu lekcje, aby uczynić zeń najlepszego swego ucznia, „coś bardzo znakomitego", jak pisze Szopen do rodziny.

„Trzy lata u niego się uczyć..." Trzy lata...

Fryderyk jest bardzo zaskoczony. Jak to, jeszcze trzy lata, gdy on myślał, że opanował już wszystkie trudności. W ogóle nie ma wielkiej ochoty być niczyim uczniem, ani Kalkbrennera, ani innych. Chce być samym sobą.

Z Warszawy stary Elsner przyznaje mu rację. Tegoż zdania jest jego rodzina. Frycek musi przede wszystkim zachować swoją indywidualność i odrębność. Kochana siostra Ludwika pisze po naradzie rodzinnej: „Ty masz przeznaczone miejsce między Rossinim, Mozartem itd. Twój geniusz nie ma osiąść na fortepianie i koncertach. Ty z oper masz się unieśmiertelnić. Elsner powiada, że tak ukształcony, jak jesteś, w czym wyżej od wszystkich może w Twoim wieku będących a dziś sławnych autorów, z takim geniuszem powinieneś dążyć tam, gdzie Cię geniusz popędzi a nie za nikim postępować".

Wysłuchawszy tych wszystkich rad, które w zupełności są zgodne z jego przekonaniem, Fryderyk jednak bierze parę lekcji od Kalkbrennera, aby się

mu nie narazić. I Kalkbrenner, jako człowiek inteligentny, oceni wkrótce odrębność Szopena i nie będzie miał do niego najmniejszego żalu. Sam pierwszy po tych paru lekcjach poleca gorąco Fryderyka Pleyelowi.

Szopen, który ma czarujący sposób bycia, stwarza sobie w krótkim czasie kółko miłych przyjaciół: doskonały pianista Hiller, słynny skrzypek Franchomme, Franciszek Liszt i Berlioz obdarzają go swoją cenną przyjaźnią.

Nareszcie dnia 26-go lutego 1832 r. daje Szopen swój pierwszy koncert w sali Pleyela. Ten koncert był zapowiedziany na 15 stycznia, lecz z powodu rozmaitych przeszkód, a przede wszystkim choroby Kalkbrennera, spóźnił się o pięć tygodni z górą. W programie były utwory Beethovena, Kalkbrennera i Mozarta, lecz czekano z największym zaciekawieniem na Grande Polonaise na 6 fortepianów Kalkbrennera i na Wariacje Szopena. Kolosalny program, który powinien był zainteresować i poruszyć cały Paryż. „Będę grał z Kalkbrennerem", pisał Fryderyk do swoich, „jego Polonaise na dwa fortepiany z akompaniamentem czterech innych jeszcze. Czy to nie szalona myśl?" Kalkbrenner będzie grał na wielkim fortepianie, Szopen na takim, który jest „malutki, monokordny, ale donośny jak dzwoneczki", inne fortepiany były „duże, jak orkiestra".

Publiczności było stosunkowo niewiele; licznie stawiła się tylko kolonia polska, Francuzów było mało, a ci co byli, zachowali się raczej obojętnie.

Krytyka natomiast wynosi Fryderyka pod niebio-

sa. Wystarczy przytoczyć ustęp z tak surowego zazwyczaj Fétisa: „Mamy tu do czynienia z młodym człowiekiem, który się poddaje swym wrodzonym popędom, a nie biorąc sobie nikogo za wzór, znalazł coś zupełnie nowego, a w każdym razie cząstkę tego, czego tak długo szukano daremnie, mianowicie obfitość oryginalnych myśli, których pochodzenia nigdzie wskazać nie podobna. Nie chcemy utrzymywać przez to, że pan Szopen jest obdarzony potężną organizacją jakiegoś Beethovena, albo żeby w jego muzyce znajdowały się tak tytaniczne rzuty, jak w dziełach jego mistrza. Beethoven pisał utwory na fortepian, lecz mnie chodzi tu o m u z y k ę fortepianową, a skoro się zastosuje tę miarę, to w utworach pana Szopena widzę oznaki rzeczywistego postępu, który z biegiem czasu w tej dziedzinie sztuki znaczny może wywrzeć wpływ. Koncertem F-moll byli słuchacze zdumieni i przyjemnie zaskoczeni, zarówno nowością melodii i rodzajem pasażów, jak modulacjami i charakterem motywów. Jest dusza w tych melodiach, jest fantazja w tych pasażach, a wszędzie jest oryginalność".

Szopen był bardzo zadowolony z krytyk, lecz brak zainteresowania ze strony publiczności paryskiej zmartwił go poważnie. Pisze do Tytusa w tonie, który zwykł przybierać w godzinach smutku, tj. że pragnie samotności, że czuje jakąś obojętność dla wszystkiego i wszystkich, że pomimo wesołego raczej wyglądu jest śmiertelnie znużony. Smutne przeczucia, bezsenność i głębokie przygnębienie idą w ślad za tym koncertem w sali Pleyela; przyszłość wyda-

je mu się ponura, myśli o powrocie do kraju, chwilami marzy o Ameryce, to znów osaczają go myśli o śmierci.

Za wiele przeszkód dla tego delikatnego ducha, który unosił się chętnie do królestwa fantazji; dlatego też kontakt z rzeczywistością był dlań zawsze fatalny i przebudzenie miało głęboką gorycz codziennych rozczarowań. Żył naprawdę tylko w godzinach uniesień i marzeń, i tymi oto marzeniami przeistoczonymi w dźwięki żywił swego ducha pogrążonego w kontemplacji jakichś smutnych tajemnic. Dlatego może Guy de Pourtalès jest zdania, że miał cechy natury „kobiecej, gdy nie wiedząc ani jak, ani dlaczego oddawał się cierpieniu".

W międzyczasie gra na koncercie dobroczynnym, zorganizowanym przez księcia de la Moskowa, ale to nic mu nie daje materialnie, zapas pieniędzy się wyczerpuje i niebawem pozostanie bez grosza. Coraz bardziej tęskni do swoich, którzy namawiają go do powrotu na łono ojczyzny.

Lecz nagle zachodzi fakt, który decyduje o pozostaniu w Paryżu na stałe. Spacerując któregoś wieczora po bulwarach paryskich, pogrążony w smutnych myślach, Fryderyk spotyka księcia Walentego Radziwiłła, który zabiera go tegoż dnia na przyjęcie do Rothschildów. I rzadko kiedy przypadek, ten wierny paź przeznaczenia, był bardziej znamienny.

Przepych królewski panował w salonach Rothschildów, wypełnionych przez najlepsze towarzystwo paryskie. Szopen wcale nie był tym onieśmielony, przeciwnie, czuł się dobrze właśnie w tym otoczeniu. Miał wrodzony pociąg do wszystkiego, co było rasowe i wyrafinowane. Te wytworne salony zdawały się być stworzone dla niego: bez najmniejszego wysiłku oczarował i zainteresował sobą wszystkich. Ten pamiętny wieczór był hasłem do wejścia Fryderyka w wielki świat i początkiem jego prawdziwego powodzenia.

Posypały się lekcje. Modne salony zaczęły walczyć o niego. Pierwsze zaproszenia nadsyłają Platerowie, hr. Apponyi, książę Adam Czartoryski, zamieszkujący Hotel Lambert, centrum kolonii polskiej. Fryderyk pozostaje spokojny i pogodny wobec tego powodzenia. Od tej chwili staje się osobą dnia, tylko o nim się mówi wszędzie. Kobiety wyrywają go sobie, ambasadorowie na wyścigi zapraszają go na śniadania i obiady, artyści chwalą się jego przyjaźnią.

Posłuchajmy, co o tym wszystkim mówi Fryderyk w liście do przyjaciela Dominika Dziewanowskiego. List tym ciekawszy, że objawia nam nowego Fryderyka, ironicznego obserwatora: „Wszedłem w pierwsze towarzystwa, siedzę między ambasadorami, książętami, ministrami, a nawet nie wiem, jakim cudem, bom się sam nie piął. Dla mnie to dziś rzecz najpotrzebniejsza, bo stamtąd n i b y dobry gust wychodzi; zaraz masz większy talent, jeżeli Cię w ambasadzie angielskiej, czy austriackiej słyszano, zaraz lepiej grasz, jeżeli Cię księżna Vaudemont protegowała... posiadaczka mnóstwa czarnych i białych suczek, kanarków, papug i właścicielka najza-

bawniejszej w świecie wielkim tutejszym małpy, która na wieczorach u niej inne kąsała kontessy. Między artystami mam i przyjaźń, i szacunek... dedykują mi swoje kompozycje ludzie z ogromną reputacją... Możeś mojego charakteru nie zapomniał, to sobie przypomnisz tego, co dziś, jak wczora, z tą różnicą, że z jednym faworytem drugi nie chce rosnąć i nie chce. Pięć lekcji mam dziś dać, myślisz, że majątek zrobię; kabriolet więcej kosztuje i białe rękawiczki, bez których nie miałbyś dobrego tonu..."

A bardzo mu zawsze chodziło o ten dobry ton. Życie zaczynało uśmiechać się do niego i on na to uśmiechem również odpowiadał. Czy miewał i w tych chwilach przeczucie, że ten uśmiech prędko zgaśnie?

W każdym razie aż do roku 1837 idzie bok o bok z Fryderykiem powodzenie; żyje w wielkim świecie jak książątko, bez żadnych trosk. Ma zaproszeń bez liku, może wybierać dom, gdzie będzie wolał pójść na śniadanie lub obiad. Jest po prostu rozrywany, uwielbiany, wychwalany, wynoszony pod niebiosa. Wydawcy drukują jego dzieła. Powodzenie nie tylko artystyczne, ale też jako człowieka pełnego zalet i uroku rośnie. Usposobienie, wychowanie i wdzięk słowiański dają mu interesującą odrębność.

Staje się symbolem, wzorem i bohaterem romantyzmu, który w tym czasie panuje niepodzielnie. Delikatny wygląd, te jasne oczy i złote włosy tworzą dookoła niego atmosferę łagodnej tęsknoty, wprawiającą w zachwyt płeć piękną. Moda w tej epoce jest na blade, omdlewające panie, ubrane w czerń przetykaną srebrem. Przy stole wkładają na znak

abstynencji swe rękawiczki do szklanki i nie dotykają żadnej potrawy, chyba przy końcu biesiady odrobinę słodkiej leguminy, i to wzdychając...

Ukazanie się arystokratycznego artysty, który umiał przez fortepian podpowiadać tak cudne rzeczy duszom rozmiłowanym w dźwiękach, było jakby zjawieniem się Błękitnego Królewicza z północnej bajki.

Naturalnie, że i do Warszawy dotarły już wieści o sukcesach Frycka. Wielka radość panuje w rodzinie; najbardziej cieszy się ojciec: nie zawiodły nadzieje i niedaremne były trudy.

„Frycek" dostaje dwadzieścia franków za lekcje, dzieła jego są w druku, gra na koncertach, jest, jak pisze sam, „rozrywany na wszystkie strony", to wszystko jest świetnie, ale nie trzeba też zapominać o oszczędnościach. „Postaraj się odłożyć parę tysięcy franków", pisze pan Mikołaj do syna 13-go kwietnia 1833 roku, „wydaje mi się, że żyjesz z dnia na dzień. Co z tego, że gazety mówią o Twoim powodzeniu, chodzi mi o Twoje szczęście... Twoje Nokturny i Mazurki były jeszcze raz drukowane w Lipsku i wyprzedane w parę dni". Pisze też, że nie może zakupić fortepianu dla Ludwiki, bo środki są ograniczone, muszą zadowalać się tym, co zarabia ojciec. „Powiedziałem Ci to, co czuję i myślę. Jeżeli znajdziesz coś, co się z Twoim sposobem widzenia albo życia nie zgadza, daruj ojcu, który Cię serdecznie kocha".

W tym okresie zadzierzga się coraz ciaśniej węzeł przyjaźni z Lisztem. Bez wątpienia są to dwaj

najwybitniejsi wirtuozowie epoki; wspaniałe temperamenty o rozmaitym zabarwieniu, lecz idące równolegle, bez starć. Liszt, którego życie było tak barwne i szczęśliwe, pełne tryumfów artystycznych i powodzenia u kobiet, potrafił intuicyjnie dotrzeć do ukrytego głęboko „żalu" Fryderyka, objawiającego się tylko niewielu wybranym. Nie zazdrościli sobie niczego. Grywali często razem, a zawsze w jak najlepszym porozumieniu. Przypomnieć może należy tutaj ten pamiętny wieczór 15 grudnia 1833 roku w konserwatorium, kiedy to Szopen, Liszt i Heller odegrali koncert J. S. Bacha na trzy fortepiany.

Ten okres, to czas radości i chwały. Crescendo symfonii życiowej Fryderyka. Z salonów księżnej Marceliny Czartoryskiej przechodzi do intymnych salonów hr. Delfiny Potockiej o cudownym głosie, płomiennych oczach i zmysłowych ustach. Fryderyk próbuje obudzić w niej duszę...

Wieczory spędza w rozmaitych ambasadach, gdzie urocze cudzoziemki błagają o mazurki i walce; najczęściej bywa u księżnej Beauvau. Nie ma już żadnych powodów do skarg na wydawców, jest na Olimpie paryskim. Uśmiechnięty, strojny, w jasnopopielatych według ostatniej mody skrojonych spodniach, spadających z wielkim stylem na eleganckie buciki, w coraz to nowych kamizelkach z najkosztowniejszych aksamitów, zawsze starannie ogolony i uczesany, Fryderyk bez najmniejszego zażenowania przechodzi przez salony. A w domu czeka kolejka pań, które jak o łaskę największą proszą o lekcje.

Fryderyk nie lubi kobiet o przesadnej kulturze,

intelektualistek; może dlatego los mu gotuje spotkanie z George Sand...

Uprzejmy, swobodny, żartobliwy nawet, dowcipny, przyjmuje odwiedzające go damy, które zasypują go orchideami, różami i ulubionymi przez niego fiołkami. Lecz nieraz, zanim zasiadał do fortepianu, dotykał ze smutkiem wstążki Konstancji i srebrnego pucharа wypełnionego ziemią rodzimą i słyszał głos daleki: „Serce Twe wpośród nas zostaje..."

Antoni Orłowski, jeden z przyjaciół Fryderyka, pisze o nim do rodziców w listopadzie 1832 roku: „Szopen wszystkim kobietom głowy zawraca, a w mężczyznach zazdrość wznieca. On jest teraz w modzie i nie długo zobaczycie rękawiczki à la Chopin".

Jedyny więc powód do smutku, to tęsknota do kraju i bliskich, o której też wspomina Orłowski.

Nie tylko kobiety szukają przyjaźni Fryderyka, jest też coraz więcej lubiany przez wielkich artystów. Mendelssohn gorąco zaprasza go na festyn muzyczny do Düsseldorfu, który odbędzie się po festiwalu w Akwisgranie. W Niemczech jest już znany i podziwiany jak w Paryżu. Każde zbliżenie się do fortepianu to prawdziwe objawienie.

Na jednym z koncertów gra z Berliozem i Lisztem; innym razem na wieczorze dobroczynnym w Teatrze Włoskim na korzyść emigracji polskiej występuje wraz z tenorem Nourritem, panną Falcon i innymi.

Podczas paru koncertów na wiosnę 1834 roku ma wrażenie (no i nie tylko on niestety), że publiczność

zachowuje się oziębłej. Zrażony zaczyna unikać jeszcze bardziej występów przed tłumem anonimowych słuchaczy i decyduje się tylko pod przymusem ukazywać na estradzie. 24-go kwietnia następuje imponujący odwet: Fryderyk osiąga niebywały po prostu tryumf, wykonując na koncercie w konserwatorium, danym na korzyść dyrektora orkiestry Habenecka, swój Polonez.

Lecz uraz i ciernie z dwóch poprzednich koncertów pozostały na długo i przez parę lat Fryderyk stanowczo odmawia udziału w większych manifestacjach muzycznych.

Powiedział w tym okresie do Liszta: „Nie jestem stworzony dla koncertów. Onieśmiela mnie tłum. Koncertować, to sprawa wasza, bo jeśli nie zawojujecie publiczności, macie siłę, żeby ją zdruzgotać!"

ARIEL FORTEPIANU

Lubił natomiast grywać w salonach prywatnych; nieliczne i wybrane grono przyjaciół, oto stworzone dla niego audytorium. I jeśli w tym audytorium były piękne panie, tym chętniej zasiadał do grania. Mawiał czasem, że będzie fortepianowi opowiadał bajki o miłości. W tych bajkach, które klawisze powtarzały przytłumionym głosem, kobiety szukały odbicia własnych marzeń.

Czy Paryż wiedział już o tym, że pewien blady, jasnowłosy artysta, zdający się być królewiczem na wygnaniu, którego ojczyzną było królestwo fantazji,

grywa w modnych salonach stolicy, konając jakby co wieczora na klawiaturze... Field, który zgodnie z duchem czasu pozował na romantyka (co nie przeszkadzało mu w częstym upijaniu się i zajadaniu befsztyków o każdej porze dnia i nocy), mówił, że dla niego talent Szopena nadaje się do „chambre de malade". Lecz w epoce, w której wypadało wzdychać z miłości, mając przed sobą puste szklanki i czyste talerze, każdy salon stawał się właściwie pokojem dla chorych.

Oto jak zwykle rzecz się miała: pani domu, a więc księżna Beauvau, hrabina Potocka lub księżna Czartoryska, w myśl ogólnych życzeń prosiła Fryderyka, aby łaskawie zechciał improwizować. Najczęściej artysta przystawał od razu z uśmiechem. W atmosferze salonu, przetykanej bezustannie srebrzystą szczebiotliwością pań, następowała natychmiast zupełna cisza. Szopen powstawał, zbliżał się powolnym, charakterystycznym krokiem do fortepianu i prosił, aby przyćmiono światła dla stworzenia bardziej intymnego nastroju. Pochylał się nad pękiem róż konających w jakimś wazonie, wdychał przez chwilę ich aromat i zasiadał przed klawiaturą.

Moment skupienia...

Poszukiwanie nuty, którą nazywał „błękitną", mającej połączyć duszę jego ze zbiorową duszą, „oversoul" słuchaczy. Najczęściej odnajdywał ją natychmiast i od niej rozpoczynał swój wzlot w bezkresne, tęczowe przestworza swych marzeń. Opadał w głębiny „żalu" i unosił się wraz ze swym „daimonem" poza wszelkie horyzonty ziemskie do ideału.

W tych chwilach wyraz jego twarzy, zazwyczaj tak łagodny, przemieniał się zupełnie: nie był to już człowiek grający na instrumencie ludzką ręką zbudowanym, — on i fortepian tworzyli jedną istotę wibrującą pod wpływem fal natchnienia, przez które przelewały się przyciszone szepty tęsknoty bezkresnej, to znów nieokiełznane porywy namiętności.

Nawet Liszt, który już bardzo pokochał Szopena, nie rozumiał jeszcze z pewnością, jak głębokie cierpienie i jak wielki niepokój odzwierciedlała nieraz jego muzyka. Wiedział na razie jedno: ten młody, genialny Polak oczarował wszystkich, a już bez wątpienia najbardziej płeć piękną. Liszt znający się na muzyce i kobietach nie wątpił, że temperament Fryderyka zaprowadzi go bardzo daleko.

Publiczność dawała się porwać całkowicie jego przepojonej melancholią muzyce, przetykanej rytmami mazurków polskich, wybuchającej okrzykami rozpaczy, brzmiącej jak wołanie ku czemuś, co tylko w marzeniach istnieć może; wszyscy czuli, że Szopen szybuje ponad życiem w dziedzinach nieskończonych snów o miłości i cierpieniu.

Gdy ostatni akord rozpływał się po sali, Fryderyk przesuwał szybko i delikatnie ręką po klawiaturze, jakby pragnąc przekreślić lub rozwiać marzenia. To było znakiem przebudzenia, powrotu ze szczytów do rzeczywistości.

Ogromny urok, jaki wywierał Fryderyk na otoczenie, był jakby niespodzianką wobec jego opanowanego wyglądu, łagodnego obejścia. Jego ironiczny ton i spokojna uprzejmość nie zdawały się zapowiadać ogromu i potęgi namiętności, które objawiały się nagle w jego muzyce.

Po długich rozmyślaniach nad naturą i charakterem Szopena pisze Liszt: „W niezliczonych tajnikach charakteru Szopena nie znalazłbyś najmniejszych odruchów nie nacechowanych delikatnym poczuciem honoru i szlachetnym zrozumieniem uczuć. A komuż można by łatwiej wybaczyć wszelkie ułomności, wady i dziwactwa, jak nie jemu? Gorąca, bujna imaginacja, porywcze i namiętne uczucia, a z tym wszystkim słaba i chorowita organizacja fizyczna. Któż zrozumie mękę wypływającą z takiego kontrastu! Musiało to być straszne, ale on nigdy nic nie okazał po sobie. Z pietyzmem zachował swoją tajemnicę, ukrył cierpienia, zasłaniając je niedostępnym płaszczem pogodnej i dumnej rezygnacji".

Berlioz, który również był mu bardzo bliski, opisuje tę jego postawę duchową w paru słowach: „Dopóki cierpienia Szopena były znośne, był on zawsze wesół i dowcipny w obcowaniu z przyjaciółmi. Nie można było oprzeć się jego urokowi. W każdą rozmowę wnosił ten „humour", który też w twórczości jego stanowi tak odrębną i charakterystyczną cechę".

Berlioz też opowiada nam o zdarzeniu, które miało miejsce w domu pewnego bogacza. Po proszonym obiedzie, podczas którego Szopen prawie nie dotknął żadnej potrawy, pan domu prosił go w imieniu licznego towarzystwa, żeby zagrał. Szopen bardzo wyczerpany i znużony tego wieczora najpierw nieśmiało odmówił, a potem wobec dalszych dość niedelikatnych próśb podał mnóstwo powodów, by nie zmu-

szano go do grania. Ponieważ gruboskórny amfitrion nie ustawał w naleganiach, Szopen nagle odpowiedział mu dobitnie: „Ależ Panie, za mało jadłem...“

Dziwny to był istotnie temperament. Do głębi i całkowicie nie dał się poznać nikomu, chyba w ostatnich czasach choroby. Wszyscy zresztą, gdyśmy bardzo chorzy, ukazujemy się sobie i innym w naszym prawdziwym świetle. Zobaczymy wkrótce, jak o nim będzie mówiła George Sand, ona to bowiem była obecna przy pierwszych poważnie zagrażających życiu objawach suchot u Fryderyka. Choroba urabiała go powoli, jak urabia każdego, nie rozgoryczając go jednakże, przeciwnie potęgując raczej w nim i jego muzyce charakterystyczny wdzięk wykwintnej i delikatnej wrażliwości. Ale zanim się objawiła w swej nieubłaganej formie, już dwudziestotrzyletni Fryderyk, bożyszcze kobiet paryskich, odczuwał jakby niepokój na myśl o zawrotnych wyżynach, na które geniusz nieśmiertelności uniósł Michała Anioła, Beethovena i Shakespeare'a. Nie dla niego były zwycięskie symfonie, nie dla niego wyzwania i walka piersią w pierś z przeznaczeniem. Wolał pochylić się lekko nad klawiaturą, gdy go miłość i choroba druzgotały. Zakuty w kajdany nie wrażał mocnego wzroku w niebiosa, jak Prometeusz, a z bohaterów Shakespeare'a był najbliższy Hamletowi.

Jak wszyscy ludzie o przeczulonym systemie nerwowym przechodził łatwo od szalonej wesołości do głębokiego milczenia. Zniechęcał się bardzo łatwo, ale również łatwo powracał do optymizmu. Potrafił

być uprzejmym, zabawnym, ruchliwym, operował z finezją dowcipem i ironią.

Interesowała go właściwie tylko muzyka naprawdę. Nie umiał objawiać zachwytów na zewnątrz, np. nad obrazami swego przyjaciela malarza Delacroix pozostał milczący i niemy. Czytał mało. Znał dobrze dzieła Mickiewicza, bo ten był Polakiem, czytał romanse George Sand, bo była jego kochanką, i zaglądał często do „Dictionnaire Philosophique“ Voltaire'a. Napisanie listu wymagało wielkiego wysiłku woli, wolał przejść w poprzek cały Paryż dla jakiejś wizyty. A jednak tyle listów napisał...

Nie był piękny, ale miał bardzo miłą powierzchowność i niebywały wdzięk. Wytworny, wyszukany w najmniejszych szczegółach tualety, był średniego wzrostu, w ruchach lekki i zgrabny. Włosy miał ciemnoblond, spojrzenie głębokie i żywe, czarujący po prostu uśmiech, cienkie rasowe rysy i... trochę za długi nos, z którego podkpiwał chętnie. Ważył mało i to też było powodem do żartów i drwin nad samym sobą. Pewnego dnia przechadzając się z Solange po Champs Elysées napotkał postawioną tam dla użytku publicznego wagę i zechciał się zważyć. Strzałka pokazała wyraźnie 48 i pół kilo...

Wyrafinowany w sposobie bycia i rozmowie nie znosił ludzi hałaśliwych i ordynarnych. Wypowiadał się za pomocą improwizacji, które w swej krystalicznej przejrzystości odzwierciedlały jego przeczuloną i subtelną jaźń. Nieraz drobny szczegół nie dogadzający mu powodował silne zdenerwowanie. Tak na przykład pewnego wieczoru, kiedy grono

słuchaczy oczekiwało w półcieniu pierwszych dźwięków rozpoczynających improwizację, Fryderyk pozostał dłuższą chwilę nieruchomy, wpatrując się w pewną damę mającą na głowie wspaniałe pióro, i nagle:

„Nie będę grał, aż ta pani zdejmie pióro"... — rzekł cicho, ale stanowczo.

Jedną z charakterystycznych cech Szopena był niezwykły dar naśladowania oraz zdolność do najdziwaczniejszych grymasów, co mu pozwalało z ogromną łatwością stwarzać karykatury rozmaitych znanych postaci. Mógłby być doskonałym aktorem, o czym sam dobrze wiedział. Toteż nieraz grając w kółku bliskich przyjaciół zatrzymywał się nagle, zmieniał postawę, węzeł krawatu, uczesanie i w jednej chwili przeistaczał się w romantyczną starą pannę, flegmatycznego Anglika, wyzywającą kokietkę, i grał tak dalej wzbudzając szalony śmiech słuchaczy.

Potem nagle dobry humor znikał i Fryderyk trwał w głębokim i smutnym zamyśleniu. Neurastenia czatowała nań już w przededniu suchot. Gdy go ktoś zranił lub rozgniewał, potrafił od ironii przejść nawet do okrutnego sarkazmu, ale też był przez całe życie rzetelnym, pewnym, otwartym i szczerym przyjacielem.

Rycerski w stosunku do płci pięknej, nawet gdy cierpiał przez miłość, stał się ofiarą George Sand, która znowuż była ofiarą własnego temperamentu. Lecz ani do niej, ani do innych kobiet nie zachował urazy.

Krył się zawsze ze swym cierpieniem i nie zwierzał się nigdy, chyba w ostatnim roku życia, po powrocie z Londynu, złamany neurastenią i suchotami otwierał czasem zbolałe serce przed Fontaną, Grzymałą i Solange. Lecz nawet te zwierzenia miały godność i umiar wielkopański, jak również lekki odcień ironii w stosunku do siebie samego.

Był wielkim miłośnikiem kwiatów, bogatych obić, pięknych strojów, wszystkiego co wytworne i wyrafinowane, lubił towarzystwo osób opanowanych, dobrze ułożonych, z wielkiego świata. Mówił raczej cicho, spokojnie, panując zawsze nad odruchami lub niepokojem własnego ducha.

Uczniów swoich traktował poważnie, prawie surowo, bez pobłażliwości; ale zawsze poprawnie. Nie dawał lekcji byle komu: przesłuchiwał uprzednio kandydatów, badał skrupulatnie ich możliwości.

Nie lubił pochlebców, unikał tych którzy mu komplementa prawili; skromny, ale znający swoją wartość, słuchał z pobłażaniem uwag tych, którzy go za zbyt delikatne i ciche granie krytykowali. Rozumiał też, jak bardzo głębokie wrażenie wywierała jego muzyka, i zdawał sobie sprawę z wpływu jego twórczości na otoczenie muzyczne. Gdy go wciąż jeszcze namawiano do napisania opery, odpowiadał zasiadając do fortepianu i improwizując. Adiutant króla Ludwika Filipa, hrabia de Perthuis, posłyszał też raz od niego te słowa:

„Laissez moi le piano, c'est tout ce que je sais faire..." *).

*) „Pozostawcie mi fortepian, ja tylko to potrafię".

Muzyka Fryderyka była nieraz odzwierciedleniem wrażeń wywołanych jakimiś faktami lub zjawiskami zewnętrznymi, ale nie ich imitacją. Najbłahszy powód mógł natchnąć go do improwizacji; nie tylko deszcz i księżyc, słońce i wiatr, ale też piesek goniący za własnym ogonem lub łaszący się kot wystarczały, aby się rodziły arcydzieła w odpowiedniej chwili. Opowie nam o tym szczegółowo George Sand w „Histoire de ma vie". Pomimo świadomości, że muzyka była dlań wszystkim, nazywał Szopen swoje utwory niby z przekąsem „moja pisana nuda", a swoje lekcje „mój młyn".

Lecz gdy nadchodziła wybrana godzina i płomieniejąc z nadziei i rozpaczy improwizował, nastrój ironii ustępował skupieniu i artysta stawał się tym, którego tak trafnie nazywano „Arielem fortepianu".

O rękach jego nerwowych i lekkich, o dłoniach delikatnych i pieszczotliwych, o palcach, które miały odcień kości słoniowej i znały wszelkie arkana doskonałości technicznej, można by pisać bez końca. Lecz Fryderyk nie przypisywał głównej wagi swojemu wirtuozostwu. „Pragnie on poważniejszych sukcesów", pisze Henryk Heine, „ręce jego są sługami duszy jego. Toteż ci którzy go oklaskują, odczuwają nie tylko wrażenia słuchowe, lecz również ogromne wzruszenie wewnętrzne. Jest wybranym wśród tych wybranych, którzy w muzyce szukają najwyższych radości dla ducha. Chwała jego i powodzenie są natury arystokratycznej".

A po chwilach natchnionych, kiedy improwizacje przychodziły tak łatwo, następowały godziny żmudnej pracy. Fryderyk poprawiał, wygładzał i przerabiał to, co się w chwili ekstazy zradzało. Zamykał się wtedy w swoim pokoju, notował, przepisywał, przegrywał wielokrotnie poszczególne takty, potem nagle przerywał pracę, przechadzał się po pokoju i znów do rękopisu powracał. Potrafił nieraz przerobić po pięć, dziesięć razy tę samą stronicę. W ten sposób opracowywał swoje kompozycje. I zdarzało się nieraz, że po wielu godzinach zwalczań trudności i znalezieniu nowego rozwiązania powracał do pierwotnej linii harmonijnej.

CZWARTA BALLADA I RÓŻA MARII

W tym okresie paryskim, rozpromienionym wschodzącą sławą, pan i władca przeznaczenia Fryderyka szepce mu cicho imię pewnej młodziutkiej kobiety i rani go śmiertelnie... purpurową różą.

Do tęsknoty za krajem przyłączy się oto poważny zawód miłosny. Z tych dwóch elementów cierpienia zrodzi się uczucie przybicia i opuszczenia, zabarwiające często twórczość z tego okresu. Delikatna natura Szopena nie wytrzymałaby nagłej nawałnicy, cierpienie więc przychodzi, jakby z jakiego wyższego nakazu, powoli, przybierając stopniowo cechy tragicznych namiętności.

Fryderyk pragnął gorąco miłości... I oto miłość zada mu bolesny cios, posługując się najpierw Marynią Wodzińską, a potem George Sand.

Odmowa i nieporozumienie.

Maria Wodzińska, która stanie się niebawem „moją biedą", musiała być elementem koniecznym i zasadniczym w życiu Szopena, albowiem jej zgoda na odrzucenie miłości Fryderyka zaważyła najbardziej na zmianie jego losu.

Gdy się zjawia w jego życiu, oddalona w czasie i przestrzeni gwiazda Konstancji Gładkowskiej przybladła; pozostało gdzieś w głębi duszy delikatne jak jej niebieska wstążka wspomnienie. Żyzna gleba oczekuje na nowy posiew. Oto zakwita szkarłatna róża.

Znał ją od dawna, nie przypuszczając, jak bardzo będzie przez nią cierpiał. Marynia była siostrą Antoniego, Kazimierza i Feliksa Wodzińskich, którzy mieszkali w pensjonacie ojca Fryderyka. Niejedno popołudnie spędził w Służewie, bawiąc się z małą Marynią. Dawał jej nawet lekcje fortepianu w okresie, kiedy uczenicą jego była również księżniczka Wanda Radziwiłłówna, „o palcach wróżki".

Magnacka rodzina Wodzińskich opuściła Polskę mniej więcej w tym samym czasie co Szopen, osiedlając się na dłuższy czas w Genewie, potem w Dreznie. Antoni, który zamieszkał w Paryżu, utrzymywał stały i ścisły kontakt z Fryderykiem; pisząc do rodziny podawał dużo wiadomości o jego wschodzącej gwieździe i wielkich sukcesach. Odczytując te listy musiała młodziutka Marynia wspominać lata dziecinne, spędzone razem z Fryckiem, i wpatrując się w te pełne wdzięku obrazy odczuwała pragnienie, aby powróciły jeszcze te zabawy... może tylko w innej formie...

Nie możemy twierdzić, że po pierwszych listach brata ta mała kobietka zdecydowała się na podbój tryumfatora, który wplatał w sieć swoich mazurków i walców serca paryżanek, ale wiadomo, że przy pierwszej okazji posłała przyjacielowi z lat dziecinnych pewną swoją kompozycję na fortepian.

Miłość posługiwała się muzyką, aby oderwane dźwięki połączyć w jeden akord.

Szopen, tęskniący do miłości, został od razu ujęty w jej sidła... Chęć zobaczenia Wodzińskich i z pewnością Maryni najbardziej widoczna jest w liście do Feliksa, któremu odpowiadając na zaproszenie do nich pisze, że przybyłby z radością, ale „losy srogie, nic z tego". Donosi, że otrzymał kompozycję jego siostry. „Ucieszyło mnie to niewymownie i zaraz tego samego wieczoru improwizowałem w jednym z tutejszych salonów na ładniuchny temat Maryni, z którą się to w Pszennego domu za dawnych czasów po pokojach goniło. A dziś! Pozwalam sobie posłać memu szanownemu koledze, pannie Maryni małego walczyka, którego dopiero co wydałem. Oby setną cząstkę przyjemności tej zrobił, jakiej ja doznałem odebrawszy wariacje..."

Marynia tymczasem stawała się coraz bardziej interesującą panną. Wdzięczny pączek służewski przeistoczył się w płomienną różę. Miała lat 19. Ciemna brunetka o zmysłowych, nieco grubych ustach, miała prześlicznie oprawione, aksamitne, pełne ognia i życia oczy. Zdawała już sobie doskonale sprawę z uroku, jaki wywierała na mężczyznach. Z powodu niepojętego czaru, jaki owiewał całą

jej postać, wielu biografów Szopena uważało pannę Marynię za przewrotną syrenę, która świadomie opętała serce niedoświadczonego Fryderyka.

Czytając krótkie liściki Maryni lub dopiski jej do listów matki, a także analizując głębiej ten romantyczny epizod, nie ma się wiele podstaw do sądzenia jej tak surowo. Przypuścić raczej należy, że to Fryderyk wyegzaltował a następnie wywyższył do tragedii tę niedoszłą sielankę.

Czy Marynia była piękną? Zdania są różne. Nie brakło nawet takich, którzy uważali ją za „brzydką" po prostu. Wszyscy natomiast przyznawali jej „le charme slave" oraz urok Południa, albowiem w żyłach panny Maryni płynęła również włoska krew Orsettich, którzy przybyli do Polski wraz z Boną Sforzą i spokrewnili się przez małżeństwo z rodziną Maryni.

Czy to połączony urok dwóch ras przyczynił się do rozpłomienienia młodego artysty? Wiele osób twierdziło w swoim czasie, że ponad wiek rozwinięta Marynia była wyrafinowaną kokietką i że zabawa w usidlanie serc męskich była dla niej powszednią rozrywką. Były przecież już ofiary wtedy, kiedy liczyła zaledwie 14 lat... Inni znowu zaprzeczali, jakoby miała istotnie jakieś specjalne atuty, i opisywali Marynię jako zdolną pannę, obdarzoną tylko dużym temperamentem i wiośnianym wdziękiem swoich dziewiętnastu lat. Może właśnie ten pogląd na sprawę jest najsłuszniejszy i najbardziej prawdopodobny.

Kapryśny bożek miłości poplątał nici przeznaczeń

Fryderyka i Maryni. Urok jej budzi w przeczulonym „Frycku" inne czarujące wspomnienie młodzieńczej miłości do Konstancji. I nie ma po co szukać w małej Maryni elementów tragicznych — „femme fatale", bo tragedia jest w nim samym, zespolona z jego przeznaczeniem, z trawiącą go chorobą i „ideałem"...

Po pięciu latach niewidzenia się z rodzicami w lecie 1835 roku jedzie Fryderyk do Karlsbadu, gdzie zobaczy ojca i matkę. Te pięć lat zmieniły całkowicie jego stanowisko w świecie. Obecnie tryumfalnie idzie naprzód i ta pewność siebie oraz osiągnięty cel potęgują radość spotkania. Co za szczęście ogromne bije z listów do sióstr, gdy pisze, że jest przy boku najdroższej Matki! Może też przeczucie nadchodzącej tuż, tuż miłości rozpromienia jeszcze bardziej te tryskające nadzieją i uczuciem listy...

W końcu tegoż roku Fryderyk w drodze powrotnej do Paryża odwiedza nareszcie Wodzińskich, którzy zatrzymali się w Dreznie.

Zaczyna się idylla.

Fryderyk i Marynia są ciągle razem. Spacerują po pięknych ogrodach na brzegach Elby, zwiedzają muzea, wpatrują się w arcydzieła Rafaela; wieczory spędzają bądź w domu rodziców Maryni, bądź u znajomych, bądź u wojewody Macieja Wodzińskiego, który będąc na czele senatu emigrował po upadku Warszawy i zamieszkał w Dreznie, otoczony książkami, starożytnymi medalami i sztychami.

Ten stary wuj nie lubił muzyki i raczej nieufnie

spoglądał na tych dwoje młodych, którzy się chętnie kryli po kątach....

Natomiast matka Maryni obserwowała na razie bez żadnych uprzedzeń i raczej z sympatią narodziny miłości, pomimo przesądów klasowych, i nazywała Fryderyka „czwartym synem".

Tego lata 1835 roku miłosny sen Fryderyka jest jak kwietny i rozśpiewany sad. Widzi siebie u wrót szczęścia; zaczarowane podwoje zdają się już być uchylone i oto niebawem znajdzie się w raju... Marynia będzie jego żoną, ta cudna Marynia...

Lato się kończy, zbliża się dzień rozstania. Zakochani są cisi i skupieni. Natchniona romantycznym rozrzewnieniem Marynia bierze ze stojącego przy fortepianie wazonu czerwoną różę i daje ją Fryderykowi, a jej aksamitne oczy mają wyraz tak płomienny jak szkarłat kwiatu. Wzruszony do głębi Fryderyk bez słowa przyjmuje spojrzenie i różę... siada do fortepianu i po chwili odpowiada czarującym Walcem as-dur, który odtwarza melancholijny nastrój tej chwili pożegnania.

W parę dni po wyjeździe Fryderyka pisze Marynia list do niego, pełen wdzięku i czułości, donosząc mu, że wszyscy w domu są smutni z powodu jego nieobecności w „kąciku Frycka". „W sobotę, kiedy nas Pan opuścił, każdy z nas przechadzał się smutny, z oczami pełnymi łez, po tym salonie, w którym kilka minut pierwej jeszcześmy Pana do naszego liczyli grona... O godzinie 11-tej przyszedł nauczyciel śpiewu, lekcja nader źle poszła, nie mogliśmy śpiewać. Byłeś Pan przedmiotem wszystkich rozmów. Nikt nie jadł obiadu: wszyscy spoglądali ciągle na zwykłe miejsce Pańskie u stołu, potem na kącik Frycka... Feliks wciąż prosił mnie o walca, ostatnią rzecz, jakąśmy od Pana otrzymali i słyszeli. Znajdowaliśmy przyjemność: oni w słuchaniu, a ja w graniu, gdyż nam przypominał brata, który świeżo nas opuścił. Krzesełko zawsze stoi na swoim miejscu i zapewne tak ciągle będzie, póki my w mieszkaniu zostaniemy. Wieczorem zaprowadzono nas do ciotki, aby uniknąć smutku tego pierwszego wieczoru, którego Pan nie miał spędzić z nami. Mama rozmawia ze mną tylko o Panu i o Antosiu..."

Przy końcu tego długiego listu Marynia wyraża żal, że się Fryderyk nie nazywa „Chopiński", albo że nie ma innej jakiej oznaki, „że Pan Polak, bo w ten sposób Francuzi mogliby nam wydzierać sławę, żeśmy Pańskimi rodakami". Wreszcie w post scriptum dodaje: „W chwili wsiadania do powozu zapomniał Pan na fortepianie ołówka ze swego pugilaresu. Musiało być bardzo niewygodnie bez niego w drodze, a my go tutaj chowamy z poszanowaniem, jak relikwię".

Jak relikwię też będzie przechowywała Marynia pożegnalnego walca, którego Fryderyk jej zapisał z dedykacją „pour Mlle Marie, Drezno sept. 1835".

W Paryżu Fryderyk pracował bez wytchnienia z ciągłą myślą o Maryni i gorąco pragnął najprędszego spotkania. Ojciec jego zaczyna zdawać sobie sprawę z sytuacji i pisze tak do syna dnia 9 stycznia 1836 roku: „Jak uważam, Drezno stało się dla Ciebie miejscem wielce zajmującym, które Cię zdaje

się przyciągać. W twoim wieku nie zawsze się jest panem swojej woli, można doznać wrażeń, które się nie łatwo zacierają. Ale kto może Ci przeszkodzić na przyszłą wiosnę odbyć małą podróż i poznać to, czego jeszcze nie znasz. Trzeba tylko oszczędzać, ile się da, gdyż towarzysza podróży mógłbym Ci przysłać, ale na Twój koszt. Trzeba zdrowia i środków, musisz tedy myśleć o jednym i drugim, jest to jedyny sposób, ażebyś ujrzał znowu Drezno i to, co w nim może Ciebie zajmować, o ile wrażenie jeszcze się nie zatarło"...

W listach siostry Ludwiki są też wzmianki o Maryni, widocznie Fryderyk nie taił przed swoimi miłości, która zrodziła się w jego sercu, do towarzyszki lat dziecinnych.

Rok 1836 rodzi się więc pod znakiem Maryni, ona całkowicie panuje w jego marzeniach. W Warszawie tymczasem troszczą się poważnie o jego zdrowie, które w tym okresie pozostawia do życzenia. List ojca po fałszywej pogłosce o śmierci Fryderyka, uzasadnionej ciężką chorobą, która go nagle zwaliła z nóg, jest wyrazem najgorętszych uczuć ojcowskich, a jest w nim zdanie, które się bezpośrednio odnosi do sielanki z Marynią: „Pan Wodziński był tu przed świętami; przyszedł nas odwiedzić, ale synów z nim nie było. Ze skwapliwością, z jaką się dowiadywał o nowiny od Ciebie, przekonaliśmy się później, że wiedział o krążącej pogłosce; toteż pod pozorem doczekania się poczty, aby zobaczyć niby, czy nie napiszesz czego o Antosiu, opóźnił wyjazd swój o dwa dni".

Państwo Wodzińscy szukali wszelkich sposobów, aby mieć dokładne wiadomości o zdrowiu Frycka... Pani hrabina, słodka jak miód, korespondowała z nim dość często, a że zbierała autografy wielkich ludzi, zwracała się często do Fryderyka o ich uzyskanie, od osób bawiących w Paryżu. Oczywiście, Fryderyk zdobywał te autografy z największą łatwością i doskonale wywiązywał się z zadania włożonego nań przez panią Wodzińską, która dziękując mu dodawała zawsze parę słów o Maryni.

Fryderyk zobaczył znowu swoją ukochaną dopiero w lipcu 1836 roku w Marienbadzie. Aby mieć potrzebne na podróż fundusze odmówił Mendelssohnowi i Schumannowi, którzy go zapraszali na festiwal do Düsseldorfu.

Idylla odżywa w Marienbadzie. A więc znowu nieskończone spacery we dwójkę, długie i wymowne milczenia w saloniku. Marynia ma zdolności do malarstwa, robi więc portret Fryderyka. Chciałaby mieć w pamiątkowym albumie kartę zapisaną przez niego, ale Fryderyk onieśmielony i zmieszany, nagle nie może znaleźć słów i skupić myśli. I karta na zawsze pozostanie nie zapisaną, pomimo obietnicy Fryderyka spełnienia innym razem prośby Maryni.

Na początku września odprowadza Fryderyk rodzinę Wodzińskich do Drezna, skąd mają powracać: Wodzińscy do kraju, a Fryderyk do Paryża. Na dwa dni przez wyjazdem o zmierzchu Fryderyk pyta Maryni, czy zechce być jego żoną. Słysząc z ust wzruszonej panienki upragnione „tak", prosi matkę Maryni o rękę córki. Pani Wodzińska nie ma w zasadzie

nic przeciwko „zacnemu Fryckowi", lubi go nawet bardzo i ceni, ale żąda, aby do chwili, kiedy jej mąż się w tej sprawie wypowie, porozumienie to pozostało w tajemnicy. Życzenie to powtarza nalegając jeszcze w liście swoim do Fryderyka, pisanym natychmiast po jego wyjeździe. Za jedyną przeszkodę właściwie uważałaby ona niepewne zdrowie Fryderyka. Należy dobrze zbadać tę sprawę. A on niechże się dobrze pilnuje.

W liście swoim nazywa pani Wodzińska oświadczyny Fryderyka „szarą godziną", czyli godziną zmierzchu, nie wiedząc z pewnością, jak dalece symboliczne będzie to określenie. Bo miłość ta zaledwie zrodzona kłoni się już ku zachodowi...

List zawiera mnóstwo rad, który wykazują troskę o zdrowie „czwartego syna". Ma chodzić spać o 11-ej, pić eau de gomme, nosić wełniane pończochy i wyhaftowane przez Marynię ciepłe pantofle.

Z pewnością w sercu pani Wodzińskiej dołącza się do tej troskliwości jeszcze inna, głębsza i bardziej dotycząca jej osobistych uczuć, troska o szczęście własnego dziecka.

List kończy się słowami: „Bądź posłuszny, wszakżeś obiecał, wreszcie zważ, że jest to czas próby".

15-go września brat Maryni, Kazimierz, który nie zastał już Fryderyka w Dreznie, pisze do niego serdeczny list, w którym jest własnoręczny dopisek Maryni: „Nie możemy się pocieszyć po wyjeździe Pana. Trzy upłynione dni wydawały się nam wiekami. Czy i Panu także? Czy żałuje Pan choć trochę swoich przyjaciół? Odpowiadam za Pana t a k i sądzę,

że się nie mylę; przynajmniej potrzebuję w to wierzyć. Wmawiam w siebie, że to t a k od Pana pochodzi (bo czy nie prawda, żebyś je Pan powiedział?). Pantofle skończone, posyłam je. Co mnie martwi, to że są duże, chociaż dałam trzewik Twój, carissimo maestro, na miarę. Doktor Paris pociesza mnie mówiąc, że to właśnie dobre dla Pana, bo powinien Pan w zimie nosić bardzo ciepłe skarpetki wełniane... Za dwa tygodnie jedziemy do Polski. Zobaczę Pańskich rodziców; co to za szczęście dla mnie! Ciekawam też, czy poczciwa Ludwika mnie pozna! Adieu, mio carrissimo maestro, nie zapominaj Pan teraz o Dreznie, a niedługo o Polsce, adieu, au revoir. Ach, obyż to mogło nastąpić najprędzej! Au revoir, cela fait éspérer".

Wystarczy ten list, aby nie dawać wiary biografom, którzy chcą konieczne odmalować Marynię jako przewrotną zalotnicę. Pomijając pewną dozę kokieterii, która jest i będzie cechą tak rozpowszechnioną u panienek z każdej epoki, że nie ma dobrej racji, aby przywiązywać właśnie w tym wypadku większą do niej wagę, list cały robi wrażenie raczej spontaniczne i szczere. Nie znać w nim również, jak zresztą w żadnym z późniejszych listów Maryni, ani wybitnej inteligencji, ani odrębnego czaru umysłowości, która niby miała powstać ze skrzyżowania rasy słowiańskiej z łacińską. Ta wyrafinowana „uwodzicielka", grająca mazurki i walce ukochanego, malująca jego podobiznę, starająca się skrócić czas oczekiwania haftując dla niego pantofle, zalecająca mu w listach pilnowanie zdrowia i przesyła-

jąca recepty na kaszel, jest właściwie zdolną, starannie wychowaną panienką, której przeznaczeniem było wzniesienie się ponad ogół tylko z powodu uczucia, jakim zapałał do niej Szopen.

Nie od niej też przyszło zerwanie narzeczeństwa. Fatalny zbieg okoliczności z powodu choroby Fryderyka, pogłoska nawet o jego śmierci, strach państwa Wodzińskich o to, że Fryderyk może być dotknięty straszną chorobą, która trawiła jego ojca i zabiła małą Emilkę, zadecydowały o tym, że „szara godzina" nie rozżarzyła się promiennym blaskiem i że czarna zasłona nocy opadła na nią nieodwołalnie.

„MOJA BIEDA"

W okresie niepewności i rozłąki, gdy listy pani Wodzińskiej stawały się coraz zimniejsze, a listy i dopiski Maryni coraz rzadsze, aż ustały zupełnie, dręczony tęsknotą Fryderyk brał w drżące dłonie ową różę ofiarowaną mu w chwili pożegnania przez Marynię i wpatrywał się w ten zwiędły symbol niedoszłej miłości, która konała pomiędzy odwarami na kaszel i wełnianymi pończochami...

Wodzińscy nasamprzód starali się tylko zyskać na czasie, nie mieli jakoś odwagi oznajmić Fryckowi gorzkiej prawdy; ale cofali się stanowczo i nieodwołalnie na całej linii. Listów było coraz mniej, a w tych listach coraz mniej wiadomości o Maryni.

George Sand powiedziała kiedyś o Szopenie, że

jest tak wrażliwy i delikatny, że można go zranić płatkiem zmiętej róży. Nie wiedziała wtedy, jak bliską była prawdy, nie wiedziała też o istnieniu małej paczki, zawierającej pewne listy i zwiędłą, czerwoną różę, paczki, na której Szopen własnoręcznie napisał: „M o j a b i e d a". Praktyczna i realistycznie na rzeczy patrząca Aurora Dudevant uśmiechnęłaby się prawdopodobnie z ironią, widząc ten symboliczny platonizm, ale serce Fryderyka zostało głęboko zranione cierniem ukrytym w róży małej Maryni. Tyle entuzjazmu w Dreznie, tyle słodkich nadziei w Marienbadzie, i to wszystko musiało się zamienić w rosnącą wciąż desperację, bo w końcu Fryderyk zrozumiał prawdziwy powód utraty Maryni. Jego zdrowie... a więc aż tak źle było...

Na razie pani Wodzińska rozpisywała się dość obszernie o synach, autografach, o fortepianie, który posłał Szopen, o ich życiu; dodawała też kilka słów o córkach; Marynia własnoręcznie dopisywała się do tych listów parę razy.

Oto co pisze 2 października 1836 roku: „Ślicznie dziękuję za autografy i proszę o więcej (to Mama kazała napisać). Teraz jak najśpieszniej jedziemy do Warszawy. Jakże się cieszę, że zobaczę całą rodzinę Pańską, a w roku przyszłym Pana. Do widzenia do maja lub czerwca, albo później. Je recommande à Votre souvenir Votre très fidèle secrétaire. Maria".

A dnia 25 stycznia 1837 roku pisze ze Służewa pani Wodzińska: „Mój poczciwy Frycku, odebraliśmy dawno i bardzo dawno Twój list, a wkrótce

potem paczkę z nutami, za które dziękować nie będę, ale połaję. Jak można było posyłać Kepsach! Również o fortepianie pisząc nie napisałeś, ile Ci przesłać... Autografy przedziwne, przypisek Heinego i Arlincourt bardzo miły mi, również bilecik Custin".

Do tego listu z pewną naiwną nutką dodaje Marynia: „Mama połajała, a więc ja ślicznie dziękuję, a jak się zobaczymy, to jeszcze ładniej podziękuję. Znać, żem bardzo leniwa do pisania, bo to odłożenie do zobaczenia zwalnia mnie z wielu słów teraz. Mama opisała tryb życia naszego, więc już mnie nic nowego nie pozostaje do doniesienia; chyba to, że mamy odwilż. Wielka nowina, nieprawdaż? Życie spokojne, jakie prowadzimy tutaj, jest tym, czego mi potrzeba w tej chwili; nie chciałabym jednak, żeby zawsze było takim. Człowiek poddając się losowi wybiera, co może najlepszego, gdy nie może być inaczej. Zajmuję się nieco dla zabicia czasu. Mam w tej chwili w ręku „Niemcy" Heinego, które mnie niezmiernie interesują. Lecz trzeba kończyć i Pana łasce Bożej polecić. Myślę, że chyba nie potrzebuję raz jeszcze zapewnić Pana o uczuciach wiernych jego sekretarza. Maria".

Czy nie jest to liścik dobrej panienki raczej niż przebiegłej syreny?

Fryderyk posyła Maryni wkrótce album z czterema mazurkami wydanymi przez Breitkopfa w Lipsku. „Nie posiadając się z radości" — według słów matki — Marynia dziękuje mu krótkim, po francusku pisanym listem: „Piszę do Pana parę słów dziękując

Mu za śliczny album, który mi Pan przysłał. Na darmo byłoby próbować wyrazić radość moją, gdy go dostałam. Proszę przyjąć wyrazy głębokiej wdzięczności, jaką mam dla Niego. Proszę wierzyć w dozgonne przywiązanie całej naszej rodziny dla Pana, a szczególnie najgorszej uczennicy Pana i towarzyszki lat dziecinnych. Adieu, Mama ściska Pana czule. Teresia co moment wspomina swego Chopina. Adieu, proszę zachować nas w pamięci. Maria".

Nic więcej. Fryderyk nie wierzy swoim oczom, bo to przecież wygląda na zerwanie prawie. Czyta i czyta tę dziwną kartkę. Co się stało w Służewie? Dlaczego Marynia nie mówi o zobaczeniu w przyszłości?

Czym prędzej pisze Fryderyk list do pani Wodzińskiej. Odpowiedź na ten list i na inne podobne zdawkowa. Fryderyk zaczyna rozumieć. Narzeczeństwo jest zerwane bez słów, ale stanowczo. Maria już nigdy więcej nie napisze, zapomni o nim, jako o przyszłym mężu; w oceanie milczenia tonie piękny sen Fryderyka.

Lato 1837 roku. Fryderyk nie ma sił, żeby walczyć z przeznaczeniem. Przyjmuje cierpienie pokornie, bo też zrozumiał, że musi być poważnie chory; o to przecież rozbiło się jego szczęście. Bierze więc drżącymi rękoma wszystkie listy pani Wodzińskiej, wszystkie dopiski i kartki pisane przez Marynię i łącząc je wraz z różą, którą mu ona kiedyś ofiarowała, w jedną paczkę, pisze na niej „Moja Bieda".

I odkłada tę paczkę tam, gdzie spoczywa już inna pamiątka sprzed lat, niebieska wstążka Konstancji...

Motyw przewodni z listu Fryderyka do Tytusa Woyciechowskiego: „ja już na moje nieszczęście mam mój ideał" zostaje podchwycony i pogłębiony przez te dwa słowa: „Moja Bieda".

Wtedy Adagio z koncertu i Walc Des dur, teraz Walc pożegnalny i tragiczna Ballada. Ta genialna zdaniem Schumanna ballada, to nieśmiertelny pomnik miłości Fryderyka. Ale jest w niej nie tylko miłość do panny Wodzińskiej, jest coś, co wznosi ją ponad złamane uczucie do zbyt nie zdecydowanej narzeczonej, coś co stanowi o jej niezaprzeczalnej i tragicznej wielkości: to miłość do Polski, do tej jedynej ukochanej, która go nie zdradza i nie opuszcza.

Jesienią roku 1837 Kamil Pleyel, zaniepokojony przybitym wyglądem Fryderyka, namawia go na wspólną wycieczkę do Anglii; cel wyprawy jest jednak chybiony. Fryderyk choruje stale w Londynie i nie przestaje myśleć o tej, która opuściła go, posłuszna przede wszystkim woli rodziców, dbających o szczęście córki.

Życie Maryni nie miało w sobie nic, co by wyszło poza ramki powszedniości. Została poślubiona najpierw hr. Józefowi Skarbkowi, a po anulacji tego małżeństwa wyszła jeszcze za mąż za Władysława Orpiszewskiego. Grywała utwory Fryderyka na koncertach nawet i wtedy wspominała z pewnością idyllę, która zbliżyła ją do losów wielkiego geniusza.

Dla Fryderyka zerwanie z Marynią miało bardzo głębokie znaczenie: od chwili gdy zrozumiał jego prawdziwy powód, załamały się w nim młodzieńcze nadzieje i wiara w przyszłość. Ono to wyrwało go ze świata złudzeń i rzuciło w rozpaczliwą otchłań, gdzie zwyciężeni znajdują się nagle oko w oko z przeznaczeniem.

Zanim choroba zaatakuje niemiłosiernie jego płuca, gardło i serce, Fryderyk odczuje już samotność konieczną tej walki duchowej, którą ma stoczyć, aby się wznieść na wyżyny. Durch Leiden zur Freude, poprzez cierpienie ku radości!

Ale któż może ogarnąć ten wielki żal, osamotnienie i strach przed przyszłością, rodzącą się już neurastenią, tęsknotą, która brała nieubłagalnie w swe posiadanie wrażliwą duszę Fryderyka, szarpała jego przeczulonym sercem, potęgowała rozwój choroby, tak że stracił poczucie proporcji i realnej wartości wyidealizowanego i urojonego szczęścia?

Maria przesłoniła mu cały świat, zdawała się być jedyną nadzieją, jedynym pragnieniem, uosobieniem ideału, zrealizowaniem wszystkich marzeń, kobietą, która by go uzdrowiła i uszczęśliwiła. Co oznaczało jej milczenie? Za co opuszczała go?

Przeczucia zerwania przechodzą w pewność. Maria jest utracona na wieki. Po co dalej żyć?... Dla kogo? Chyba po to, aby wygrać swój żal... Przeznaczeniem Maryni, tak jak przeznaczeniem Julii Guicciardi, było odosobnienie wewnętrzne dwóch geniuszy przez postawienie ich wobec własnej tragicznej prawdy: głuchoty jednego i suchot drugiego. Odma-

wiając miłości Beethovenowi i wzmacniając jego „zatrucie samotnością“ Julia popycha go do stworzenia proroczej IX Symfonii. Raniąc i opuszczając Fryderyka Maria Wodzińska potęguje w duszy jego stan niepokoju i tęsknoty, ten „żal“, którego nieśmiertelny odblask znajduje się w majorskich Preludiach.

I oto następuje przemienienie. Boleść znika, aby ustąpić miejsca potężnemu i wszechwładnemu geniuszowi, sile natchnienia, która unosi Fryderyka poza dręczący go świat realności, a ręce pieszcząc zwiędły kwiat pragną i czują w sobie siłę i moc rozgrzania zimnych klawiszy. Fryderyk składa purpurową różę Maryni obok niebieskiej wstążki Konstancji na wieczny odpoczynek i zbliża się do fortepianu...

Rodzi się Ballada F-moll, nieśmiertelny i niezniszczalny pomnik jego miłości do Maryni, jak ongi zrodziło się Adagio do koncertu i Walc dla Konstancji. U istot przeznaczonych do wielkich objawień ograniczenie uczuć i wyrzeczenie się miłości stanowi nieraz o rozszerzeniu nieoczekiwanym i bezmiernym horyzontów duchowych. Na początku dusza wzburzona opiera się i buntuje, ale wystarcza, żeby się jej raz ukazała, a zostanie na zawsze przyjęta ta jedyna, niezaprzeczalna i wiekuista prawda: nie masz zdobyczy bez cierpienia.

OKRES TRZECI

„Tu śmiertelnie chory napisał rajską muzykę i dał fortepianowi głos nieskończoności“.

George Sand

W tym okresie, trwającym od 1838 do 1840 roku, trzeci składnik przeznaczenia Fryderyka, suchoty, przyłączają się do poprzednich, aby rzeźbić jego ducha i prowadzić go ku nieskończoności.

Na scenę wchodzi George Sand.

Jest ona na Majorce przy wywiązaniu się w całej grozie straszliwej choroby, która podczas dżdżystej zimy, w atmosferze mistycznego upadku klasztoru Kartuzów, porwie Szopena w swoje szpony.

Crescendo rozpaczy wznosi się w majorskich Preludiach.

Tam wpatrzony w gwiaździsty szlak, zrozumie On treść, znaczenie i potęgę swojej męki i powtórzy z dostojną rezygnacją za Hamletem:

„Przeznaczenie woła“.

SPOTKANIE Z GEORGE SAND

Opinia co do miejsca, gdzie nastąpiło to spotkanie, do dziś dnia nie jest jeszcze ustalona. Możliwe, że Fryderyk ujrzał po raz pierwszy swoją przyszłą kochankę w Hôtel de France, gdzie hrabina Maria d'Agoult, przyjaciółka Liszta, zamieszkała po powrocie z Genewy, jesienią roku 1836. Tak twierdzi przynajmniej Hiller. Z tego zaś, co pisze Franciszek Liszt, wywnioskować można, że poznali się w domu Szopena. W liście Hillera do genialnego Węgra jest taki ustęp: „naprawdę cała śmietanka literatury francuskiej była wczoraj u was, nie brakło naturalnie George. W drodze do domu Szopen powiedział mi: „co za antypatyczna kobieta ta George Sand; właściwie, czy naprawdę kobieta! Gotów jestem powątpiewać..."

Podobno wielka pisarka chciała od dawna poznać Fryderyka. Znużona miłostkami, rozczarowana pustką przygód zmysłowych, pragnęła czegoś nowego, wzniosłego i czystego. Kierowana jakby szóstym zmysłem, idąc za głosem intuicji, pani baronowa Aurora Dudevant wyczuła, że dotknięty boleśnie strzałą Amora Fryderyk potrzebuje delikatnej, kobiecej czułości. Podczas okresu gdy trwał jej miłosny stosunek z Alfredem de Musset, nabrała George

Sand przyzwyczajenia i gustu do macierzyńskiej opieki nad kochankiem. Postawa tego rodzaju i zabarwienie na ten ton stosunku dogadzało chwilowo tej trzydziestoczteroletniej kobiecie, spalonej w ogniu namiętności. Zbliżając się do tej, tak odrębnej słowiańskiej duszy, zamkniętej wraz ze swoim bólem w subtelnej, ale mocnej twierdzy rezygnacji, miała może rozczarowana pani baronowa nadzieję ucieczki od nudy, która poważnie jej zagrażała, jako nieunikniony skutek zbyt wielkiej ilości przygód bez głębszej treści.

Ten blady, jasnowłosy młodzieniec o niebywałych, wychwalanych wciąż przez dobrego przyjaciela Liszta, zaletach, ten Szopen rozrywany przez najkulturalniejsze i najmodniejsze salony Paryża, ten artysta, który wprowadzał w zachwyt kobiety, wyczarowując na fortepianie bajki o miłości, zdawał się być książątkiem na wygnaniu, i którego uduchowione oblicze rumieniło się tak wdzięcznie na odgłos imienia „Maria", był naprawdę obiektem bardzo ciekawym i godnym bliższego poznania.

Kontrast pomiędzy George Sand, noszącą męskie czerwone spodnie i palącą długie cygara, pozującą na demokratkę i socjalistkę, a tym muzykiem, który był uosobieniem wyrafinowania, był istotnie bardzo podniecający. Wyczuwała też ona może, jako artystka wielkiej miary i kobieta obdarzona szczególną intuicją, że w tym człowieku mogła się kryć odpowiedź i rozwiązanie jej bujnego przeznaczenia na tle nieokiełznanego temperamentu.

A wreszcie jakżeby pogardziła możliwością dołą-

czenia do imion Prospera Mériméego, autora „Carmen" i Alfreda de Musset, słynnego już imienia Ariela fortepianu... Z czasem doda pani Sand do bransoletki zrobionej z symbolicznych pierścieni jeszcze jeden pierścień, opatrzony w pewne znaki muzyczne, na pamiątkę tej przygody miłosnej „avec le petit Chopin", jak go nieraz nazywała... Nosiła tę bransoletkę na wielkie występy, jakby jaki herb miłosny albo muzeum przygód.

W każdym razie inicjatywa spotkania z Fryderykiem wyszła na pewno od niej. Powiedziała przecież Lisztowi: „Przyprowadźcie mi kiedy Szopena". Fryderyk, który nie otrząsnął się jeszcze ze smutku po nieszczęśliwym zakończeniu idylli z Marynią, z pewnością nie szukał nowych twierdz do zdobycia; trwał jakby w odrętwieniu po tym bolesnym doświadczeniu. Poza tym nie znosił kobiet literatek, które stroiły się w szaty intelektualizmu, zatracając przy tym kobiecość. W tym okresie dbał naprawdę tylko o towarzystwo Liszta; grywali dużo razem, Liszt był u niego stałym gościem.

I oto któregoś wieczoru, jak opowiada wielki kompozytor węgierski, on i hrabina d'Agoult przyprowadzili do Fryderyka George Sand.

„Mieszkanie jego, dokąd wpadliśmy niespodziewanie, było zaledwie oświetlone kilku świecami, zgrupowanymi dookoła jednego z tych fortepianów Pleyela, które tak bardzo lubił. Z powodu tonących w mroku bardziej oddalonych od fortepianu zakątków, salon zdawał się rozszerzać do nieskończoności i unosić się w ciemnych przestworzach. Zaledwie do-

strzegalny białawy zarys jakiegoś mebla w pokrowcu był jakby widmem, które wywołane muzyką przyszło słuchać nieziemskich akordów. Skupione przy fortepianie światło spływało rozproszoną falą na podłogę i kładło się u stóp kominka, gdzie ruchliwe, pomarańczowe krótkie płomyki zdawały się być krępymi karłami, ciekawie przysłuchującymi się dźwiękom pochodzącym z ich świata. Dookoła fortepianu wiele znanych twarzy i wiele nazwisk sławnych: Henryk Heine, najsmutniejszy z humorystów, Hiller, stary Niemcewicz, Eugeniusz Delacroix, skupiony i cichy. Pani Sand zapadła w głęboki fotel: zainteresowana i uważna, a po chwili oczarowana i... ujarzmiona. I wreszcie zamknięty w sobie, milczący Mickiewicz, którego profil odbijał w oddaleniu od wszystkich".

Lionello Balestrieri, znany malarz włoski, namalował podług tego opisu Liszta swój słynny obraz.

W gronie artystów oddanych szczerze, całym sercem Szopenowi, jakże odbija postać pani Sand, kłoniąca się ku temu, którego dusza w tej chwili, pochylona nad klawiaturą, marzy...

Jeżeli trudno jest powiedzieć z pewnością, czy spotkanie Fryderyka z wielką powieściopisarką odbyło się w tym czy innym salonie, to nie ulega wątpliwości, że poznali się przez wspólnego przyjaciela Liszta. Potwierdza to osobiście autorka Lelii. „Warunki życia w Hôtel de France, gdzie za namową pani d'Agoult zamieszkałam przy niej, były bardzo przyjemne, na jakiś czas. Przyjmowała ona wybitnych artystów, literatów i w ogóle inteligentnych

i dystyngowanych ludzi. U niej lub przez nią poznałam Eugeniusza Sue, barona von Ecksteina, Szopena, Mickiewicza, Nourrita i innych. Moi przyjaciele stali się jej przyjaciółmi. Znała ona również Lamennais'go, Piotra Leroux, Henryka Heinego. Jej zaimprowizowany w hotelu salon stał się ośrodkiem całej elity, a ona przewodniczyła zebraniom tej elity z ogromnym wdziękiem... Nieraz słyszeć można u niej godną podziwu, doskonałą muzykę".

W tym właśnie niepospolitym i oryginalnym salonie Fryderyk i George Sand spotykali się bardzo często w zimie 1836 roku. Jasnowłosa hrabina d'Agoult nie była jeszcze opanowana przez manię literacką; wystarczało jej wybitne miejsce we własnym kulturalnym salonie. Umiała doskonale, jak twierdzi George Sand, przyjmować i niejako przewodniczyć tym zebraniom w roli pani domu, miała dar łączenia najbardziej rozbieżnych indywidualności w jedną interesującą całość. Maria d'Agoult była stanowczo nieprzeciętnie inteligentną kobietą, obdarzoną niepospolitą urodą. Była córką francuskiego szlachcica i Niemki z Frankfurtu; za hrabiego d'Agoult wyszła za mąż bardzo młodo, bez entuzjazmu. Lubiła wykwintne stroje i była uważana za bardzo elegancką kobietę.

Piękna hrabina pragnęła od dawna stać się natchnieniem jakiego wielkiego artysty, chętnie wzbudzałaby też tragiczne płomienne namiętności. Toteż gdy poznała urodziwego i genialnego Franciszka Liszta, nie wątpiła ani chwili, że wybiła jej godzina, że ten młody Węgier, podziwiany przez tłumy

i uwielbiany przez kobiety, był jej przeznaczeniem. Skutkiem tego powstał wielki skandal w roku 1835, albowiem pani hrabina d'Agoult, opuszczając męża i córkę, przeniosła się po prostu do mieszkania Franciszka Liszta. Miała wówczas 29 lat, a genialny wirtuoz 22 lata.

Wkrótce burza wznieciona tą niedozwoloną miłością uspokoiła się zupełnie. W tej epoce hołdowano na przemian cierpliwej lub zrozpaczonej moralności, to znów wystawionej na widowisko i zaledwie przykrytej płaszczykiem romantycznej obłudy, wolnej miłości. W przedmowie swojej do „Mademoiselle de Maupin" Teofil Gautier maluje właśnie w roku 1834 dokładny i barwny obraz ówczesnego życia, kiedy to obok namiętności Liszt-Agoult, z której zrodziła się córka Cosima, ostatnia żona Ryszarda Wagnera, zakwitła miłosna przygoda George Sand i Szopena.

Przyjaźń genialnych muzyków przetrwała dłużej niż przyjaźń baronowej i hrabiny. Obie kobiety miały charaktery wybitnie niezależne i samodzielne, ale zasadniczo niepodobne do siebie. Lubiły się wzajemnie tylko przez krótki stosunkowo okres czasu. Potem zaczęło wzrastać w Marii d'Agoult niezadowolenie, że się jej nie udała rola nieograniczonej władczyni serca i inspiratorki Liszta. Uważała, że się do tego przyczyniła pochłaniająca mistrza przyjaźń jego do Fryderyka i George Sand. Poza tym dołączyła się do tego uczucia zazdrość o sukcesy literackie kochanki Szopena. Toteż zerwała wkrótce z nimi sto-

sunki, i.... zaczęła pisać romanse pod pseudonimem Daniel Stern.

PANI BARONOWA AURORA DUDEVANT

Aurora Dupin, małżonka barona Dudevant, miała po ojcu arystokratycznego pradziadka, Maurycego Saskiego, a po matce pospolitych przodków z najniższych warstw ludowych. Jak pochodzenie tak i natura tej osobliwej kobiety była nader skomplikowana: czułostkowa i namiętna, porywcza i opanowana zarazem, niewolnica nieraz swoich zmysłów, a jednak łaknąca czystości moralnej i tęskniąca do wyższych ideałów. Poszukująca wciąż nowych przygód, aby nareszcie znaleźć prawdziwą miłość, George Sand miała w głębi duszy jakieś nie ukojone uczucie, szczodre jak miłość matki i zachłanne jak namiętność kochanki. Dwie przygody z Szopenem i Mussetem podkreśliły znacząco te cechy miłośnicy o zabarwieniu macierzyńskim. W opiece nad słabszą istotą znajdowała jakiś specjalny urok i doznawała w tych warunkach najbardziej podniecających wrażeń.

Ta wielka powieściopisarka, która pomimo usilnych poszukiwań nie znalazła jeszcze godnego siebie towarzysza, używała chętnie ulubionego motto swego bohaterskiego pradziadka: „Życie dla mnie to krótki, ale piękny sen".

O czymże śniła podziwiana przez wszystkich literatka? O szczęściu. Dlatego tak pragnęła i szukała miłości i sławy.

Gdy poznała Fryderyka, sławną już była: jej romanse zrobiły z niej gwiazdę pierwszorzędnej wielkości na firmamencie paryskim, poza tym ta gwiazda wyłaniała się właśnie zza chmurki, która wraz z nią ukrywała wielkiego poetę Alfreda de Musset... Słowem, sławy nie potrzebowała szukać. Balzac twierdzi nawet, że unikała manifestacji publicznych i traktowała bardzo ozięble pochlebców.

Ale miłość... ta strona życia nie przestała pobudzać jej wyobraźni w chwili, gdy stanął przed nią smutny, owiany nimbem egzotyzmu Fryderyk.

Niełatwe to zadanie zanalizować jej istotne uczucia, ogarnąć potęgę jej bujnego temperamentu, iść w ślad za jej poprzednimi przygodami, zrozumieć jej ideologię wolnej miłości, jej poszukiwanie człowieka, który by ją rozumiał i kochał, tak jak ona tego pragnęła.

Pewna postać z jej romansu „Lelia", odzwierciedlająca bez wątpienia idee autorki, mówi: „Od lat tysiąca wołam w nieskończoność: Prawdy! Prawdy! Od lat tysiąca nieskończoność odpowiada mi: Pragnienie! Pragnienie!"

Istotnie pragnienie miłości było jej „daimonem", a poznając ją głębiej dochodzi się do przeświadczenia, że w swoich przygodach miłosnych szukała znacznie mniej zaspokojenia zmysłów niż możliwości odnalezienia siebie samej.

Trzeba pamiętać, że wyszła za mąż bardzo młodo za barona Dudevant, z którym miała dwoje dzieci: Maurycego i Solange. Małżonek okazał się wkrótce ordynarnym pijusem, trywialnym brutalem, który

rujnował i bił swoją żonę, aż się musiała z nim rozstać, a to pierwsze gorzkie rozczarowanie przyczyniło się z pewnością do tak gorączkowego poszukiwania kompensaty i szczęścia.

Pierwszym, który kształtował duszę dwudziestosiedmioletniej Aurory, był jej kochanek Juliusz Sandeau, wykładający przed nią swoje wywrotowe teorie o boskiej i wolnej miłości. Aurora natychmiast przywłaszczyła je sobie podając publiczności w romansie „Leone Leoni" i wprowadzając je też w życie. Jej spontaniczna, zmysłowa i szczera natura była bardzo podatnym gruntem dla zaszczepienia tego rodzaju przekonań. A poza tym... jakże były wygodne!

Z pierwszej połowy nazwiska kochanka stwarza sobie pani baronowa na wieczną tej rzeczy pamiątkę pseudonim: od tej chwili nazywać się będzie Sand.

Po tej przygodzie następuje inna, zawsze w poszukiwaniu prawdziwej miłości: Prosper Mérimée, autor „Carmen" i „Kroniki panowania Karola IX". Ale i tym razem, sądząc z jej listu do Saint Beuve'a, nie jest to jeszcze ten ideał, którego pragnie.

George Sand ma pasję zwierzania się swoim przyjaciołom z najbardziej intymnych przeżyć, listy jej graniczą nieraz z cynizmem, ale są zawsze szczere. Tym razem wyjaśnia Saint Beuve'owi, dlaczego zrywa z Mériméem, skarżąc się, że nie potrafił jej kochać, w przeciwnym razie byłaby, jak się wyraża, „wybawioną". Szukała miłości, która by ją uleczyła z napięcia zmysłowego, ze szponów namiętności.

A więc nowa miłość po krótkiej przerwie: Alfred de Musset.

Będzież on tym idealnym kochankiem, „panem jej myśli i sługą jej ciała?"

Nic podobnego. Alfred de Musset, to największe rozczarowanie jej życia, jak się wydaje pani baronowej. Poeta miał wówczas 22 lata. Wysoki, szczupły, elegancki, pewny siebie, o oczach pozbawionych rzęs i tym bardziej wyrazistych i aroganckich, o uśmiechu wyzywającym, cudownych arystokratycznych rękach, umyśle bystrym, przekonaniach wrogich ówczesnej socjologii, miał w owej chwili jedyny cel: przygody miłosne.

Dążące w tym samym kierunku meteory musiały się spotkać; nastąpiło zderzenie. Ich wspólne życie było piekłem. Pani Sand potrafiła być bardzo brutalną i nie liczyła się z nikim i z niczym, nie hamowała ani słów swoich, ani czynów. Alfred de Musset, który w gruncie rzeczy miał w sobie stokroć więcej wyrafinowanej i zaostrzonej przez chorobę złości, starał się zatruć jej duszę. Oboje pozostawili nam dokumenty świadczące o charakterze tej straszliwej namiętności; George Sand w książce „Ona i on", a Alfred de Musset w „Spowiedzi dziecięcia wieku".

Pomimo różnicy zabarwienia charakterów Musseta i Szopena, przygoda Sand - Musset ma wiele elementów podobnych do przygody Sand - Szopen. A kiedy miłość w obu wypadkach zaczyna zamierać, każde z nich szuka schronienia we własnej najgłębszej prawdzie: ona w zawrotnym wirze pracy, a obaj kochankowie w kontemplacji duszy własnej na tle

choroby. Doświadczenie z chorym na suchoty Mussetem było prologiem do związku z Szopenem. Wobec cierpiącego maniaka Musseta mogła George Sand przekonać się o swoim powołaniu i zaletach w roli kochanki i pielęgniarki.

Wiemy, jak się zakończyła ta miłość w Wenecji: trochę za często zadurzająca się autorka „Spirydiona", zakochała się tym razem, po prostu przy łóżku cierpiącego Musseta, w doktorze, który leczył chorego poetę. Podwójna kuracja udała się doskonale. Po miesiącu wyleczony z miłości i bronchitu Alfred pisze do George Sand: „Myślałaś, żeś była mą kochanką, a byłaś tylko matką".

„Tylko matką". Jest w tym wielka prawda. Nie darmo Alfred de Musset wpatrywał się w otchłań swoich uczuć i uczuć swojej kochanki: dojrzał coś, o czym ona sama jeszcze nie wiedziała, coś co było poza namiętnością, poza pożądaniem zmysłowym, coś co się ukazywało w godzinach decydujących jej życia. Istotnie, wkrótce po zerwaniu z Mussetem notowała ona w swoim poufnym dzienniku: „Pragnę towarzystwa artystów. Niech silni odejdą ode mnie. Chcę cierpieć dla kogoś. Muszę odżywiać w sobie tę macierzyńską czułość, która zrodziła się we mnie podczas pielęgnowania istoty znękanej i chorej..."

W tym to stanie ducha, po szeregu innych jeszcze erotycznych i uczuciowych przejść, ukazuje się nam trzydziestoczteroletnia George Sand, dojrzała i doświadczona znawczyni miłości, rozczarowana kochanka, łaknąca zawsze szczęścia. Kielich rozkoszy zdawał się być wychylony do dna, ale nie był prze-

cie jeszcze znaleziony ten, który miał być „panem jej myśli i sługą jej ciała"...

Jednocześnie powierzała wychowanie swoich dzieci coraz to innym nauczycielom, do których starała się zbliżyć jak najbardziej. Pewnie po to, by ich lepiej poznać i przekonać się, w jakie ręce oddawała Maurycego i małą Solange. Zaprawdę trudno jest zbadać i określić dokładnie, jaki rodzaj uczucia łączył Szopena stojącego na poważnym przełomowym punkcie życia z tą kobietą, która pozowała na socjalistkę, a była arystokratką właściwie, która ubierała się po męsku, a miała niezaprzeczalnie wiele kobiecości.

Zobaczmy, co pisze po wizycie u niej w Nohant Balzac do swojej przyjaciółki, pani Hańskiej, dnia 2 marca 1838 roku.

„Zastałem mego kolegę Jerzego Sanda w szlafroku, przed kominkiem, w wielkim pokoju, samego palącego cygaro po obiedzie. Miała na sobie ładne żółte pantofle, kokieteryjne pończochy i czerwone spodnie. Jeżeli chodzi o stronę fizyczną, to może już się pochwalić drugim podbródkiem, jak jaki kanonik. Pomimo niesłychanych przejść, jakie miała, nie posiada ani jednego siwego włosa; jej śniada cera nic się nie zmieniła: jej piękne oczy błyszczą zawsze; a nie ma wcale mądrej miny, jak się zamyśli, bo jakem jej powiedział po wystudiowaniu jej należycie, cała jej fizjognomia jest w oczach. Mieszka od roku w Nohant, jest bardzo smutna, pracuje ogromnie. Prowadzi tryb życia taki mniej więcej jak mój. Idzie spać o szóstej rano i wstaje w południe, ja zaś

idę do łóżka o szóstej wieczór i wstaję o północy. Zastosowałem się jednak do jej przyzwyczajeń i przegadaliśmy przez te trzy dni od piątej po południu do piątej rano. W ten sposób poznaliśmy się lepiej podczas tych trzech konwersacji niż przez cztery lata, gdy bywała u mnie w okresie zakochania w Juliuszu Sandeau, a potem podczas związku z Mussetem... Wyszło mi na korzyść, żem się z nią zobaczył, gdyż porobiliśmy sobie wzajemnie wiele zwierzeń o Juliuszu Sandeau. Co do mnie, to będąc ostatnim z tych, którzy ją czynili winną tego zerwania, dziś mam dla niej tylko głębokie współczucie, tak jak je pani będzie miała dla mnie, kiedy się dowie, z kim mieliśmy do czynienia ona w miłości, ja w przyjaźni. A jednak była ona jeszcze szczęśliwsza z Mussetem. I oto obecnie pogrążyła się w głębokim odosobnieniu, złorzecząc i miłości, i małżeństwu, bo w obu wypadkach nie miała nic prócz zawodu. Typ mężczyzny, który by jej odpowiadał, jest rzadki. I tym będzie rzadszy, że ona nie jest miłą i trudno da się kochać. Jest to mężczyzna, artysta, jest mocna, szczodra, oddana, czysta; ma cechy męskie w wyglądzie, ergo nie jest kobietą... Przegadaliśmy całą noc o wielkim zagadnieniu małżeństwa i wolności. Ja jestem stanowczo za wolnością dziewczyny i niewolnictwem kobiety, to znaczy, że chcę, aby przed ślubem wiedziała, do czego się przygotowuje, i zbadała wszystko; gdy jednak obliczy swe możliwości i podpisze umowę, ma być wierną. Zrobiłem dobrze zmuszając panią Dudevant do uznania konieczności małżeństwa, uwierzy w to, i jestem przekonany, żem jej wyświadczył

usługę. Jest wzorową matką, uwielbianą przez swoje dzieci, ale przebiera małą Solange za chłopca, co nie jest dobre. Słowem, jest to pod względem moralnym dwudziestoletni chłopiec, cnotliwy i skromny, artystą zaś jest tylko powierzchownie. Nie zna miary w paleniu, pozuje może zanadto na księżniczkę, toteż z pewnością w księżniczce swego „Secrétaire Intime" bardzo wiernie odmalowała siebie samą. Podkpiwa tak jak i ja ze swojej sławy. Pogardza publicznością, którą nazywa Jumento. Opowiem Pani o wielkich ukrytych ofiarach, jakie poniosła dla tych dwóch mężczyzn, i powie Pani sobie wówczas, że nie ma nic wspólnego pomiędzy aniołami i szatanami. Głupstwa, jakie popełniła, są tylko tytułem do chwały dla wzniosłych i pięknych dusz... Jest ona jednym z tych duchów o potężnej inteligencji przy stoliku pracy, ale słabych na terenie rzeczywistości... Będzie ona zawsze nieszczęśliwą. Obecnie na przykład kocha się w mężczyźnie znacznie niższym od niej pod każdym względem, taki związek daje jej tylko zawody i rozczarowanie jako kobiecie o pięknej duszy; bo kobieta musi kochać mężczyznę, który góruje nad nią, albo przynajmniej powinna być tak dobrze zwodzoną, aby wierzyć, że tak jest; wynik będzie ten sam..."

Podałem najbardziej interesujące urywki listu tego głębokiego psychologa, jakim był autor „Comédie Humaine", ponieważ w tym oświetleniu George Sand ukazuje się nam w bardziej przychylnej opinii na tle swej moralnej i niemoralnej epoki.

W przeciwieństwie do Baudelaire'a Balzac sądził bardzo optymistycznie wielką literatkę, krytykując

właściwie tylko z punktu widzenia obyczajowości przebieranie dziewięcioletniej Solange za chłopaka... List ten jest godny uwagi ze względu na to, że nosi datę 2 marca 1838 roku, czyli odmalowuje nam autorkę „Lelii" w wilię wyjazdu na Wyspy Balearskie.

Zobaczmyż teraz, jak znacznie później, bo aż w roku 1855-ym, tj. w 6 lat po śmierci Szopena, pisał jeszcze o pani Sand wielki pisarz Heine: „Jest to największa literatka Francji i niezwykle piękna kobieta. Tak jak genialność objawiająca się w jej twórczości, również oblicze jej jest bardziej piękne niż interesujące, bo interesującym nazwałbym raczej jakieś wdzięczne i uduchowione zboczenie od typowej linii Piękna. Twarz zaś pani Sand ma regularność klasycznych greckich rysów. Nie ma w niej jednakże właściwej antycznym posągom surowości, przeciwnie, jakby welon smutku, łagodzi jej wyraz współczesny romantyzm. Czoło jej nie jest wysokie, a bogate i przepiękne kasztanowate włosy opadają z obu stron głowy na ramiona. Oczy trochę przymglone jakby nie mają blasku, ogień ich wygasł zapewne wskutek tylu wylanych łez, a może przeszedł do jakiego z romansów, którymi rozpłomieniła cały świat i wznieciła pożar w tylu mózgach kobiecych. Oskarżono ją jako straszliwego podpalacza... Ale oczy autorki „Lelii" są łagodne i spokojne i w niczym nie przypominają Sodomy i Gomorry. Nie ma ani niezależnego orlego nosa, ani dowcipnie zadartego małego noska; jej nos jest po prostu równy i normalny. Na ustach błądzi zwykle dobroduszny, ale niezbyt pociągający

uśmiech. Z lekka zwisająca dolna warga zdaje się świadczyć o pewnym zmęczeniu zmysłów. Podbródek trochę za pełny, ale bardzo pięknie zarysowany. Jej plecy zaś są więcej niż piękne, są po prostu wspaniałe. To samo można powiedzieć o ramionach i rękach zgrabnych, małych tak jak i jej stopy. Co się tyczy ogólnej budowy, zdaje się być trochę za tęga albo przynajmniej za krótka. Tylko głowa ma pieczęć ideału. Głos przytłumiony, bezdźwięczny, ale przyjemny i łagodny. Jej naturalny sposób mówienia i ton mają ogromnie dużo wdzięku. Żadnej błyskotliwości w głosie lub rozmowie, ani też musującego dowcipu Francuzów, a tym mniej ich nieskończonej gadatliwości. Ta powściągliwość w mowie nie jest jednakże spowodowana skromnością lub głębokim i poważnym zainteresowaniem osobami, które z nią rozmawiają: jest małomówna przez pychę, bo mało kogo uważa za godnego rozrzutności umysłowej, a także przez egoizm, bo stara się wchłaniać to, co jest najlepszego w słowach innych osób, aby te cudze idee, przyswojone przez jej umysłowość, wydały następnie plon w jej dziełach".

Usłyszawszy więc od Balzaca jego opinię o stronie moralnej pani Sand po burzliwych przeżyciach z Mussetem i przypatrzywszy się oczyma Heinego jej postaci fizycznej po nawałnicy z Szopenem, posłuchajmy jeszcze co, zgodnie ze świadectwem bezstronnej kobiety, sądziła o pani Sand publiczność majorska na jesieni roku 1838. We wspomnieniach swoich pani Chaussat, żona bankiera Canut, po zachwytach nad „mało wyrazistymi, ale wspaniałymi"

oczami pani baronowej Dudevant, tymi „indiańskimi oczami", które oczarowały Musseta, pisze: „Najbardziej godne uwagi są jej przepyszne włosy, które splecione w dwa grube warkocze, łączące się na karku, otaczają jej głowę; uczesanie zdobi piękny sztylet srebrny. Suknie prawie zawsze czarne, a przynajmniej w ciemnych kolorach, mają krój surowy. Na szyi nosi zawieszony na aksamitce piękny krzyż z wielkimi brylantami. Z bransoletki zwisają wielkie pierścienie, przypominające przygody miłosne".

Tak się przedstawia kobieta, której się zdaje za każdym razem, gdy kocha, że skona z tej miłości... lecz siostrzyca Anteusza, odnajduje w sobie zawsze nową energię do coraz to nowych doświadczeń. Wolna jest od więzów małżeńskich, które jej zresztą nigdy zbytnio nie krępowały, wolna od namiętności do swego adwokata, wolna nawet od chwilowego kaprysu dla nauczyciela swych dzieci, Mallefille'a; ma trzydzieści cztery lata, nie pokonały jej nawałnice uczuć, żyje w niej więcej niż kiedykolwiek pragnienie wolności, nowych wrażeń; chciałaby ujrzeć swe odbicie w jakiej czystej, przejrzystej duszy, więc uważnie i z kobiecą ciekawością przygląda się dwudziestoośmioletniemu Szopenowi.

Ciekawość kobieca jest nieraz przednią strażą pożądania.

Zmęczony i rozczarowany Fryderyk, blady rekonwalescent z wielkiej miłości, która wywoływała ironiczny uśmiech na zbyt doświadczonych wargach pani baronowej, był właśnie tym artystą i człowiekiem, którego dusza mogła interesować ją w tej chwili; po-

wiedział przecież o nim Balzac: „jest więcej niż muzykiem, jest duszą niezwykle wrażliwą".

Ta cudowna dusza ukazywała się najbardziej w godzinach uniesień muzycznych, które w królestwie wyższych harmonii odpowiadają z pewnością wizjom mistyków. Ukazywała się wtedy naprawdę w całym swym tajemniczym pięknie. I kiedy do magicznego haftu preludiów, mazurków, nokturnów i walców wplatał Fryderyk gwiazdy i kwiaty, uśmiechy i łzy, boska tajemnica tworzenia ujawniała duszę jego na zewnątrz w jakimś seraficznym wyrazie twarzy. Tuż przy klawiaturze, pochylony nad Arielem fortepianu Liszt stara się zgłębić arkana tych palców, skromnych i wiernych wyrazicieli duszy, która ulatywała w zaświaty.

Dookoła panowała skupiona cisza.

Z rogu salonu pogrążonego w półmroku wpatrywały się w artystę oczy, przed którymi drżał Alfred de Musset. Aurora Dudevant zastanawiała się nad tym, czy ten Szopen miał być nareszcie jej przeznaczeniem i ideałem?

Ale przede wszystkim, czy to był człowiek, czy ułuda?

WYPRAWA NA MAJORKĘ

W „Histoire de ma vie" opowiada nam George Sand, w jakich okolicznościach został zadecydowany ten, tak doniosły dla dalszych losów obojga kochanków, wyjazd na Majorkę. Niewątpliwie oświetla ona

tę pamiętną podróż po swojemu w przewidywaniu mogących ją spotkać zarzutów.

„W trakcie moich przygotowań do podróży Szopen, mój codzienny gość, którego geniusz i piękny charakter wzbudzały we mnie zachwyt, powiedział mi wielokrotnie, że wyzdrowiałby z pewnością, gdyby mógł być na miejscu Maurycego. Uwierzyłam mu i pomyliłam się". Stopniując bardzo subtelnie odcienie czułości wielka pisarka podkreśla: „Nie postawiłam go na miejscu Maurycego, ale obok Maurycego".

Nie chcę w żadnym wypadku być sędzią George Sand, ale uważam, że należy od pierwszej chwili oświetlić odpowiedzialność obu stron w tej przedziwnej spółce miłości i sztuki, zawartej przez znaną literatkę i sławnego muzyka. George Sand powiada: „postawiłam go obok Maurycego"... Cała jej uczuciowość i psychologia kryją się w tych paru słowach. Klasyfikuje od razu swego kochanka jako syna. Gotowa była od razu z całą macierzyńską miłością, tą istotną reakcją jej skomplikowanej natury, do czuwania i opieki nad kochankiem.

W zimie roku 1837 Fryderyk zapadł ciężko na influencę, która pozostawiła poważne skutki. Klimat paryski nie był wskazany ani dla gardła, ani dla płuc. Maurycy potrzebował powietrza i słońca. Zmiana klimatu nie mogła też zaszkodzić cieszącej się doskonałym zdrowiem małej Solange. Poza tym Szopen był stale w Paryżu z powodu swoich zobowiązań, a pani Sand spędzała większość czasu w Nohant. Wyjazd z Paryża był najbardziej wskazanym sposobem do urzeczywistnienia pragnień obojga.

Na jakiej gałęzi uwić gniazdo miłosne? Powstaje projekt przezimowania we Włoszech, ale upada wnet, aby ustąpić miejsca postanowieniu udania się zgodnie z radą rodziny Marlianich, na Wyspy Balearskie. Spełnią się nareszcie marzenia... We wspomnieniach swoich opisuje pani Sand tę gorączkę poszukiwania nieznanych a wyśnionych krain, którą wszyscy prawie nosimy w sobie. „Szczęśliwi czy smutni, zaledwie poślubieni czy kochankowie, hipochondrycy czy próżniacy, śnimy wszyscy o jakimś poetycznym wygnaniu, o gnieździe dla miłości i schronisku dla śmierci".

Trochę później z wyspy Bianca y azul napisze też Fryderyk do wiernego przyjaciela Juliana Fontany: „Czekam wiosny, czy czego innego..."

Oboje, Fryderyk i George Sand szli naprzeciw przeznaczeniu, ale z tych dwojga znacznie bliższy swej prawdy był Szopen. Znalazł to „coś innego" w postaci trzeciego składnika swego przeznaczenia, choroby, która tam właśnie znaczne i definitywne zrobiła postępy. Niezdecydowany jakby los, onieśmielony ogromem ciosu, jaki wymierzał, dawał Fryderykowi jako podtrzymanie i oparcie kochankę, aby też przez nią pogłębił samopoznanie.

A więc George Sand pisze jeszcze: „Przyjaciele Szopena namawiali go od dawna już, żeby się zdecydował spędzić jakiś czas na południu Europy. Mniemano, że ma suchoty. Gaubert po zbadaniu go przysiągł, że tak nie jest, ale dodał, że możemy uleczyć go zupełnie, dając mu możność spacerów na świeżym powietrzu i wypoczynku. Wszyscy wiedząc, że Szo-

pen nie zdecyduje się nigdy na opuszczenie życia i świata paryskiego, o ile oddana i kochana osoba nie pociągnie go za sobą, nakłaniali mnie, abym nie sprzeciwiała się pragnieniu, które w tak odpowiedniej chwili i tak nieoczekiwanie objawił".

I jeszcze, zawsze w przewidywaniu potrzeby stworzenia sobie obronnego stanowiska w sprawie wyprawy na Majorkę, pisze: „Źlem zrobiła ulegając ich nadziejom i mojej czułości. Nie dość mi było trudów podróży za granicę z dwojgiem dzieci, z których jedno chore, a drugie rozbrykane, pełne sił i zdrowia, trzebaż mi było obarczać się jeszcze bólem serdecznym i odpowiedzialnością lekarza. Co prawda, ufaliśmy wszyscy, bo zdrowie Szopena nie dawało powodów do niepokoju nikomu, chyba Grzymale, który zresztą najbliższy był prawdy. Prosiłam Szopena, żeby się dobrze obliczył z siłami moralnymi, widziałam, jak zawsze z przerażeniem odsuwał myśl opuszczenia Paryża, swego lekarza, znajomych, mieszkania i fortepianu. Był on niewolnikiem swych przyzwyczajeń i wszelką zmianę w nawyknieniach uważał za katastrofę życiową".

Trudno jest postawić kwestię własnej odpowiedzialności wyraźniej. Jeżeli mamy zasadniczo oskarżać George Sand, to przede wszystkim o tę zbyt wyraźną tendencję oddalenia od siebie zarzutów odegrania zgubnej roli w dramacie życiowym Szopena, tendencji, która ukazuje się ciągle w jej korespondencji i pismach. Odpowiedzialność za nieszczęścia tak bardzo cenionego i sławnego kochanka mogła zaszkodzić jej sławie. Wygląda tak, jakby sobie

przygotować chciała obronne stanowisko przed potomnością. Faktem jednak jest to, że wszystko przemawiało za wyjazdem z Paryża: kaszel Fryderyka, wyczerpanie Maurycego; dom pozostałby na opiece wypróbowanego już nauczyciela dzieci, Mallefille'a.

Wyjazd kochanków odbył się prawie w tajemnicy, każde z osobna opuściło Paryż. Pani Sand przez Lyon, Avignon, Vaucluse i Nimes zajechała do Perpignan 3 października 1838 roku. Szopen dogonił ją niebawem i pomimo czterech dni i czterech nocy męczącej podróży ukazał się oczom kochanki „świeży jak róża", zgodnie z listem jej do pani Marliani.

Z Perpignan mała paczka, składająca się z dwojga kochanków, dwojga dzieci i służącej Amelii udała się do Port Vendre. Tam wsiedli na okręt „Phénicien", który ich do Barcelony zawiózł, a 8 listopada 1838 roku wypłynęli stamtąd na statku „El Mallorquin" do Palmy.

Któż mógłby ogarnąć wszystkie wrażenia, jakie musiał mieć Szopen podczas przeprawy na wyspy? Od paru dni dopiero zawarł był znajomość z lazurowym morzem i niebem z kobaltu. Potężne musiały być przeżycia jego przy zetknięciu z nieoczekiwaną symfonią fal. „El Mallorquin" opuścił Barcelonę wieczorem i płynął spokojnie, prując łagodnie fosforyzujące wody pod gwiezdnym niebem południa. Nieskończona słodycz panowała w sercu Fryderyka. Cały statek pogrążony był we śnie. Spała zmęczona podróżą pani Sand, dzieci i służąca. Zaledwie dosłyszalne nucenie sternika łączyło się w jakąś niewysłowioną harmonię ze szmerem fal. Wpatrując się

w cichą południową noc musiał Fryderyk odczuć jej potężny urok. Wierzył też zapewne w tej chwili, że przeznaczenie wiodło go ku „wiośnie" i szczęściu...

O 11 rano „El Mallorquin" zarzucił kotwicę w porcie Palmy u stóp wspaniałej katedry gotyckiej. Cały krajobraz zalany był słońcem. Dzika, nieokiełznana natura, pełna nieoczekiwanych dysonansów, a zarazem nieskończenie harmonijna całość wywarły głębokie wrażenie na przeczulonej duszy artysty. Oto list Fryderyka, natychmiast po przyjeździe napisany do Juliana Fontany, przyjaciela, któremu Fryderyk polecił zajęcie się swoimi sprawami w Paryżu:

„Palma, 15 listopada 1838 roku.

Moje kochanie, jestem w Palmie, między cedrami, palmami, kaktusami, oliwkami, pomarańczami, cytrynami, aloesami, figami, granatami itd. Co tylko Jardin des Plantes ma w swoich piecach. Niebo jak turkus, morze jak lazur, góry jak szmaragd, powietrze jak w niebie. W dzień słońce, wszyscy letnio chodzą i gorąco; w nocy gitary i śpiewy po całych godzinach. Balkony ogromne z winogronami nad głową; maurytańskie mury. Wszystko ku Afryce tak jak i miasto patrzy. Słowem, przecudne życie! Kochaj mnie. Przejdź się do Pleyela, bo fortepian jeszcze nie przyszedł. Jakim go traktem posłali? Dostaniesz Preludia wkrótce. Mieszkać będę zapewne w przecudnym klasztorze, najpiękniejszej pozycji na świecie: morze, góry, palmy, cmentarz krzyżacki, ruiny moskietów, stare drzewa tysiącletnie, oliwne. A, moje życie, żyję trochę więcej... Jestem blisko tego co najpiękniejsze. Lepszy jestem..."

W dalszej treści list ten zawiera rozmaite polecenia osobiste Szopena oraz prośbę na końcu, aby „znajomym mało mówić“ o nim. Jest już w nim wzmianka o Cartuji di Valdemosa, a cały ten list brzmi jak hymn na cześć piękna Majorki, jak wybuch radości życia, młodości i szczęścia.

Natomiast pani Sand już po krótkim pobycie nabrała wyraźnej niechęci do mieszkańców wyspy z powodu napotykanych na każdym kroku trudności. Wyraziła to zresztą w „Histoire de ma vie“ bardzo dosadnie i z ostrą ironią, wyładowując otwarcie swój zły humor; trzeba przyznać, że nie brakowało ku temu istotnych powodów.

Pobyt Szopena i pani Sand na Majorce trwał dziewięćdziesiąt ośm dni. Mieszkano najpierw w samej Palmie, potem w willi „Son Vent“, odległej o 7 kilometrów od Palmy, a należącej do pewnego niezbyt uprzejmego Don Gomeza. Nie było to idealne miejsce pobytu. Willa nosiła nazwę „Son Vent“ właśnie dlatego, że wiatr hulał po niej, to zrywając część dachu, to znów szarpiąc i otwierając na oścież drzwi i okna, rozsadzał mury w okresach deszczowych, panował we wszystkich pokojach jak nieograniczony władca. Słowem... czarujący przybytek dla słabych i nerwowych osób. Poza tym, co się tyczy wszelkiego rodzaju wygód w ogóle, nie można porównać ówczesnej Majorki z tym uroczym miejscem pobytu, jakie z niej obecnie uczyniła cywilizacja. Toteż przed stu laty tylko odważni pionierzy turystyki odwiedzali wyspę lazurową.

Zjawienie się dziwnej karawany z Paryża wywo-

łało ogromną sensację. Ta ustrojona w czerwone spodnie, paląca cygara kobieta i ten blady kaszlący młodzieniec nie byli mężem i żoną. Tymczasem wiadomo było, że śpią w jednym pokoju, a dzieci, które były z nimi, były jej, ale nie jego dziećmi. W takim razie gdzie jest mąż tej dziwacznej „mujery“ z dwojgiem „muchachos“?

Zaczęły się niesamowite plotki. Do tegoż młody muzyk miał o sześć lat mniej od tej podobno wielkiej pisarki. Czemu też ten młodzieniec o chorowitym wyglądzie nie chciał zadowolić się „doskonałym“ majorskim fortepianem i zamiast siedzieć cicho rozbijał się o jakiś specjalny fortepian, który miał nadejść dla niego specjalnie z Paryża? Kim byli owi ludzie, którzy wciąż spacerowali, kłócili się, pisali, grali?

I nagle znalazł się ktoś, kto przeczytał „Lelię“. Zawołano na alarm. Czegoś podobnego nie można było przecież pisać ani czytać! Naturalnie natychmiast „Lelia“ została gorączkowo przestudiowana przez najcnotliwsze panie majorskie. A gdy przekonano się jeszcze, że żadne z tej podejrzanej czwórki nie chodzi w niedzielę do kościoła na mszę, antypatia zamieniła się w jawną nienawiść. „El musico infermo“ stał się niebezpiecznym dla całej wyspy. „Jest z pewnością śmiertelnie chory“, „trzeba ratować Palmę od tej zarazy“, pisano. A ponieważ nie można było właściwie zarzucić nic poważniejszego spokojnie palącej cygara literatce, ani Maurycemu, który pomimo nerwowego wyczerpania wyglądał doskonale, ani tym bardziej małej Solange, która według słów brata

„wywomitowała całą siedzącą w niej złość podczas podróży na statku i była wcale milutka", wszystkie pociski skierowane zostały na Fryderyka; należało zmusić pana Gomeza, żeby wyrzucił ich z willi „Son Vent".

George Sand, zmuszona zająć się osobiście zorganizowaniem i prowadzeniem domu, najbardziej musiała odczuć tę atmosferę nieufności, antypatii i nienawiści. Nie można więc się dziwić zbytnio jej irytacji w opisach dotyczących stosunków na Majorce. Obok takowych znajdują się też cudowne opisy jej piękna i uroku. Zaiste dużo trosk spadło na panią baronową: stan zdrowia Szopena, nerwowe podniecenie Maurycego, dziecinne rozbrykanie Solange, konieczność zajęcia się sprawami domowymi i edukacją dzieci, bo pozostawiła przecie Mallefille'a w Paryżu, aby nie mieć tego krępującego świadka miłosnej idylli. Musiała walczyć nieustannie o wszystko, załatwiać sprawy z wrogo usposobionymi właścicielami mieszkań, chłopami, dostawcami, sługami.

„Tutaj natura dobroczynna", pisze Szopen do Fontany, „pomarańcze za darmo, a guzik do portek sumy bajońskie". A w innym liście: „To kraj diabelski, co się poczt, ludzi i wygody tyczy".

Nie sądźmy więc zbyt surowo pani Sand, której oburzenie płynęło z bardzo gorzkiego rozczarowania, doznanego na Majorce: nie mogła nawet przeczytać zabranych ze sobą z Nohant książek, a cóż dopiero musiała odczuwać, gdy stało się jasnym, że trzeba było zrezygnować z tych uniesień miłosnych, z tych

nadziemskich wrażeń, jakie sobie obiecywała wyjeżdżając z Arielem fortepianu na południe!

PRZEZNACZENIE WOŁA

„Son vent", ten dom bez kominka nawet, był jakby lodowatym płaszczem na naszych plecach, czułam się w nim bezwładna. Nie mogliśmy się przyzwyczaić do duszącego zapachu braseros, a nasz chory zaczął kaszleć i cierpiał... Staliśmy się postrachem i przerażeniem ludności. Uważano nas za dotkniętych suchotami, co jest równoznaczne dżumie dla przesądnych pojęć medycyny hiszpańskiej". Tak oto opisuje George Sand pobyt w willi pana Gomeza podczas szarych dni listopadowych roku 1838. „Dom wiatru", istotnie symboliczna to nazwa; tego wiatru, który na skrzyżowaniach dróg życiowych staje się huraganem, który targa wierzchołkami cyprysów, aby poznały dreszcz złowrogiej godziny.

Oczarowany Majorką Fryderyk nie odczuł od razu grozy tych chwil.

George Sand natomiast, posiadająca wyjątkową intuicję, pozwalającą dostrzegać zaledwie zarysowujące się niebezpieczeństwo na horyzoncie, już zdała sobie sprawę od razu z tragizmu sytuacji. Zamiast gniazda dla miłosnej przygody, znalazła... przymusowe roboty, jak mówiła w następstwie z goryczą. I kiedy podczas wietrznych dni libeccio patrzyła na swego biednego, owiniętego w ciepłe szale i wtulonego w nędzny fotel kochanka, musiała nieraz przy-

pominać sobie smutne dni spędzone przy boku innego suchotnika, którego pielęgnowała w Wenecji.

Przeszłość powraca do nas czasami jak fala, a my nie poznajemy jej, aż przemówi do nas znajomym językiem...

„Chcę odżywiać tę macierzyńską miłość, która żyje we mnie", napisała kiedyś, po zerwaniu z Mussetem, pani Sand w swoim dzienniku. I oto szyderczy los wysłuchał jej pragnień. Szopen cierpiał oto i potrzebował opieki tak samo jak Musset. Musiała znowu stać się pielęgniarką i to w całym tego słowa znaczeniu. Poczęte w radości przygody ukazują nieraz dopiero po długim czasie rolę i znaczenie swoje dla naszego przeznaczenia: dopiero Majorka była rewelacją losów Szopena i pani Sand.

Musimy jednak złożyć hołd autorce „Lelii", a mianowicie za to, że nie opuściła swego stanowiska od pierwszej do ostatniej chwili pobytu na złoto-niebieskiej wyspie: z wielką roztropnością zarządzała domem i opiekowała się z zaparciem swoimi chorymi. I nawet gdy jej rozdwojone „ja" znalazło się wobec problematu „Szopen", nie zmieniła postępowania i pielęgnowała go przez dłuższy czas z oddaniem.

Fryderyk wciąż jeszcze nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. Oto list jego do Fontany z dnia 3 grudnia.

„Mój Julianie! Nie dawaj congé mojemu mieszkaniu; ani ci mogę manuskryptów posłać, bom nie skończył. Chorowałem przez te ostatnie dwa tygodnie jak pies: zaziębiłem się pomimo 18 stopni ciepła, róż, pomarańcz, palm i fig. Trzech doktorów z całej wyspy najsławniejszych: jeden wąchał com pluł,

drugi stukał skądem pluł, trzeci macał i słuchał, jakem pluł. Jeden mówił, żem zdechł, drugi, że zdycham, trzeci, że zdechnę. A ja dziś jak zawsze. Tylko Jasiowi darować nie mogę, że mi w wypadku bronchite aigüe, której się u mnie zawsze spodziewać mógł, żadnej konsultacji nie dał. Ledwo żem wstrzymał, żeby mi krwi nie puszczali i żadnych wizykatorii nie stawiali, ani zawłok robili, a grâce Opatrzności dziś jestem po staremu. To jednak ma wpływ na preludia, które Pan Bóg wie, kiedy dostaniesz".

List ten pełen właściwego Szopenowi szelmowskiego wdzięku zdaje się wskazywać, że Fryderyk był jeszcze daleki od zupełnego zrozumienia, jak się jego choroba posuwała poważnie na przód, zapomniał o śmierci małej Emilki, o ojcowskich niedomaganiach i przestrogach, o zatrwożeniu ciągłym o niego matki. „Dzięki Opatrzności dziś jestem po staremu..." Czy łudził się tak bardzo, czy też chciał innych łudzić...?

Bronchit ten był skutkiem zaziębienia nabytego podczas spaceru z George Sand i dziećmi.

Powróćmy jeszcze do tegoż listu z dnia 3 grudnia, w którym Szopen pisze znów o klasztorze Kartuzów w Valdemosie. W pewnym momencie następuje nagła zmiana tonu: zabarwiona goryczą ironia nabiera rytmu i koloru nadziei: „Mieszkać będę za parę dni w najpiękniejszej w świecie okolicy: morze, góry, co chcesz. Mieszkać będę w starym, ogromnym, opuszczonym, zrujnowanym klasztorze Kartuzów, co Mend (izabel) wypędził jakby dla

mnie. Blisko Palmy, nic cudniejszego: krużganki, cmentarze najpoetyczniejsze, słowem, dobrze mi tam będzie. Tylko jeszcze fortepianu nie mam. Pisałem do Pleyela, rue de Rochechouard prosto. Dowiedz się... Powiedz, żem nazajutrz mocno zasłabł, ale żem znowu zdrów. Zresztą niewiele mów o mnie, ani o manuskryptach. Pisz do mnie: jeszcze żadnego listu od Ciebie nie mam. Nie mów ludziom, żem chorował, bo zrobią bajkę".

W tym liście, jak zresztą zawsze, pełna godności ostrożność cechuje Fryderyka w podawaniu wiadomości o swojej chorobie. George Sand tymczasem walczy z domowymi dostawcami, którzy stawiają coraz to większe wymagania oraz przeszkody; wreszcie przerażony rozpowszechniającą się groźnie pogłoską straszliwej zarazy pan Gomez żąda natychmiastowego opuszczenia swojej willi, jak też spalenia mebli, otynkowania murów, dezynfekcji, wszystko na koszt lokatorów naturalnie. Niech sobie idą żyć czy umierać z mnichami, którzy już spoczywają na starym cmentarzu. Skandal z tym musico enfermo musi się skończyć.

Wyjazd do Certozy następuje dnia 15 grudnia. W przeddzień pisze Fryderyk do Fontany: „Dziś dopiero odebrałem wiadomości, że 1 decem. w Marsylii fortepian władowali na okręt kupiecki. 14 dni szedł list z Marsylii. Mam nadzieję, że fortepian przezimuje w porcie albo na kotwicy (bo tutaj nikt się nie rusza jak deszcz), i że go dopiero na wyjezdnym dostanę, co mnie bardzo ucieszy, bo prócz 500 franków cła będę miał przyjemność sam go zapakować na-

zad. Tymczasem moje manuskrypta śpią, a ja spać nie mogę, tylko kaszlę i od dawna plastrami obłożony *czekam wiosny albo czego innego...*"

Zawsze ten sam ironiczny, pełen wdzięku, ton, czy to w opisach kłopotliwych spraw sławetnego fortepianu, czy też stanu zdrowia. Tylko to „czekam wiosny albo czego innego..." odzwierciedla głębszą, bardziej poufną stronę uczuć tej chwili. I oto znów promień nadziei rozjaśnia tenże list: „Jutro jadę do owego przecudnego klasztoru Valdemosa pisać, do celi starego mnicha, co może miał w duszy więcej ognia niż ja, i tłumił go, tłumił i gasił, bo miał go na próżno. Myślę Ci moje Preludia i Balladę wkrótce posłać. Bądź u Leona, nie mów, żem chory, boby się o 1.000 franków zląkł".

Oto natomiast wyjątek z listu pani Sand do jej przyjaciółki, pani Marliani, świadczący o zapatrywaniu pani baronowej na sytuację: „Nie macie pojęcia, ile mam pracy. Jestem prawie kucharką. Do innych wygód dołącza się brak usługi. Jedyny służący, to nieokrzesany świętoszek, leniwy i łakomy, prawdziwy syn mnisi. Mam wrażenie, że tutaj wszyscy są mu podobni... Wszystko kosztuje bardzo drogo. Jedzenie jest ciężkostrawne dla żołądków nie mogących znieść oliwy i wieprzowego tłuszczu. Ja jakoś się przyzwyczaiłam, ale Szopen choruje za każdym razem, kiedy nie preparujemy mu jego specjalnych potraw. W gruncie pod wieloma względami nasza podróż, to okropne fiasco".

Trudno wątpić, że najważniejszym „względem", który przyczynił się do tego fiasco, z punktu widze-

nia baronowej, była nieudała sielanka miłosna. Dla tej zdrowej i pełnej temperamentu kobiety chory, okryty kataplazmami Szopen był bardzo nieodpowiednim kochankiem. Fryderyk z pewnością czuł się nieraz zdezorientowanym wobec tej nowej przyjaciółki i towarzyszki podróży. Toteż w chwilach gdy przykuty chorobą robiącą zastraszające postępy, powracał myślą do ukochanej Polski, lub gdy nawiedzały go romantyczne wspomnienia o Maryni Wodzińskiej, gdy poczucie zrujnowanej młodości i sił (a miał 28 lat...) dochodziło do jego świadomości, rzucał się spontanicznie w świat muzyki, aby odnaleźć siebie i powrócić do prawdziwego źródła swoich natchnień.

Dlatego tak niecierpliwie oczekiwał na swego najlepszego pocieszyciela i przyjaciela, na ten fortepian, który Pleyel wysłał mu z Paryża, aby zostały na nim wygrane majorskie Preludia...

LA CARTUJA DE VALDEMOSA

Koloru starej kości słoniowej z dzwonnicą o zielonkawym dachu, Cartuja wybudowana w XV wieku a odnowiona w XVIII, położona jest na wysokości 500 metrów o jakie 18 kilometrów od Palmy. Wzdłuż idącej zawsze pod górę drogi rozwija się w jakimś majestatycznym crescendo palm, migdałowych, figowych i świętojańskich drzew, dębów, topoli i platanów, symfonia zieleni i srebra.

U stóp Certozy dziwna, przechodząca wszelkie

wyobrażenie, franciszkańska rapsodia tysiącletnich drzew oliwnych: pokurczone jakby przez torturę wieków pnie zdają się być symbolami niepamiętnych czasów, skamieniałymi potworami, żyjącymi tylko częściowo w gałęziach i liściach. Ten obraz dantejski roztacza się na całej pochyłości dookoła Certozy. A w górze, przy samym klasztorze rozwichrzone wierzchołki sosen i cyprysów wyzywają wichry i burze.

Certoza jest wielka jak koszary, a kościół zimny, bez organów, jak tego chce reguła kartuzów. Trzy budowle stanowią właściwy klasztor, każda z innej epoki; ilość cel dochodzi do trzydziestu. Te cele podzielone są na trzy ubikacje: środkowa, przeznaczona na modlitwę, druga na lewo do spania, trzecia na prawo do pracy i posiłku. Przed każdą celą, ku radości braciszków, znajduje się malutki arabsko-hiszpański ogródek, pełen pomarańcz, palm i pachnących kwiatów.

Wskutek zarządzenia Mendizabala z roku 1836 wszystkie klasztory mające mniej niż dwunastu braci miały być zburzone i opuszczone przez zakonników. W Certozie było ich trzynastu, toteż oszczędzono zabudowania, zamknięto klasztor, pozostawiając parę cel otwartych; te cele nieraz w następstwie służyły jako przytułek dla wygnańców politycznych. Właśnie jeden z nich dowiedziawszy się o przejściach Szopena i pani Sand zaproponował im odstąpienie swojej celi wraz z meblami, które też zostały przez nich nabyte za cenę tysiąca franków.

Temu który obecnie z Palmy do Certozy jedzie

w jednym z tych wspaniałych wycieczkowych samochodów, pełnych turystów z całego świata, goniących z ciekawością za przybytkami sztuki, miłości i wiary, wielki klasztor, ukazujący się nagle zza skrętu żyznej, zielonej doliny, zda się być starym sztychem. Pomimo małej stosunkowo odległości pomiędzy Palmą i Certozą można łatwo zdać sobie sprawę z trudności tego przejazdu przed stu laty, tj. właśnie wtedy, kiedy łaknący miłości i spokoju rozbitkowie lądowali na nędznym birlucho w klasztorze Valdemosy. To była ich ostatnia nadzieja.

Przeczytajmy jeszcze ten wyjątek z listu Szopena, pisanego 28 grudnia do Fontany: „Między skałami a morzem opuszczony ogromny klasztor kartuzów, gdzie w jednej celi za drzwiami, jak nigdy bramy w Paryżu nie było, możesz sobie mnie wystawić nie ufryzowanego, bez białych rękawiczek, bladego jak zawsze. Cela ma formę trumny wysokiej, sklepienie ogromne, zakurzone, okno małe, przed oknem pomarańcze, palmy, cyprysy; naprzeciw okna moje łóżko na pasach, pod filigranową rozasą maurytańską. Obok łóżka stary nitouchable kwadratowy, klak do pisania ledwo mi służący, na nim lichtarz ołowiany, wielki tu lux, ze świeczką. Bach, moje bazgrały i nie moje szpargały... cicho... można krzyczeć... jeszcze cicho. Słowem, piszę Ci z dziwnego miejsca. Piękna to rzecz natura, ale z ludźmi nic do czynienia mieć już nie trzeba. Ani dróg, ani poczt. Wiele razy byłem tutaj z Palmy, zawsze tym samym furmanem, zawsze innym traktem. Strumienie robią drogi, avalanże je naprawiają, dziś tam nie można

przejechać, bo zaorane, jutro tylko muły mogą, a jakie tu powozy?! Toteż, Julianie drogi, ani jednego Anglika nie ma, nawet konsula. Fortepian od 8 dni w porcie czeka, co duana powie, która chce złotych gór za to świństwo. Tutaj natura dobroczynna, ale ludzie złodzieje, bo nigdy nie widzą obcych, więc nie wiedzą co żądać, za co... To wszystko grano piasku przy tym niebie, przy tej poezji, którą wszystko tu oddycha, przy tej barwie miejsc najcudniejszych, jeszcze oczami ludzi nie startej. Jeszcze mało kto płoszył te orły, co codzień nad naszymi głowami latają...“

Istotnie, Cartuja była dziwnym miejscem.

Toteż wkrótce po zamieszkaniu w wynajętych za 35 franków rocznie trzech celach pani Sand zaczęła mocno wątpić, czy to schronisko nie miało stać się więzieniem dla niej i mogiłą dla Szopena.

Jednym z mieszkańców Certozy był brat farmaceuta żyjący w zupełnym odosobnieniu w swojej dziwacznej celi-apteczce, zaopatrzonej zresztą nieźle w rozmaite medykamenty i ziółka, które nieraz kupowała George Sand dla siebie i Szopena.

Drugą osobą, zamieszkującą w klasztorze, była Maria Antonia, rodzaj służącej, wyzyskującej chętnie nieszczęśliwych, którzy dla tych czy innych powodów szukali schroniska w Valdemosie.

Poza tym był jeszcze brat zakrystian, klucznik klasztorny, prawie stale pijany (wino majorskie jest dobre i mocne), który pomimo opuszczenia Cartuji przez mnichów, pukał wciąż do ich cel, wołając ich po imieniu; upierał się szczególnie przy celi swego

przyjaciela, ojca Mikołaja. Jego jamisty, bulgocący od wina głos odbijał się nieskończonym echem po zimnych i ciemnych kurytarzach, zdawał się być wołaniem jakichś opętanych zmór. Te niesamowite okrzyki powodowały zawsze dreszcze i wstrząsy nerwowe u Fryderyka.

Do spania układano się razem, w jednej celi, aby mniej odczuwać przejmujące zimno. Pod maurytańską rozetą pierwszej celi stało niewygodne łóżko Szopena, obok spała George Sand, potem Maurycy i wreszcie mała Solange.

Z macierzyńską pieczołowitością zajęła pani Sand miejsce pielęgniarki pomiędzy dwoma chorymi: Fryderykiem i Maurycym. Ten drugi miał się znacznie lepiej, natomiast Fryderyk chorował prawie bez przerwy, krew ukazywała się raz po raz podczas ataków duszności i kaszlu. Irytował go straszliwie wyjący po kurytarzach północno-zachodni wiatr od morza, to znów świszczące porywy wichru z przyległych dolin. Gdy wychodził z celi, lodowaciał po prostu pod wilgotnym i zimnym całunem mgły. Plusk deszczu, szum potoków górskich, krzyki zabłąkanych w burzy ptaków morskich, echo grzmotów, błyskawice, jęki drzew, głuchy ryk bałwanów, działały fatalnie na jego delikatny system nerwowy. A przy tym nie było nawet organów w kościele, a fortepian od Pleyela nie przychodził, musiał ciągle jeszcze grać na okropnym klekocie z Palmy.

Pani Sand była właśnie w trakcie pisania „Spirydiona". Szukała nieraz natchnienia i wrażeń w nocy, spędzając długie godziny na starym cmentarzu kar-

tuzów, pomiędzy grobami mnichów, które się zaznaczały na zaledwie dostrzegalnych pagórkach lekkim wzniesieniem trawy. Fryderyk nie lubił tego zakątka, gdzie cyprys, oleander i karłowata palma stały na straży gotyckiej studni, obok wielkiego białego krzyża.

Przerażały go po prostu nocne nastroje Certozy. Patrząc w niebo widział czarne kształty skrzydeł wielkich ptaków, przesłaniających mu co chwila gwiazdy... W klasztorze poprzez upiorne wycie wiatru przebijało raz po raz rozpaczliwe grzmocenie do celi i wołania pijanego zakrystiana: „Ojcze Mikołaju! Ojcze Mikołaju!" Skulony przy fortepianie Szopen majaczył. Szeregi widm wypełniały jego wyobraźnię, zdawały się kroczyć w jakimś pogrzebowym pochodzie, stukając drewnianymi trepkami tuż koło jego celi; z daleka dochodził go liturgiczny śpiew z kościoła św. Brunona i jęki dzwonów bijących na requiem.

Dlaczego brat zakrystian nie widział tych sunących powoli mnichów? Dlaczego tak rozpaczliwie wołał „Ojcze Mikołaju"! Oto przecież był tu i on, i wszyscy inni umarli, którzy od setek lat zdawali się spoczywać na cmentarzysku, oto ze zgaszonymi latarniami kroczyli uroczyście pomiędzy cyprysami i oleandrami właśnie w kierunku jego, Fryderyka, celi! Czego chcieli od niego? Dlaczego szli tak cicho wzdłuż kurytarza? Szli może do oświetlonego przez księżyc kościoła? A któż to grał na gitarze w tej samej chwili? Pewnie jaki zakochany szaleniec...

A brat zakrystian wciąż krzyczał przy otwartych

drzwiach pustej celi ojca Mikołaja, wpatrując się w cień palmy, którą tam księżyc rzucał na podłogę...

O jakże uspokajająco działał na Fryderyka odblask lampy zapalającej się nagle w sąsiedniej celi, gdzie zwykle pracowała George Sand. Po chwili gorączkowy i szybki chrzęst pióra do reszty rozpraszał upiorny nastrój tych niesamowitych nocy.

Pani Sand zaczynała pracować bardzo późno. Dnie miała zbyt zajęte. Musiała pilnować, żeby jej nie oszukano, dostarczając podobnego do gąbki, zmoczonego chleba, żeby zapasy żywności były świeże i do użycia, żeby ryba nie przyjechała w postaci jakiejś niejadalnej papki. Musiała bronić się od złodziei, służby i żarłoków, od brata zakrystiana i Marii Antonii. Musiała czuwać ciągle nad chorym Fryderykiem, gotować mu specjalne potrawy, bo nie znosił oliwy. Trzeba było zająć się dziećmi, chodzić z nimi na spacery; znacznie zdrowszy Maurycy i niesłychanie żywa Solange nie mogli usiedzieć spokojnie chwili. Prócz tego lekcje zajmowały sporo czasu; Maurycy z pomocą matki tłumaczył Tucydydesa, a Solange uczyła się reguł gramatyki.

Pracować więc mogła pani Sand tylko wtedy, gdy dzieci poszły spać, a trawiony gorączką, wyczerpany Szopen kładł się do łóżka. Dla pani Sand klasztor kartuzów stał się istotnie więzieniem. Zwodnicze sny o miłości zawiodły. Tak jak wtedy, w Wenecji...

Toteż listy do pani Marliani mają pomimo piękna Majorki rozczarowany i nieraz nawet rozgoryczony ton: „Mieszkamy w klasztorze Kartuzów w Valdemosie, którego wzniosłym pięknem nie mam

czasu się zachwycać, tak jestem zajęta wciąż dziećmi, ich lekcjami i moją pracą. Nasz biedny Szopen jest zawsze bardzo słaby i cierpiący". „Nie można sobie wyobrazić, czym jest tutejszy deszcz. To jakiś niewiarogodny potop. Powietrze miękkie i mdłe, tak że łażę nieraz z trudem. Zdaje się, żeśmy wszyscy chorzy czasem. Na szczęście Maurycy czuje się dobrze. Jego organizm nie znosi tylko mrozów, nieznanych tutaj zresztą zupełnie". „Mały Szopen bardzo przybity i kaszle zawsze mocno. Czekam wiosny dla niego, musi już niebawem przyjść. Fortepian jego nareszcie przyszedł do Palmy, ale jest w szponach komory celnej, która żąda od 500 do 600 franków za wwóz i nie zgadza się na żadne ustępstwa". — „Gryzmolę całe noce jak zwykle. Gdy nos unoszę w górę, to po to, aby ujrzeć przez okienko celi księżyc, który poprzez deszcz rozsiewa blaski na liściach drzew pomarańczowych..."

Fortepian! Nareszcie ten upragniony, wyczekiwany przez Fryderyka, fortepian jest w Palmie. Fryderyk uśmiecha się radośnie czując, jak go opanowuje na myśl o tym wielkim zdarzeniu gorączka twórczości.

DESZCZOWE PRELUDIUM

Na tle wichrów i deszczy, róż i cyprysów Valdemosy opracowywał Fryderyk Szopen swoje nieśmiertelne Preludia. Każde z nich jest jakby wstępem do tej części symfonii życiowej, która go poprowadzi poprzez chwałę i śmierć przedwczesną ku nieskończo-

ności. W nieznanej krainie, do której w chwilach ekstazy przenosił się Fryderyk, zbierał on rytmy i akordy niebiańskie z wdziękiem dziecka, które zrywa kwiaty w zaczarowanym ogrodzie.

Z wielką skromnością nazywał te swoje utwory Preludiami, jak gdyby miały one poprzedzać nie wygrane i pogrzebane w najgłębszych tajnikach jego duszy symfonie. A były one raczej odblaskiem bliskich już niebios, które podczas chwil natchnienia ukazywały się oczom duszy zachwyconego Fryderyka. Ujmując w dłonie ich harmonijne cienie i światła przenosił je na majorski fortepian.

Komponował szybko. Dość było jednej nuty, aby odnaleźć rytm wiążący go z naturą, następna łączyła go już z symfonią nieskończoności. Wystarczał szelest skrzydeł o zmierzchu. Szept wiatru w liściach palmy. Zapach mirtów z Patio. Dźwięki strun gitary w nocnej ciszy. Czyjeś kroki na starym cmentarzu. Śmiech dziecka dochodzący ze słonecznego podwórka, szczebiot ptaków po deszczu. Księżyc kryjący się pomiędzy cyprysami. Stary klasztor, oleandry i gwiazdy.

Na fortepian spływały preludia, a w każdym z nich słychać było gorące tętno jego serca. Wywołany mistycznym nastrojem Certozy, mglistą zimą Majorki, wpatrywaniem się w jej dziką naturę, pobudzony oczekiwaniem wiosny, albo „czego innego", snuł się po Preludiach żal Szopenowski, tulił się do szyb zalanych deszczem, tonął na dnie przygnębienia, rozpływał się w jakiejś niewysłowionej melancholii, to znów unosił się na skrzydłach pragnienia ku nieskończoności.

Pewnego wieczoru, był to tłusty wtorek, wieśniacy z Valdemosy, poprzebierani za diabłów w potwornych maskach ptasich na głowie, wpadli do klasztoru na czele orszaku pasterek w dziwacznych kostiumach i puścili się w dzikie tany tuż obok celi Szopena. Pod wpływem gorączki i wyczerpania, przerażony Fryderyk wyobraził sobie, że to jakaś bachanalia upiorów. Gdy dowiedział się pochodzenia tego piekielnego hałasu, strasznie się rozzłościł, co ubawiło macierzyńsko usposobioną panią baronową. O to jak opisuje ona Fryderyka z tego okresu w „Histoire de ma vie": „Biedny wielki artysta był nieznośny w chorobie. Stało się to, czego tak bardzo, ale niestety, niedostatecznie się obawiałam: Zdemoralizował się zupełnie. Znosił dość mężnie cierpienia, ale nie mógł opanować swojej niespokojnej wyobraźni. Nawet gdy lepiej się czuł, klasztor zdawał mu się być pełnym przerażających widm. Odgadliśmy to, pomimo że nic o tym nie mówił. Po powrocie z moimi dziećmi z nocnych wycieczek po ruinach klasztoru zastawałam Szopena o dziesiątej wieczorem przed jego fortepianem bladego, z obłąkanymi oczyma i zjeżonymi włosami. Parę chwil mijało, zanim nas poznał. Zmuszał się wtedy do uśmiechu i grał nam szczytne utwory, które skomponował podczas naszej nieobecności; można powiedzieć, że były to raczej straszliwe i rozdzierające pomysły, które jakby mimo jego świadomości władały nim podczas tych godzin samotności, smutku i przerażenia. Skomponował wtedy te najpiękniejsze, krótkie stronice, które skromnie nazywał preludia-

mi. Są to arcydzieła...“ — „Jest jedno strasznie przygnębiające preludium, które przyszło doń w pewien ponury, ulewny wieczór. Maurycy i ja pozostawiliśmy go w dobrym zdrowiu tego dnia, udając się do Palmy po zakupy potrzebnych rzeczy dla naszego obozu. Tymczasem zaczął padać silny deszcz, strumienie wezbrały; aż sześciu godzin potrzeba nam było, aby zrobić wśród powodzi półtorej mili powrotnej drogi. Przybyliśmy do domu w nocy, bez butów, opuszczeni przez naszego woźnicę, narażeni na niesłychane niebezpieczeństwa. Spieszyliśmy najbardziej, przewidując, jak bardzo musiał się o nas niepokoić nasz chory. Tak też było istotnie, tylko że ten niepokój jakby zamarł, przechodząc w stan jakiejś spokojnej rozpaczy; płacząc grał na fortepianie swoje cudowne preludium. Skoro nas spostrzegł wchodzących, zerwał się z okrzykiem i zmieszany dziwnym głosem zawołał: „Wiedziałem, że nie żyjecie!“

„Gdy oprzytomniał i zobaczył, w jakim byliśmy stanie, rozchorował się na myśl o niebezpieczeństwach, jakie nam groziły; wyznał mi potem, że widział już wszystko jakby we śnie, że nie mogąc odróżnić tego urojenia od rzeczywistości wpadł grając na fortepianie w jakąś spokojną senność i był przekonany, że też nie żyje. Zdawało mu się, że utonął, że leży na dnie jeziora, a ciężkie i zimne krople wody spadają mu miarowo na piersi; gdy zwróciłam jego uwagę na istotnie miarowo spadające na dach krople deszczu, zaprzeczył twierdząc, że ich wcale nie był słyszał. Zachmurzył się nawet, gdy mu wspomniałam o tym, co nazwałam harmonią naśladow-

czą. Bronił się z całych sił i miał rację, przeciw dziecinadom, za jakie uważał takie naśladowanie słuchowe. Genialność jego obejmowała wszelkie harmonijne tajemnice natury, oddając je z odpowiednią wzniosłością w muzykalnych ideach, ale nie było to niewolnicze powtarzanie dźwięków zewnętrznych. Utwór, który skomponował tego wieczoru, był istotnie pełen kropel deszczowych spadających na dźwięczne dachówki Certozy, lecz w jego wyobraźni i śpiewie krople te przemieniły się w łzy spadające z nieba na jego serce“.

Wydaje mi się słusznym podać w całości ten ustęp z pamiętników George Sand, w którym opisuje narodziny słynnego Preludium deszczowego. Wiele dyskusji powstało w krytyce z powodu identyfikacji tego preludium. Mogło to być szóste h-moll, to które było odegrane podczas pogrzebu Szopena w kościele Madelaine; a może też Liszt mieć rację twierdząc, że jest to ósme, fis-moll, albo piętnaste des-dur?

Myślę, że to nie ma zasadniczego znaczenia. Pewność w tym wypadku jest sprawą drugorzędną, chodzi tylko o to, że w każdym z tych preludiów jest przygnębiające piętno Certozy i deszcz, który przenika do głębi serca. To nie krople realnego deszczu dzwoniły monotonnym echem w umyśle artysty, tylko zaostrzona przez nastrój spowodowany smutną niepogodą, wrażliwość jego przekroczyła podświadomie granice rzeczywistości w tej chwili natchnienia, aby pogrążyć go w gorączkowej atmosferze twórczości, unieść go wzwyż do promiennej i bliskiej niebiosom krainy geniuszów.

„W Valdemosie, chory na śmierć, napisał rajską muzykę..."

Ten który cierpi, jest bliskim raju.

Nie ma wątpliwości, że cierpiał ogromnie. Tęsknota za rodziną i krajem, strach przed przyszłością wobec okrutnej choroby, wszystko to, co przeżył i przebolał, druzgotało go, spadając ulewnym deszczem na jego ducha, łączyło go z nieskończonym bólem świata, rozdwajało jego jaźń, wyrywając go poza granice czasu i przestrzeni, wprowadzając go w stan „trance'u". W takiej to chwili mógł widzieć z łatwością przygody George Sand i Maurycego podczas ich nocnej przeprawy z Palmy do Certozy.

Gdyby w taką noc, wśród plusku deszczu i wycia wiatru, Szopen, słysząc wyraźne i natarczywe, jak w V Symfonii Beethovenowskiej, uderzenia swego przeznaczenia, otworzył na oścież drzwi celi, ujrzałby w nich niechybnie ociekającą ulewą Śmierć. Skulony przy fortepianie, nie odróżniał odgłosów zewnętrznej nawałnicy od tętna chorego serca, ani charczenia wiatru od przyśpieszonego oddechu trawionych przez gorączkę płuc. Tworzył wtedy w stanie ostrej nerwicy, lodowaciejąc pod okrywającym go zimnym płaszczem wilgoci; zdawało mu się, że już nie żyjąc gra... Słyszał przecie wyraźnie kroki białych mnichów, powstałych ze swych biednych mogił na starym cmentarzysku, strzeżonym przez cyprysy i karłowate palmy. Dochodziły go wyraźnie również śpiewy liturgiczne, słyszał dzwony dalekie, był w świecie umarłych...

Wicher, ulewa i morze biją rytm tej symfonii, po-

czętej pomiędzy życiem a śmiercią, rytm ten powtórzą fortepianowi Preludia pełne rozpaczliwego smutku...

Gdy pani Sand zastukała do drzwi jego celi, Szopenowi zdało się, że za progiem stało Przeznaczenie. Nieustający deszcz zalewał celę, pogrążając Fryderyka w bólu całego świata.

Zaprawdę nie ma znaczenia, czy to tylko piętnaste preludium jest właśnie to „deszczowe"... Wszystkie mają blizny świeże po ranach, które tak bardzo bolały, i każde odźwierciedla nieoczekiwane zorze, zwiastujące nieskończoność. I może właśnie pogłębienie świadomości swojej wnętrznej prawdy przychodzi w chwili tworzenia tego preludium deszczowego, pokrewnego wielu innym z okresu Valdemosy, po tylu już latach walk, nieutulonych rozczarowań, cierpień i „żalu"!

Kiedyś, kiedyś dawno już napisał, zakochawszy się pierwszą miłością w Konstancji Gładkowskiej: „ja już na moje nieszczęście mam mój ideał"... Uczucie do Marii Wodzińskiej ukazało mu miłość jako wielki zawód. Przez George Sand zrozumiał, jak wielkim nieszczęściem była choroba jego, albowiem to ona zabiła jej miłość.

Głębokie i tajemnicze, wiecznie odmieniające się, to pozytywne, to negatywne rytmy miłości i cierpienia otworzą, zranią, pogrążą ducha Fryderyka, aby go potem unieść na wyżyny, albowiem z głębin przepaści najsilniejsze wznoszą się wołania o skrawek nieba. Wtedy zrozumie, że innym powietrzem oddy-

cha się na szczytach, a innym na nizinach, i pojmie, że jego prawdziwa ojczyzna nie jest z tego świata.

„Tu chory na śmierć napisał rajską muzykę"...

Ci którzy cierpią, najbliżsi są raju.

ROZWIANE MARZENIA

Pobyt na Majorce stał się wkrótce nie do zniesienia. Trudności aprowizacyjne, rosnąca wciąż nieufność otaczającej ludności do tego „konającego muzyka i tej poganki", odosobnienie, melancholia, wilgoć, smutek rzeczy na tle cmentarzy i opuszczonych klasztorów stwarzały atmosferę przygnębienia. Ubrania pleśniały, żadne brasero nie mogło ogrzać dostatecznie cel. Stan Fryderyka pogarszał się z dnia na dzień.

Postanowiono więc wyjechać 13 lutego 1839 roku. Jadąc na niewygodnym wózku do Palmy Szopen nie przestawał się cieszyć, że oto wracał do Paryża, do wygodnego domu, do przyjaciół, do swego doktora. Był pewien, że tam natychmiast powróci do zdrowia. Przecie to był tylko silny bronchit...

Na tym samym statku „El Mallorquin", na którym przypłynęli do Palmy, powracali obecnie do Barcelony. Widząc ciężki stan Fryderyką kapitan umieścił go obok transportowanych do Hiszpanii świń, tłumacząc się, że musiałby spalić po chorym kabinę. W tych strasznych warunkach, plując krwią, ledwo żywy dojechał Fryderyk do Barcelony. Dzięki staraniom pani Sand, która prosiła o opiekę naczelnika

francuskiej placówki morskiej, pana Belves, został on przeniesiony na wojenny okręt „Méléagre", gdzie doskonały lekarz otoczył go serdeczną opieką. Po ośmiu dniach wypoczynku Fryderyk nabrał sił i całe towarzystwo wyruszyło w dalszą podróż.

Natychmiast po przyjeździe do Marsylii wezwała pani Sand słynnego doktora Cauvières, który orzekł, że Fryderyk może być uratowany i żyć jeszcze długie lata tylko w tym wypadku, o ile będzie ogromnie uważał na siebie i będzie miał skrupulatną opiekę.

Blady, bez głosu, odżywiający się tylko kozim mlekiem, z uporczywym bronchitem, wymizerowany Fryderyk włóczył się po ulicach Marsylii. Po pewnym czasie nastąpiło jakby polepszenie, toteż postanowiono za poradą lekarza zabawić dłużej na południu Francji. Ulokowano się w hotelu Beauvau, gdzie natychmiast pod drzwiami słynnej pary zjawili się namiętni poszukiwacze autografów.

A więc marzenia pani baronowej rozwiały się bezpowrotnie. Przeżycia w Certozie były pełne goryczy. A jednak niektóre listy jej i ustępy z „Histoire de ma vie" świadczą, jak gorąco pragnęła ona chwilami wyzwolenia od zmysłów i jak głęboko w takich chwilach odczuwała, że ten chory kochanek był kulminacyjnym punktem jej kobiecego przeznaczenia. Fizycznie ta trzydziestoczteroletnia kobieta o żelaznym zdrowiu czuła się silniejszą od niego, ale wobec siebie samej uznać musiała, że jemu zawdzięczała swoje moralne odrodzenie i wyszlachetnienie instynktów. Pragnęła wzbudzić w sobie ofiarne współczucie dla cierpienia? Oto miała ku temu wszelkie moż-

liwości. Chciałaby przekształcić porywy zmysłów w altruistyczne oddanie? Miała oto okazję do tego.

Przemienienie następowało powoli, walka pomiędzy duchem a ciałem była bardzo ciężka, tak przynajmniej wyznaje przyjacielowi Grzymale sama pani Sand już później, po zerwaniu z Fryderykiem.

Przemienione uczucia kochanki, które zrodziły się i rozwinęły pomiędzy smutnymi cyprysami Certozy, ukazują się w liście do pani Marliani z dnia 26 lutego 1839 roku: „Jeszcze miesiąc, a bylibyśmy poumierali w Hiszpanii: Szopen z melancholii i obrzydzenia, ja ze złości i oburzenia. Zraniony został najwrażliwszy punkt mego serca, jakby ostrzem szpilek kłuto na moich oczach cierpiącą istotę. Nigdy im tego nie wybaczę i o ile coś o nich napiszę, będzie to pełne żółci".

Dotrzymała tej obietnicy w „Un hiver à Majorque".

I dalej pisze w tymże liście, tak ciekawym z punktu widzenia psychologii tej wyjątkowej kobiety: „Muszę przesłać Wam trochę nowin o moim chorym, droga siostro, bo wiem, że obchodzą one was tak jak i mnie. Ma się lepiej, zniósł dobrze trzydziestosześciogodzinne kołysanie statku podczas przeprawy przez Zatokę Lionską, która była, poza paru silniejszymi porywami wiatru, bardzo szczęśliwa. Nie pluje krwią, ma dobry sen, kaszle mniej i przede wszystkim jest już we Francji. Może spać w łóżku, które nie pozostanie z tego powodu spalone; nie widuje ludzi, którzy boją się podać mu rękę. Będzie miał dobry dozór i wszelką pomoc lekarską. Postano-

wiliśmy spędzić marzec w Marsylii, ponieważ ten miesiąc jest bardzo kapryśny i zmienny w innych krajach, a nasz chory potrzebuje najbardziej wypoczynku obecnie..."

Istotnie ten miesiąc przyniósł znaczne polepszenie w stanie zdrowia Fryderyka. Pisze o tym do Fontany w końcu marca: „Lepiej mi daleko. Zaczynam grać, jeść, chodzić i mówić jak wszyscy; widzisz, że i piszę łatwo, kiedy znów odbierasz ode mnie parę słów. Dnia 28 marca pisał również do Ernesta Canuta w Palmie: „Stan mego zdrowia poprawił się zupełnie".

Irytuje się tylko bardzo na swego wydawcę Pleyela, nie mogąc dojść z nim do porozumienia w sprawie wydania Preludiów, Ballady i Polonezów. Z listów do Fontany i prawie wojowniczego tonu, w jakim mówi o swoich interesach, można wywnioskować, że istotnie ma się lepiej. 24-go kwietnia gra nawet na organach w kościele Notre Dame du Mont podczas żałobnej mszy za śpiewaka Nourrita, który umarł w Neapolu, popełniając jakoby samobójstwo. Organy kościelne były bardzo marne, ale ogromny tłum ciekawych zbiegł się, aby posłyszeć wielkiego mistrza i zobaczyć panią Sand, która znajduje się tuż obok w trybunie ubrana na czarno.

Szopen pisze o tym do Fontany i dodaje: „Także czasem sobie pogram, ale jeszcze śpiewać ani tańcować nie mogę".

W maju kochankowie robią krótką wycieczkę do Włoch. Szopen od wielu lat marzył o pięknej Italii. Po raz pierwszy było to w Wiedniu w owym ciężkim

i niespokojnym 1831 roku. Oto dziewięć lat minęło od tego okresu, ale pragnienie poznania Włoch, gdzie miał też wielu przyjaciół, nie opuszczało go nigdy. Zanim zapadła decyzja wyprawy na Majorkę, projektowano przecież wyjazd do tej krainy wszelkich harmonii.

Teraz spełniało się to marzenie: kochankowie spędzili parę tygodni w Genui. W podróży powrotnej, z powodu burzy na morzu, Szopen zmęczył się bardzo. Pomimo to, że jak pisał, był „cokolwiek sfatygowany", chciał natychmiast wracać do Paryża, do lekcji i pracy. Również i pani Sand poruszona trochę pobytem w Genui, gdzie cztery lata temu była z Mussetem, (o czym nie powiedziała Szopenowi), nie miała nic przeciwko temu.

Po krótkim wypoczynku w Marsylii i ostatniej wizycie u doktora Cauvières'a dnia 22 maja wyruszono do zamku w Nohant, pięknej posiadłości, którą pani Sand odziedziczyła po babce ze strony ojca.

Skończyła się przygoda balearska. Zrodzona w marzeniach kochanków, rozwiała się jak sen dla pani Sand i dla Fryderyka.

Pani Sand poczuła ogromną potrzebę pogrążenia się w pracy twórczej, aby szukać zapomnienia. Postanowiła oddać dzieci pod opiekę nauczyciela i zabrać się do pisania... „Lukrecji Floriani", romansu, w którym odmalowała siebie w głównej bohaterce i Szopena w księciu Karolu. Tak jak po rozczarowaniach z Mussetem, praca miała stać się jej zemstą i wyzwoleniem.

W Nohant, w starych murach swego wygodnego

domu utwierdza się wielka literatka ostatecznie w swojej sentymentalnej linii wytycznej: wyjechała stąd z kochankiem i dwojgiem dzieci, a powróciła z trojgiem dzieci... Odtąd ta dziwna kobieta, w której toczyła się ciągła walka pomiędzy zmysłową i macierzyńską naturą, zachowywać się będzie przeważnie w stosunku do Fryderyka jak oddana matka. Wieczorem układa do łóżka, jak sama powiada, „troje dzieci".

Starając się nie wzbudzić zazdrości traktowała Fryderyka, Maurycego i Solange z równą troskliwością i otaczała jednakową opieką i czułością, biorąc na uwagę poszczególne potrzeby i charaktery każdego z osobna. Ale trudno jest uwierzyć, aby tej namiętnej i zmysłowej naturze mogły wystarczać pod każdym względem takiego tylko rodzaju uczucia...

Fryderyk ukołysany i utulony tą czułością myślał obecnie także o pracy. Walizka jego była pełna notatek muzycznych, w duszy odżywały z powrotem sił marzenia, nadzieje i rytmy. Tak jak w Warszawie i Dreznie odczuwał potrzebę wielkiego ukochania. Czuł też, że będzie mógł tworzyć w tej atmosferze słodkiego uczucia, które zalewało mu serce w stosunku do pani Sand. Nie rozumiał jeszcze, jak wiele stracił na Majorce i jak biednym był kochankiem...

Powrót do Nohant nosił już w sobie zarodek nieuniknionego zerwania.

OKRES CZWARTY

„Za pomocą sztuki wyraził swoją tragedię"

Franciszek Liszt

W tym ostatnim okresie symfonii życiowej Szopena wszystko to, co przecierpiał i przeżył, zlewa się w jedną wielką całość; coraz dalej w nieskończoność sięgają płomienne wezwania jego umęczonej duszy, coraz goręcej pragnie przeniknąć tajemnice, które nad nią szybują.

Od roku 1839 walczy odważnie z chorobą. Ale gdy po dziewięciu latach wspólnego pożycia George Sand opuści go, nadzieja umiera i natchnienie gaśnie. Po ostatnich koncertach w Anglii, gdzie co wieczora, zda się, że skona przy fortepianie, powróci do Paryża, żeby umrzeć.

Okryty kataplazmami i szalami, siedząc w głębokim fotelu przed milczącym już na zawsze fortepianem, wpatrzony w stojący obok wazon z fiołkami, jego ulubionymi kwiatami, czeka miesiącami na wyzwolenie; aż wreszcie dnia 17-go października 1849 roku, opatrzony Św. Sakramentami, otoczony gronem przyjaciół, ukojony pięknym Stabat Mater Pergolesiego, odśpiewanym przez Delfinę Potocką, wchodzi do nieśmiertelności.

Wiadomo, że suchotnikom towarzyszy do ostatniej chwili wiara w uzdrowienie. Siostra Nadzieja jest ich słodką i dobrą pielęgniarką. Suchoty bardziej niż inne choroby posiadają właściwość unoszenia ducha poza granice ziemskie, rzucania go w gwiezdne przestworza, tam gdzie się tchnienie boskie czuje.

Suchoty są białym szlakiem wyrzeczenia i męki, po którym duch kroczy ku upragnionemu źródłu nieskończoności.

Przyszła godzina, w której, jak mawiał Fryderyk „i cyprysy mają swoje kaprysy..."

Okres Nohant, to okres poprzedzający pożegnanie. Zbliża się obecnie do powolnej agonii, ukołysany przez słodką siostrę Nadzieję.

Czy Fryderyk bodaj chwilami rozumiał swój beznadziejny stan? Czy raczej wyobrażał sobie, że doktor Papet uleczy go z choroby, którą nazwał chronicznym zapaleniem krtani. Musiał się łudzić, jak się łudzą wszyscy suchotnicy. Pragnął gorąco żyć, pracować i kochać, a najbardziej pragnął być tkliwie kochanym.

Życie weszło w tryb mniej więcej normalny. Zimą Paryż: lekcje i koncerty, latem Nohant, praca

twórcza, opracowywanie kompozycji. Spokojna wiejska atmosfera domu pani Sand wpływała bardzo dodatnio na jego zdrowie i twórczość. Musiał uporządkować notatki z Balearów, musiał dużo pracować. Czuł, że nabierał sił. Bronchit przejdzie niebawem.

Na razie ukrywa ataki kaszlu i duszności przed George Sand, która pomimo to słyszy i widzi wszystko. Pisze ona do pani Marliani w sierpniu 1839: „Szopen czuje się tak samo, czasem lepiej, czasem gorzej, nigdy źle i nigdy dobrze. Mam wrażenie, że biedny chłopak jest skazany na wieczną słabość: na szczęście stan moralny jest niezmienny. Gdy się trochę silniejszym czuje, jest wesół, a jak jest smutny, rzuca się do fortepianu i komponuje cudowne stronnice".

Tak, kołysze go nadzieja, a utula żal...

Przy każdym nowym przypływie sił zamyka się w swoim pokoju i cyzeluje swoje kompozycje. Potem robi tysiące projektów na Paryż. Chciałby, żeby pani Sand była tam również. Pisze do zacnego Fontany, aby szukał dla niego mieszkania, raczej dwóch mieszkań w pobliżu: dla niego i George Sand. Zasypuje listami wiernego przyjaciela polecając wyszukanie obić na ściany koloru „tourterelle"; na tle tym pięknie wyglądać będą meble. Niechże nie zapomni też o krawcu, kapeluszniku i szewcu. Niech obstaluje ciemnopopielate spodnie na zimę i dyskretną, w dobrym guście kamizelkę aksamitną. Paryż ma być zdobyty na nowo!

Powraca tam do swego „młyna", do lekcji w stolicy, a w ciszy nocnej na wsi komponuje i opracowuje

swoje Nokturny. Nohant... tam odrywa się od życia i pochyla nad samym sobą. Tak bardzo lubił to Nohant, wielki wygodny dom, lasy, kwiaty i łąki. W Nohant pani dziedziczka przyjmowała wszystkich kochanych przyjaciół Szopena, poczynając od malarza Delacroix, wiernego wielbiciela Fryderyka, i kończąc na Franciszku Liszcie. Duże dochody pani Sand pozwalały jej na uprawianie gościnności na szeroką skalę, wybierała zaś swoich gości kierując się upodobaniami lub pozą demokratyczną. Po godzinach bardzo intensywnej pracy w tym okresie lubiła widzieć wokoło siebie wieniec wielbicieli.

Szopen mieszkał w jednym z pokoi na pierwszym piętrze. Nie zawsze był w pogodnym usposobieniu; zależało to przeważnie od stanu zdrowia, gdy przychodziły silniejsze ataki stawał się rozgoryczonym, zazdrosnym. Wiedział, że pani Sand nie obawiała się żadnych „doświadczeń" życiowych w męskim towarzystwie, raczej poszukiwała w dalszym ciągu takowych. Dorastający Maurycy i coraz bardziej zalotna z nim Solange urażali go nieraz dotkliwie. Najmniejsze rzeczy irytowały go chwilami i dla błahych nieraz powodów potrafił na długo zamknąć się w swoim pokoju; wyładowywał tam swój żal „piorunując" na fortepianie.

Nokturny smutku i nadziei... odzwierciedla się w nich zbliżający się zmierzch człowieka, którego trawi nieuleczalna choroba, ale też zorza zwiastująca nieśmiertelność geniusza.

Szopen i Aurora Dudevant byli zupełnie niezależni od siebie materialnie. Ona zarabiała swymi książ-

kami, on lekcjami, kompozycjami i koncertami. Pochodząca z Barry Aurora posiadała właściwą swoim współziomkom cechę szczerej gościnności, toteż Szopen chętnie przyjmował jej zaproszenia na lato do Nohant. Przy tym nie potrafiłby już się obejść bez swojej pielęgniarki z Valdemosy.

A jednak rozdźwięk powstał właśnie w tych latach. Fryderyk pragnął, by stale była przy nim; zdawało mu się, że zamiera w oddaleniu od ukochanej kobiety, że nie może komponować; nie była ona właściwie jego natchnieniem w całym tego słowa znaczeniu, ale jak jej nie było blisko, coś się w nim załamywało. Może właśnie nadzieja...

Pani Sand natomiast nie zbacza z linii, jaką sobie wytknęła. W listach, pamiętnikach i dziełach uporczywie wyświetla swoje stosunki z Fryderykiem. Pisała po zerwaniu z Mussetem o macierzyńskiej czułości i oto obecnie korzystała z okazji, jaką podsunął jej los. Miała teraz troje dzieci, które niestety nie zawsze żyły w zgodzie.

W Paryżu na początku zainstalowała się pani Sand na rue Pigalle pod numerem 16, a Szopen na rue Tronchet pod 5. Ale i to było za daleko dla Szopena, toteż pozostawił Matuszyńskiemu swoje mieszkanie i przeniósł się do pawilonu obok George Sand.

To wspólne życie trwało do jesieni 1842 roku. Szopen miał lekcje do godziny czwartej po południu, a pani Sand, która sypiała na ziemi na dwóch materacach, dopiero budziła się o tej godzinie. Wieczorem, gdy już nie potrzebowała zajmować się poskramianiem trudnej i buntowniczej natury Solange, ani

studiami Maurycego, który miał wstąpić niebawem do szkoły malarskiej Delacroix, przyjmowała gości. Przez jej paryski salon przewinęli się Mickiewicz, Balzac, Niemcewicz, Arago, Meyerbeer, Pleyel, Heine, Lamennais, księżna Beauvau.

W tym okresie wytężonej pracy Szopen wydał mnóstwo kompozycji i dał kilka koncertów uwieńczonych wielkim sukcesem.

Pod koniec jesieni 1842 roku oto na życzenie Szopena nowe przenosiny; tym razem niespokojni kochankowie zamieszkają na Square Orleans pod numerami 7 i 9 obok pani Marliani, która ma apartament pod numerem 6. Pani Sand i Szopen stołują się u niej.

Zdrowie Fryderyka jest zawsze bardzo niepewne. Doktor Papet obstaje jednak przy swojej optymistycznej diagnozie: to tylko chroniczne zapalenie krtani. Wszyscy są zresztą tego zdania: trochę kuracji, wypoczynku, uwagi, unikanie wilgoci wieczorem i wszystko minie bezpowrotnie. Fryderyk uśmiecha się pogodnie. Chrypka minie....

Będą to właśnie gardlane suchoty, które mu wrażą swoje szpony i odbiorą głos za niecałe już siedem lat.

W tym okresie dwa ciężkie ciosy uderzają Szopena: w roku 1842 umiera Jan Matuszyński, porwany przez suchoty, a w dwa lata później traci Fryderyk zacnego ojca, który jednak dożył trawiony powolną gruźlicą do lat 75-ciu.

Mimo woli zastanawia się Fryderyk nad samym sobą. Śmierć przeszła tak blisko obok niego. Czy to

już wkrótce i na jego ramieniu położy rękę szepcąc: „Oto jestem, Frycku...“

I podczas kiedy dzieci bawią się hałaśliwie, a pani Sand przyjmuje współwyznawców swych demokratycznych zasad, marzących o socjalnych rewolucjach, coraz bardziej zgarbiony Fryderyk zamyka się w swoim pokoju, aby się na falach nokturnów kołysać. Pisze do swoich, żeby się nie niepokoili o niego, że „Bóg na niego łaskaw“, a jednak myśli czasem o śmierci, która mu się już parę razy ukazała w Wiedniu i Valdemosie. Zdawało mu się chwilami, gdy komponował, że stała tuż przy nim; czuł jej zimne tchnienie na karku, przy chorym gardle, nosił ją w sercu, które biło ciężkim rytmem Marsza Żałobnego.

Grał nieraz do zupełnego wyczerpania, dostawał gorączki ze znużenia. Bo dlaczegoby nie miał umrzeć w takiej właśnie chwili? Czego miał się jeszcze spodziewać od życia? Sławę już posiadał i czuł jej gorzki posmak na ustach. Miłość opuszczała go. A właściwie czy wiedział, co to jest miłość? Kto go kochał naprawdę? Gdzie? Kiedy? Przecież i teraz był tylko synem swojej kochanki...

Od czasu do czasu spoglądał Fryderyk ze smutkiem na garść ziemi polskiej, przechowanej w srebrnym pucharze, ofiarowanym mu w Warszawie kilkanaście lat temu. Kiedyż ujrzy znów Polskę?

Jakiś głos wewnętrzny, echo głosu już dawno słyszanego w chwilach jasnowidzenia wewnętrznego, odpowiadał mu „NIGDY“. Nokturny zagłuszały ten głos.

Marzyć to znaczy żyć.

Na progu marzeń stoi zawsze uśmiechnięta Nadzieja.

„ZA PARĘ GODZIN SŁOŃCA DAŁBYM PARĘ LAT ŻYCIA“

Przejęta coraz bardziej swoją macierzyńską rolą wobec swego „najstarszego dziecka“ poleca pani Sand Fryderyka wszystkim znajomym, gdy on wybiera się do Paryża w końcu października 1843 roku. Pisze na przykład do pani Marliani: „Oto mój mały Szopen. Polecam go wam. Opiekujcie się nim nawet wbrew jego woli. On się źle rządzi, gdy nie jestem przy nim, służącego ma zacnego, ale to głupiec. Nie obawiam się o posiłki, bo będzie miał zawsze wiele zaproszeń, ale obawiam się, że rano śpiesząc do swoich lekcji zapomni przełknąć filiżankę rosołu lub czekolady. Gdy jestem przy nim, zmuszam go do tego, choć nie chce. Teraz jest zdrów: potrzebuje tylko jeść i spać, jak wszyscy. Liczę na was, że mnie w razie jakiej jego choroby zawiadomicie, bo rzucę wszystko i pośpieszę, aby go pielęgnować“.

Jednocześnie poleca go pannie Rozières, uczenicy Szopena: „Zmusiłam Szopena, żeby powrócił do swoich lekcji, wieś w tym sezonie może mu zaszkodzić. Proszę często odwiedzać mego małego Szopena i zmuszać, aby uważał na siebie. Proszę pod jakimkolwiek pretekstem zachodzić do niego i pilnować,

żeby się nie zagładzał, nie zapominał zjeść śniadanie. Jeżeli się źle zachowuje, proszę zaraz donieść mi o tym. Obecnie jest zdrów, bo prowadzi regularne życie, oby Bóg dał, żeby nie postępował wręcz przeciwnie w Paryżu. Liczę na panią, żeby na niego nagderać i uprzedzić mnie w razie choroby, rzucę wszystko, aby być przy nim. Proszę nic mu nie mówić, że proszę o deptanie mu po piętach. Polecam służącemu Polakowi, żeby w sekrecie uprzedził Panią w razie choroby. Zobaczy Pani, o co chodzi, i w razie czego wezwie natychmiast doktora Mollin, homeopatę, który leczy go lepiej od innych".

Czytając taki list trudno jakoś zarzucać fałsz tej dziwnej istocie pełnej wybuchów i przeciwieństw. Musiała istnieć w jej sercu stała walka po prostu pomiędzy uczuciami oddanej przyjaciółki, czy też matki, i namiętnością kochanki w stosunku do Fryderyka.

Szopen jest wdzięczny za tyle troskliwości. W końcu listopada 1843 roku czekając na George Sand w Paryżu pisze do niej: „Proszę wierzyć, że choroba jest daleko ode mnie i że mam przed sobą tylko szczęście. Nigdy na nic nie miałem tyle nadziei, jak na ten tydzień, co ma przyjść, wszystko będzie tak, jak sobie tego Pani życzy. Jeszcze cztery dni".

Listy w tym okresie mają często żartobliwy ton, a humor lepszy dowodzi polepszenia stanu zdrowia z pewnością: pisze o tym i owym, o interesach, znajomych, tualetach, podpisuje się „pański sługa", „pokorny sługa" „stary jak mumia" w listach do George Sand, i „Twój stary z dłuższym niż kiedy nosem", jak pisze do Fontany.

A jednak rozdźwięk jeszcze się powiększa. George Sand już tylko podkreśla macierzyńskie uczucia, pisze „Chip, Chip, Chipette", „mój mały", „mój chory", a nawet w poczuciu swego żelaznego zdrowia zapominając o dobrym guście i finezji nazywa go „mój kochany truposz"...

Fryderyk natomiast jest zawsze dobrze ułożony i poprawny w każdym calu, pełen szacunku i rezerwy, serdeczny. Wyraża się o niej „moja pani", „moja kasztelanka", „Pani dająca mi gościnę".

Gusta ich ścierają się często. Przyjaźnie, wrażliwość, stan zdrowia, formy zewnętrzne, wszystko dzieli ich jak przeciwników. Ale ona czuje, że musi zwyciężyć zawsze, bo wie, że jest niezbędnie potrzebną.

Ta walka wewnętrzna rozwijała się z początku jakby w ukryciu i milczeniu. W następstwie przyjdą burze. Obecnie była cisza, poprzedzająca nawałnicę.

George Sand była właściwie już znużona tym swoim chorym i słabym kochankiem, z którym obecnie łączyły ją tylko więzy przyjaźni i czułości. Poza tym uważała, że był to najwyższy czas, aby zwrócić uwagę na poczucie własnej godności. Pozory były niby uratowane, mieszkali w osobnych apartamentach, czy to w Nohant, czy w Paryżu, ale obecnie, kiedy Maurycy i Solange dorastali, sytuacja stawała się nader drażliwa. Po raz pierwszy buntownicza i postępowa pani baronowa zastanawiała się nad tą sprawą. Ale te refleksje nie zmieniały bynajmniej jej troskliwości w stosunku do Fryderyka, czuła się prawie członkiem jego rodziny; pisze na przykład do siostry Szopena Ludwiki po śmierci ojca list, w któ-

rym prosi, by przyjechała pocieszyć brata: „Znajdzie pani moje kochane dziecko bardzo wyczerpane i zmienione od czasu, jak go Pani widziała. Ale niech się Pani zbytnio nie przejmuje jego zdrowiem; trzyma się ono bez większych zmian od 6 lat, podczas których widziałam go dzień w dzień. Dość silny przystęp kaszlu co rano, dwa trzy ataki silniejsze, trwające po parę dni, każdej zimy, trochę newralgicznych bólów od czasu do czasu, oto jego zwykły stan. Zresztą piersi są zdrowe, a delikatny organizm nie ma żadnych nadwerężeń. Ufam, że się wzmocni z czasem, i jestem pewna zupełnie, że będzie żył przynajmniej jak wszyscy, prowadząc regularny tryb i lecząc się starannie. Radość zobaczenia was, pomimo bolesnych i głębokich wzruszeń, które nim wstrząsną może pierwszego dnia, zrobi mu wiele dobrego, toteż ogromnie się dla niego cieszę i błogosławię wasze postanowienie". — „Od dawna przejmuje się on tylko szczęściem tych, których kocha, nie mogąc takowego dzielić z nimi. Ja z mojej strony zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy, żeby osłodzić mu tę okrutną rozłąkę, i choć nie wykreśliłam was z jego pamięci, pocieszam się tym, że mu dałam i wzbudziłam uczucie idące tuż za miłością do was. Polecam Wam tylko, żeby Mały Szopen, tak nazywamy wielkiego Szopena, brata Pani, wypoczął dobrze przed drogą..."

Ludwika i jej mąż Kalasanty Jędrzejewicz mieli zaszczyt podobać się pani Sand, szczególnie Ludwika miała jej łaski. Obecność siostry ogromnie podniosła na duchu Fryderyka, ale wyjazd jej zasmucił potem

głęboko. Żyje wspomnieniami po rozstaniu i tęskni. Stara się ożywiać te wspomnienia przebywając tam, gdzie zwykli byli przesiadywać razem, dotyka pozostałych po siostrze drobiazgów. Pisze do niej: „Dziś śniliście mi się. Byleby ta podróż zdrowia nie nadwerężyła. Często jak wejdę (do waszej stancji), szukam, czy czego nie ma po Was, i widzę tylko owóż samo miejsce przy kanapie, gdzieśmy czekoladę pijali, i owe rysunki, które Kalasanty kopiował. Więcej po Tobie zostało się u mnie w pokoju: na stole leży haftowanie Twoje owego pantofelka owiniętego w angielską bibułę, a na fortepianie ołóweczek mały, który był u Ciebie w pugilaresiku, a który mi doskonale służy".

Biedny „Chipette" coraz bardziej potrzebował tkliwości. W Paryżu podczas surowej zimy tegoż roku pisze do George Sand: „Śnieg pada, rad jestem, że nie jesteście w drodze"... a pani Sand od pewnego czasu miała tysiące pretekstów, aby nie towarzyszyć mu do Paryża i pozostać w swoim Nohant.

Szopen cierpiał już nad tym poważnie.

Od czasu do czasu czarująca, jak jego utwory, nutka w listach: „Ogródek Pani jest cały ze śnieżnych kulek, z cukru, z puchu łabędziego, z gronostai, z rączek Solange, z ząbków Maurycego..."

Nazajutrz szkicuje o sobie ten charakterystyczny obrazek: „jedliśmy obiad przy kominku (u Franchomma), ja w moim grubym żakiecie obok jego grubego chłopaka. Ten ostatni był różowy, świeży, gorący z gołymi nóżkami; ja byłem żółty, zwiędły, zimny, z trzema flanelami na sobie. Przyrzekłem mu od pa-

ni czekoladę. I oto stała się Pani dla niego synonimem czekolady. Nawet włosy Pani, o których mówi, że są takie czarne, są dla niego koloru czekolady..."

Wystarczy parę takich wyjątków, żeby dać pojęcie o wdzięku i miłym humorze Fryderyka, który z łatwością uznawał się za „starego", „coraz bardziej starego", „starego jak mumia". Niestety ten pogodny zachód poprzedzał chmurny zmierzch. Zimą roku 1844 złośliwa influenca wstrząsnęła znów jego organizmem. I oto pisze do Ludwiki 20 lipca 1845 roku: „Niestworzony ja jestem do wsi, jednakże używam świeżego powietrza. Nie gram wiele, bo mi się fortepian rozstroił; piszę jeszcze mniej, dlatego tak dawno ode mnie nic nie macie. Dziwno mi tu tego roku... Często rano zajrzę do pokoju obok, ale nie ma nikogo. Fortepian inaczej postawiłem: koło ściany, tam gdzie była sofka ze stolikiem, przy którym często Ludwika moje pantofle haftowała..."

1 października tegoż roku pisze jeszcze do rodziny: „Nie wiem, jak się dzieje, ale nic uczciwego robić nie mogę, a jednakże nie lenię się, nie łażę z kąta w kąt, jak z Wami, tylko po całych dniach i wieczorach siedzę w moim pokoju. Muszę jednakże pokończyć niektóre manuskrypta przed wyjazdem stąd, bo w zimie komponować nie mogę."

Nieznacznie niby, ale każdego dnia, powoli uchodzi życie...

Wszystkimi siłami, które ma jeszcze, całą swoją rozpaczą i nadzieją Fryderyk trzyma się tych nici, które go wiążą z życiem. Tym smutniejszy jest, gdy spostrzegać zaczyna, że obecność jego w Nohant właściwie cięży wszystkim. W Paryżu, zaabsorbowany lekcjami i życiem towarzyskim w gronie wiernych przyjaciół, nie zauważył nic podobnego, ale tutaj, w wielkim domu pani baronowej Dudevant, słuchając jej wywodów przewrotowych, znosząc impertynencje Maurycego i lekkomyślne postępowanie wobec niego Solange, czuje się nagle nieswojo, obco i samotnie.

Atmosfera, w której stawiamy nasze codzienne kroki i walczymy z namiętnościami, powoli przesiąka takimi wspomnieniami i nieporozumieniami, które po tygodniach, miesiącach i latach zatruwają powietrze, jakim oddychamy. Każda rana jest jakby wyryta w otaczających nas murach; echo powtarza każde wypowiedziane słowo. I oto w chwilach znamiennych, ożywiona jakimś żywszym odruchem lub głębszym westchnieniem, objawia się ta atmosfera wroga naszej zdumionej duszy i wtedy dopiero spostrzec możemy, że to co się nam zdało być stworzone dla nas, nagromadziło się właśnie przeciwko nam.

Takie chwile przeżyć musiał z pewnością Fryderyk w ostatnich latach pożycia z George Sand. Odczuwał wyraźnie, że szukała już innych, nowych wrażeń; cierpiał z powodu stosunku do niego Maurycego i Solange. Przyjmował jednak wszystko, bo tak bardzo przywiązał się do troskliwej pani Sand, którą kochał zawsze. Ale jakże męczył go Maurycy, który od pewnego czasu po prostu nie znosił kochanka swojej matki; wszyscy mówili, że był geniuszem, ale dla Maurycego był to tylko drażliwy, nerwowy i pełen

przywarów chory; natomiast Solange, coraz bardziej podobna do pięknej matki, stawała się zalotną i kapryśną kobietką. Najwidoczniej odczuwała przewrotną chęć oderwania od matki jej dziwnego kochanka. Bawiło ją próbowanie siły budzących się wdzięków na niespokojnym i znękanym nieraz Fryderyku.

Pomimo swych 43 lat usposobienie pani Sand nie zmieniło się wcale, zmuszona była jednak bardzo uważać i zastanawiać się nad stosunkami panującymi w jej domu, szczególnie ze względu na dzieci. Wszystko jakoś się zaplątało i zagmatwało zatrważająco. Należało przeciąć jak najprędzej węzeł i uprościć sytuację. A więc przede wszystkim: co zrobić z „małym Szopenem"?

Fryderyk cierpiał wśród tych uczuć, które ujawniały się w nie zawsze delikatnych słowach, uśmieszkach i niedomówieniach. Znosił jednak wszystko w imię uczucia, jakie miał dla pani Sand i jej dzieci nawet; cierpiał milcząc. W listach jego nie ma ani słowa goryczy lub wyrzutów do kogokolwiek. Uśmiechał się tylko coraz smutniej i zamyślał się często nad tym, co mu kiedyś ta ukochana przez niego kobieta powiedziała, a mianowicie, że będzie ona przy nim w ostatnich chwilach jego życia... Czy tak będzie naprawdę?

Tragiczne przeczucie śmierci znalazło wyraz we wspaniałym Marszu Żałobnym, słychać w nim nieodwołalne zbliżanie się Wielkiej Oswobodzicielki.

Przy tym wszystkim Fryderyk stara się nie przygnębiać nikogo swoim nastrojem, a najmniej już

obserwującej go uważnie pani Sand. Gdy ona przyjmuje swoich mniej lub więcej słynnych gości, a Szopen nie ma ostrego ataku, odmienia się on zupełnie. Gra na fortepianie, zabawia wszystkich swoimi karykaturalnymi imitacjami, do których ma po prostu niebywały talent, urządza fortepianowe turnieje, przygotowuje muzykalne pantomimy dla przyjaciół pani Sand oraz teatru marionetek w Nohant.

Po dniach pogodniejszych przychodzą jednakże dnie żalu i przykrości. Oto jego służący Polak, Jan, nie podoba się Maurycemu i Solange, młodzi nie mogą go znieść i Fryderyk jest zmuszony odprawić go.

A zdrowie pozostawia coraz więcej do życzenia, daje się też to zauważyć w tonie niektórych listów i to pomimo przebłysków nadziei. Jest w nich ton jakiejś świadomej rezygnacji. Na przykład w długim liście pisanym przez kilka dni do rodziny jest takie miejsce z dnia 24 grudnia: „...zima, wszędzie zima. Parę to miesięcy trudnych do przebycia. Czasem za parę godzin słońca dałbym parę lat życia... Tylem ludzi już przeżył mocniejszych i młodszych ode mnie, że myślę, że jestem wieczny; ja kaszlę nieznośnie, w tym nic dziwnego"...

„Myślę, że jestem wieczny". To poczucie wieczności było zwiastunem śmierci...

Godzina rozstania z George Sand zbliża się; jest ona coraz bardziej znużona i niecierpliwa. Chce wreszcie zrzucić definitywnie jarzmo tego nieszczęśliwego związku. Maurycy ma 23 lata, Solange 18. Pani baronowa pisze „Lukrecję Floriani" i wydaje się jej, że jest naprawdę bohaterką swej sławnej po-

wieści. Trzeba coś zrobić z tym księciem Karolem, Szopenem.

W każdym z nas istnieją jakby dwie natury: niższa i wyższa. Zderzają się one ciągle ze sobą, aż przyjdzie równowaga, jeżeli zwycięży ta wyższa natura, jak się to jednak najczęściej zdarza.

Jeśli u Szopena wybitnymi elementami tych dwóch natur są choroba z jednej i najczystszy artyzm, aspirujący do osiągnięcia szczytów z drugiej strony, to u George Sand walczą niezaprzeczalnie zmysłowość kochanki i uczucia macierzyńskie.

Szopen będzie ofiarą tej walki.

ŻAŁOBNY MARSZ MIŁOŚCI

„Książę Karol był łagodny, wrażliwy, czarujący pod każdym względem. Mając lat piętnaście posiadał cały urok młodości w połączeniu z powagą dojrzałych lat. Pozostał delikatnym na ciele i duszy. Ale z powodu niedorozwinięcia fizyczno-mięśniowego zachował specjalny wdzięk i wyjątkowe oblicze, które nie ujawniało zbytnio ani lat, ani płci. Nie było nic czystszego i bardziej wzniosłego niż jego myśli. Stale zabłąkany w snach swoich, nie miał poczucia rzeczywistości. Nie mógł obcować z człowiekiem, który się od niego różnił, żeby nie cierpieć od starcia z tą żywą sprzecznością".

Oto ten książę Karol, którego spotyka bogata aktorka, Lukrecja Floriani, znużona swymi miłosnymi intrygami. Jest to też portret Szopena, namalowany

przez panią Sand w jej romansie „Lukrecja Floriani", który „Courrier Français" zaczął drukować 25 czerwca 1846 roku.

W tym właśnie roku i właśnie w czerwcu wlokący się jeszcze z trudem i wysiłkiem związek Szopena i George Sand zbliżał się do ostatecznego rozwiązania. Ten romans sławnej literatki był pożegnaniem wielkiego, chorego muzyka, żałobnym marszem miłości, która przetrwała jednak dziewięć lat prawie...

Nie będę się rozwodzić zbytnio w tej książce nad historią tego stosunku, który był przymierzem i konfliktem, nieporozumieniem i tragedią. Naszkicowałem tylko główne linie tej miłosnej przygody Szopena, bo przez swą trwałość i pogłębienie była ona najważniejszą w jego życiu. Za trudna to rzecz ważyć na szali miłości, co jedna dusza daje, a druga odbiera, tym bardziej gdy się znajdujemy przed dwoma tak różnymi temperamentami jak Szopen i George Sand. W gruncie rzeczy cały ten konflikt mógł być nawet pożytecznym dla ich twórczości.

Nie chcę również właśnie dlatego, że piszę o Szopenie, obciążać imienia George Sand, należy się jej tym większa bezstronność i dokładność. Oboje mają jeszcze dziś swych obrońców i oskarżycieli, a cały stosunek Sand — Szopen dzieli się na dwa obozy: jej przyjaciół i jego wielbicieli. Przeciw pani Sand powstały dwa zarzuty kardynalne: pierwszy, że się posługiwała Szopenem dla powiększenia swojej sławy, drugi ważniejszy, jeżeli się na uwagę weźmie temperament George Sand, że zrobiła mu wiele złego z powodu swoich rozszalałych zmysłów.

Pierwszy zarzut może mieć tylko względną słuszność, bo w 1837 roku pani Sand miała już bardzo znane nazwisko. I jeśli nawet Szopen wraz z Prosperem Mériméem i Mussetem stanowili chlubną trójkę wielbicieli bujnej powieściopisarki, jest dużo okoliczności, które wskazują na to, że instynkta jej grały większą rolę niż wyrachowanie.

Drugi zarzut natomiast jest bardzo poważny istotnie. Wszystko wskazuje na to, że po doświadczeniu na Majorce ta inteligentna i zręczna kobieta widząc, jak dalece jej gra polegająca na zmysłach jest przegraną, z wielkim sprytem stawia wszystko na jedną kartę, która jej pozostała, i przedstawia siebie jako oddaną, pełną macierzyńskich uczuć opiekunkę Szopena.

Właśnie w „Lukrecji Floriani" pisze o sobie (choć temu zawsze zaprzeczała) w ten sposób: „Będę kochać" — powiedziała, składając długi i mocny pocałunek na bladym czole młodego księcia — „ale tak jak kocha matka, niezmiennie i gorąco, przysięgam"... „Los zsyłał oto księciu Karolowi osobę najbardziej powołaną do ratowania go. Lukrecja Floriani miała cudowny instynkt zrozumienia stanu chorych oraz środków potrzebnych do leczenia ich. Poza tym miała duszę przepełnioną nadmiarem miłości. Chciała być matką swoich kochanków, nie przestając nią być dla swoich dzieci. I ta walka przeciwnych sobie uczuć musiała zakończyć się porażką mniej silnego. Dzieci zwyciężały zawsze; z tego powodu spadały na nią nienawiść i przekleństwa mężczyzn, którzy zawdzięczali jej wszystko i których popsuła była do

tego stopnia, że nie rozumieli, jak mogła się wycofać, kiedy była znużona już i zniechęcona".

Otóż zrywając maskę Lukrecji Floriani zobaczymy, że pani Sand pisze w „Histoire de ma vie" mniej więcej to samo, tylko podaje dokładniej powody zerwania: „Charakter jego z dnia na dzień pogarszał się. Robił mi sceny pełne złośliwości, humorów, zazdrości i to w obecności moich przyjaciół i dzieci. Solange z właściwym sobie sprytem wyzyskiwała takowe. Maurycy zaczął się oburzać przeciwko Szopenowi. Czułam, że lada chwila wybuchnę i powiem mu prosto w oczy, że stawia mnie, czterdziestotrzyletnią kobietę w sytuacji po prostu śmiesznej, że nadużywa mojej dobroci, cierpliwości i wyrozumiałości dla nerwów jego i chorobliwego stanu. Jeszcze parę miesięcy, parę dni może i powstałby nieunikniony konflikt..."

I jeszcze nie dbając nawet o prawdę rzuca swoje oskarżenia na Szopena w „Histoire de ma vie". „Nie mogę, nie powinnam i nie chcę podpadać pod władzę tej tajemnej tyranii, która za pomocą stałych i nieraz bardzo głębokich ukłuć szpilkami chciała odebrać mi nawet możliwość swobodnego oddychania. Mogłam ponosić niewiarogodne ofiary, włącznie do zrezygnowania z mojej własnej godności, ale biedny chłopak nie potrafił obronić już nawet swej osobistej zewnętrznej godności, której przecież sam był niewolnikiem, co się dotyczy zasad i nawyknień. Mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy byli dla niego powodem przerażającej, nieprzytomnej, szalonej zazdrości. Gdybyż tylko mnie to okazywał, zniosłabym

wszystko, ale te wybuchy wściekłości powtarzały się też w obecności dzieci, służby, a także wobec mężczyzn, którzy widząc to mogliby stracić dla mnie szacunek, do którego przecie miałam prawo z powodu mego wieku i zachowania podczas ostatnich dziesięciu lat; nie, nie mogło to dalej trwać".

A oto jeszcze, co pisze o księciu Karolu w swojej książce: „Był w wysokim stopniu dobrze wychowany i powściągliwy, nikt nie mógł podejrzewać, co się w nim kryło. Im bardziej był rozgoryczony, tym zimniejsze było jego zachowanie, i tylko coraz bardziej lodowata uprzejmość wskazywała na stopień napięcia jego wściekłości. Stawał się nieznośnym wtedy, chciał rozumować i naginać życie realne, którego nigdy nie rozumiał, do zasad, których nie mógł określić. Wynajdywał fałszywe i olśniewające dowcipy, żeby dręczyć tych, których kochał. Stawał się szyderczy, napuszony, wymyślny, wszystko napełniało go niesmakiem. Zdawał się jątrzyć każde przeżycie dla zabawy. A rana, którą zadawał, przenikała głęboko. To znów nie mając odwagi przeczyć i urągać, zamykał się w pogardliwym milczeniu, dąsając się rozpaczliwie. Wszystko dlań było obcym i obojętnym, wychodził poza obręb wszelkich rzeczy i pojęć".

Wystarczy tych parę porównań, żeby uznać, że pokrewieństwo jest jasne, z intencją podkreślone. Widoczny jest wysiłek pani baronowej, aby zaznaczyć, jak zły i trudny charakter miał jej bohater i jak wspaniałe macierzyńskie zalety jej bohaterka.

Byłoż to przygotowanie do obrony wobec przeczu-

cia, jak wielkie imię pozostawi po sobie przyszłym pokoleniom Szopen?

Podobno ulegając swym sadystyczno-literackim upodobaniom pani Sand przeczytała Fryderykowi rozdziały, w których jak najjaskrawiej był odmalowany książę Karol. Szopen milczał, tylko garbiąc się jeszcze bardziej usuwał się do swego pokoju i po chwili odpowiadał... na fortepianie. Może jakim Nokturnem albo Preludium, nawałnicą i burzą buntowniczej etiudy C-moll lub... Marszem Żałobnym, tym hymnem wszelkich agonii, poematem wszelkiego bólu...

W rytmach tych, sięgających wołaniem do niebios, rytmach, które były gorącą skargą, pragnieniem i przemienieniem, duch Fryderyka odbijał się jak w zwierciadle podczas tych smutnych godzin, kiedy pani Sand przy swoim biurku „opracowywała" księcia Karola...

ZERWANIE

A więc gdzież się kończy prawda i zaczyna wyobraźnia? W sposób jak najbardziej korzystny dla siebie, powodując się instynktem kobiety literatki, opowiada nam pani Sand o swoim uczuciu do Szopena. Podała nam moc szczegółów i drobnych detali, obwiniając kolejno to księcia Karola, to znów Fryderyka, broniąc się bardzo zręcznie, dbając przede wszystkim o opinię ludzką.

W tym to właśnie okresie doszła ona do szczytu

swej chwały literackiej, logiczne jest więc przypuścić, że chciała bronić swej dobrej sławy. Będąc kobietą bezpośrednią i namiętną pisała dużo listów do przyjaciół, do pani Marliani, do Wojciecha Grzymały, w listach tych poruszała ciągle temat jej stosunku z Szopenem; stara się ona wyjaśnić dokładnie powody zerwania nieuniknionego i koniecznego nawet z racji charakteru Fryderyka i antypatii, jaką miał do niego Maurycy. Słowem — poświęciła przybranego syna swemu prawdziwemu synowi; Szopen był ofiarą macierzyńskiej miłości pani baronowej, tej miłości, którą nazywała swoją drugą naturą.

Nie można odżałować, że kompletny zbiór listów Szopen — Sand nie istnieje; pani Sand własnoręcznie zniszczyła go wtedy, kiedy Aleksander Dumas przywiózł je z Polski. Ale na szczęście istnieją dwa dokumenty ogromnej wagi, pozwalające na dokładny rozbiór uczuć powodujących odruchami pani Sand, która to, w swym dziwnym zamiłowaniu roztrząsania najintymniejszych przeżyć, napisała do tej samej osoby, tj. Wojciecha Grzymały dwa listy na początku i na końcu stosunku z Fryderykiem. W tym drugim liście z dnia 12 maja 1847 roku pisze, wyrażając swą radość z powodu polepszenia zdrowia Szopena: „Wiedziałam o tym, że był chory na dwadzieścia cztery godziny przed listem zacnej księżnej; podziękuj ode mnie temu aniołowi. Wieleż wycierpiałam podczas tych dwudziestu czterech godzin... Nareszcie tym razem jeszcze jest uratowany. Wpływy jego na moje sprawy rodzinne byłyby dla mnie równoznaczne z utratą godności i miłości ze strony

moich dzieci. Pomów z nim i postaraj się, aby to zrozumiał... Zło, które toczy fizycznie i moralnie tę biedną istotę, zabija mnie od dawna i widzę, jak odchodzi, nie mogąc zrobić ani teraz, ani przedtem nic dobrego dla niego, ponieważ właśnie to nieufne i zazdrosne uczucie, jakie żywi dla mnie, jest głównym powodem jego smutku. Siedem lat już żyję jak dziewica z nim i z innymi... Jeżeli była na świecie kobieta, która mogła natchnąć go bezwzględnym zaufaniem, to właśnie ja nią byłam, a on tego nie rozumiał nigdy; wielu ludzi oskarża mnie, żem go wyczerpała gwałtownością moich zmysłów, inni żem go doprowadzała do rozpaczy moimi kaprysami. Przypuszczam, że Ty najlepiej wiesz, jak jest naprawdę. On się użala przede mną, żem go zabiła odmawiając mu pieszczot, gdy tymczasem jestem pewna, że zabiłabym go postępując inaczej. Popatrz, jakie jest moje położenie w tej przyjaźni, dla której zrobiłam ze siebie niewolnicę we wszystkich okolicznościach, z wyjątkiem tylko tych, gdzie byłabym odpowiedzialną i winną wobec moich dzieci... Dokazałam cudów cierpliwości, nie spodziewałam się tyle po sobie. Doszłam do męczeństwa! Ale niebiosa są nieubłagane wobec mnie, jak gdybym miała do odpokutowania jakieś wielkie zbrodnie, bo pomimo wszystkich tych wysiłków, poświęceń, ten którego kocham miłością czystą, macierzyńską, pada ofiarą szalonego przywiązania, które wciąż żywi ku mnie. Oby Bóg w swej dobroci sprawił, żeby przynajmniej moje dzieci były szczęśliwe, to jest dobre, szlachetne i w zgodzie z własnym sumieniem, bo co się szczęścia dotyczy,

nie wierzę, aby było możliwym na tym świecie, a prawo płynące z góry jest tak nieugięte, że marzenie o tym, by uniknąć cierpienia z powodu rzeczy zewnętrznych, staje się prawie bezbożnym buntem. Jedna siła, która nas może ochronić, to wola spełnienia obowiązku naszego".

Nie wszyscy wierzą w szczerość George Sand; w wielu wypadkach napotyka się sceptyczny uśmiech wobec tego listu, decydującego właściwie w sprawie zerwania. Ale czy możemy uważać ją za gruntownie fałszywą? Nie należy zapominać o jej gorącym temperamencie, który unieszczęśliwiał ją od czasów stosunku z ordynarnym i brutalnym mężem, aż do dramatycznego związku z Szopenem, który to związek z pewnością nie był ostatnim doświadczeniem jej bujnego i długiego życia.

Pani Sand umarła w siedemdziesiątym trzecim roku życia, uwieńczona wawrzynem zasługi literackiej.

Na próżno też zadawalibyśmy pytania „oskarżonemu" Szopenowi. Jak zwykle, milczy w tej sprawie. W listach jego do przyjaciół z trudem można znaleźć jakieś słowo oświetlające prawdziwe powody zerwania. Raz z Londynu pisze w przededniu śmierci prawie, że pani Sand staje się coraz złośliwsza. Ale w dyskusjach lub listach milczenie jest bronią, którą przeciwstawia niepowściągliwej gadatliwości George Sand, tak bardzo lubiącej roztrząsać z przyjaciółmi swe intymne sprawy. Szopen zamykał się w sobie i zwierzał się tylko fortepianowi.

Oto 1 listopada. Wybiła godzina pożegnania. Szesnaście lat temu, również pierwszego listopada że-

gnał Fryderyk Warszawę z „nutami w tłumoku, wstążką w duszy i duszą na ramieniu"... Szedł wtedy naprzeciw sławie i życiu, a za nim szedł zaledwie dosłyszalny szept pana jego losów: „Udziałem Twym jest cierpienie tak wielkie, jak wielkim jest Twój los"...

Nie zapominajmyż więc o tym, że o ile Fryderyk był dla pani Sand nieudałym kochankiem i gorzkim doświadczeniem, a pani Sand dla niego dobrą pielęgniarką i doskonałą opiekunką, świadkiem zmierzchu jego jako człowieka i artysty, to była ona również powodem zgonu jego miłości, nadziei i natchnienia artystycznego.

Żal Fryderyka, gdy się poczuł nagle opuszczonym, samotnym jak dziecko, był tak wielki, że od tej chwili nie skomponował już ani jednego taktu.

Powolne konanie w nim miłości w przeciągu dziewięciu lat wyjałowiło na zawsze źródło harmonii. Zmęczony, rozczarowany, zniechęcony, potykając się jak ślepiec, który szuka oporu, utraciwszy wiarę w przyszłość, w życie i sztukę, Szopen powraca do Paryża. Przyjaciołom, którzy pytają o zdrowie, odpowiada tłumiąc kaszel i ukrywając krwotok: „Dobrze".

To „dobrze" staje się motywem przewodnim. Nie chce mówić o swoim cierpieniu, zaledwie raz podczas rozpaczliwych godzin szkockich napisze parę słów, które pałają jak jaki znak ostatni przed bliskim już zatonięciem.

„Dobrze", ale nie może już komponować. Musi zarabiać na życie, dawać lekcje, koncertować, sło-

wem, musi walczyć o byt. Na szczęście otoczony jest gronem wiernych przyjaciół, jest też pomiędzy nimi czarująca Joanna Stirling, która namawia go, żeby dał kilka koncertów w Anglii. Nawet tym najbliższym nie mówi Fryderyk nic o pani Sand. Milcząc cierpi okrutnie w tym oddaleniu od ukochanej kobiety, od życia prawie rodzinnego, do jakiego się przyzwyczaił. Wie, że miłostka pomiędzy Maurycym i kuzynką Augustą trwa, wie, że Solange zaręczyła się z Fernandem des Préaulx. Chciałby napisać, wypowiedzieć swoje zdanie, myśli, bo przecież zna charaktery i zwyczaje rodziny, tak jakby do niej należał. Ale opanowuje się i dalej milczy. Zniósł już tak wiele, i tak przecież wszystko musi przeminąć...

Przyjaciele starają się zainteresować go koncertem. Paryż chce oklaskiwać go znowu po dłuższej przerwie, będzie grał tam, gdzie po raz pierwszy ukazał się publiczności: na sali Pleyela. Chociaż właściwie po co? Wszystko w nim przecież umarło...

„I cyprysy mają swoje kaprysy"...

Godzi się więc nareszcie, stawia jednak swoje warunki dotyczące zaproszeń, chce dużo kwiatów, światła specjalne, wiele dywanów. Powoli ożywia się, ogarnia go święty ogień sztuki, jej cudotwórcze działanie uzdrawia ranę zadaną przez panią Sand.

We środę 15 lutego 1848 roku na sali Pleyela wyborowa, arystokratyczna publiczność po raz ostatni wita i słyszy Szopena. Asystujemy przy zmierzchu obu stron: tego który jest przy fortepianie i tych którzy są na sali. Gwiazda Szopena i gwiazda Ludwika Filipa zgasną wkrótce. I choć Fryderyk widział

wschodzące zorze Rzeczypospolitej, jest on raczej poetą zmierzchu królestwa.

11 lutego pisze Szopen do swoich: „Od tygodnia już biletów nie ma, a bilety są wszystkie po 20 fr. Publiczność zapisuje się na drugi (o którym nie myślę). Dwór zażądał 40 biletów i w dziennikach tylko napisano, że może dam koncert, a z Brestu, z Nantes pisano do mojego editora, żeby zamówić miejsca. Dziwi mnie takie empressement i muszę dziś grać, choć dla sumienia swojego, bo zdaje mi się, że gorzej gram niż kiedy. Będę grał (dla ciekawości) Mozarta Trio z Franchommem i Allardem. Afiszów nie będzie ani biletów darmo. Salon wygodnie urządzony może 300 osób zmieścić. Pleyel żartuje zawsze z mojej głupoty i na zachęcenie do koncertu schody kwiatami ubierze. Będę jak u siebie i prawie tylko znajome twarze napotkają oczy moje; mam już u siebie fortepian, na którym gram... Bardzo jestem zatrudniony na wszystkie strony, a nic przy tym nie robię..."

Jakiś nieuchwytny smutek bije z tego listu. Właściwie nie chciał grać, zmusili go przyjaciele... Aby dodać mu odwagi i sił, obiecują mu tylko znajome twarze, dużo kwiatów, które tak bardzo lubi. Ani słowa w tym liście o George Sand; nie będzie jej na sali, ale bolesne wspomnienie o niej żyje wciąż w sercu artysty.

Wytworne zaproszenia imienne na koncert zapowiadają bogaty program: Nocturne, Barcarola, Etiuda, Berceuse, Scherzo, Adagio i Finał z Sonaty h-moll, Preludia, Mazurki i Walc.

Zgodnie z tym, co pisze „La Gazette Musicale" z dnia 20 lutego, Ariel fortepianu osiągnął niebywały tryumf tego wieczoru. Nie dość było zamówić bilety poprzednio, ci co gotowi byli każdą sumę zapłacić, nie mieli pewności, że wejdą, bo lista płatnych zaproszeń musiała być zatwierdzona po przejrzeniu przez samego mistrza. Nigdy jednak Szopen nie grał jak tego pamiętnego wieczoru przed tą publicznością złożoną z królów, książąt i arystokracji krwi i ducha. Były to ostatnie chwile tego dogorywającego świata, albowiem po niecałym tygodniu rozpoczęła się już Druga Rzeczpospolita.

Zawsze wytworny i elegancki Szopen robił nadludzkie wysiłki, żeby wykonać cały program, musiał jednak usunąć Sonatę, próby nie zadowoliły go. Podczas koncertu musiał parę razy dłużej odpoczywać, niż to zwykle czynił, a pod koniec był bliski omdlenia.

Na próżno szukał na sali wypełnionej po brzegi przez jego wielbicieli pałających czarnych oczu, których słodycz tak dobrze była mu znana...

Spotkał raz jeszcze George Sand na początku marca 1848 roku. Pisze on 5 marca do Solange, która po zerwaniu z Fernandem des Préaulx wyszła za mąż za rzeźbiarza Clesingera. „Byłem wczoraj u pani Marliani i wychodząc spotkałem w drzwiach Matkę Pani, która wchodziła z Lambertem, przywitałem się z Matką Pani i drugim słowem moim było pytanie, czy dawno miała wiadomości od Pani. — Przed tygodniem — odpowiedziała. A onegdaj lub wczoraj nie miała Pani nic? — Nie. — W takim razie mogę

powiadomić Panią, że została Pani babką. Solange ma córeczkę i jestem rad, że pierwszy mogę o tym Pani donieść. — Ukłoniłem się i wyszedłem na schody".

Pani Sand również opowiada o tym fakcie w „Histoire de ma vie": „Chwilę jedną widziałam go w marcu 1848 roku. Uścisnęłam jego lodowatą, drżącą dłoń. Chciałam mówić do niego i uciekłam. Musiałabym wtedy powiedzieć mu, że mnie nie kochał. Oszczędziłam mu tego cierpienia, składając wszystko w ręce Opatrzności i przyszłości. Nigdy więcej nie miałam go ujrzeć. Stanęły pomiędzy nami złe serca. Były też i dobre, ale nie potrafiły działać..."

Gdy Szopen znalazł się na dole, zapragnął uzupełnić nowinę daną babce George Sand o młodej matce Solange, ale nie mając sił, aby powtórnie wejść na schody, prosił przyjaciela Combes'a, który właśnie z nim razem wychodził, żeby poszedł powiedzieć pani Sand, że jej córka i wnuczka mają się dobrze. Georg Sand zeszła na dół z Combes'em. Fryderyk dodał parę szczegółów o Solange i o przyjściu na świat dziecka, odpowiadając na pytania pani Sand, która w ostatniej chwili zapytała Fryderyka ściskając jego dłoń:

„Jak się Pan miewa?"

„Dobrze" — odpowiada uśmiechając się lekko Fryderyk i wychodzi.

Nie powiedział ani słowa ani o duszącym go kaszlu, ani o częstych krwotokach, ani o czymś jeszcze

ważniejszym dla niego, a mianowicie: od kiedy go opuściła, nic nie skomponował.

Wszystko się skończyło. Nie zobaczą się już nigdy więcej. Półtora roku później, podczas agonii, Szopen, który nie przestał myśleć o pani Sand, powie tylko jeden frazes: „A przecież przyrzekła mi, że umrę w jej ramionach".

Przeczuwał zresztą od dawna, że jej nie zobaczy już ani na koncertach ostatnich, ani u siebie na place Vendôme. Podpowiedziała mu to jego dusza obdarzona tym, co można nazwać zmysłem wróżbiarskim.

ZMYSŁ TAJEMNICZOŚCI

Pewnego dnia, gdy jeden z najlepszych uczni Szopena, Georges Mathias, grał na fortepianie sonatę la bemol Webera, mistrz, który był zazwyczaj uważnym i surowym słuchaczem, podkreślił nagle jeden pasaż muzyczny mówiąc przyciszonym, jakby dalekim głosem:

„W tej chwili przez niebieskie przestworza przeleciał anioł..."

Czy te wielkie pałające źrenice, które poznały rozpaczliwy smutek Valdemosy, widziały istotnie, poza granicami życia, aniołów przywołanych boską harmonią? Jedno jest pewne, że Fryderyk dał nieraz w życiu dowody tak ostrej wrażliwości i głębokiego wyczucia, że mimowoli powstaje pytanie, czy nie stawał się podświadomie jasnowidzącym, obdarzonym tym, co by nazwać można było jakimś

zmysłem przenikania tajemnic lub też zmysłem wróżbiarskim.

Spostrzegawczy Balzac powiedział: „Liszt gra jak szatan, a Szopen jak anioł". Istotnie, za pomocą muzyki uzewnętrzniała się cała anielska dusza Fryderyka. Czy posiadał przy tym jakiś rodzaj magnetyzmu? Czy też fluidy medialne? Gdy kładł ręce na klawiaturze i szukał „nuty lazurowej", jakiś nadprzyrodzony kontakt nawiązywał się pomiędzy jego jaźnią i zbiorową duszą słuchaczy. Muzyka była prądem, a jego dusza tajemniczą iskrą, która wzniecała święty ogień.

Był jakby naelektryzowany chorobliwą wrażliwością. Po wykonaniu niektórych utworów, szczególnie Polonezów i Mazurków, zdawał się być porwanym przez Ducha Polski. *Genius loci* rodzinnej ziemi przybierał rysy jego, łączył się z jego muzyką, która stawała się oddechem umęczonej ojczyzny.

Gdy w ciszy swego domu, pochylony nad zaledwie rozjaśnioną chwiejnym płomieniem świec klawiaturą, poddawał się Fryderyk włóczędze swoich marzeń wśród gwiezdnych błoni, opuszczał on z pewnością otaczającą go rzeczywistość.

Parę razy opisała go George Sand właśnie w stanie takiej ekstazy. Gdy powracała ze swych romantycznych nocnych przechadzek po ruinach starego klasztoru i wchodziła na palcach do celi, znajdywała Fryderyka z obłąkanym wzrokiem, zjeżonymi włosami i wilgotnym od zimnego potu czołem. Nieoczekiwany szmer lub żywszy ruch przerywały ten stan; Fryderyk pozostawał jednak jakby nieobecny,

ręce jego drżały, wzrok gubił się gdzieś w oddali; nie wiedział, ani gdzie był, ani skąd wracał.

Bardzo charakterystyczne jest zajście podczas narodzin Preludium deszczowego. Zdać się mogło wtedy, że został rzucony poza granice realności za pomocą jakiejś nieprzezwyciężonej fali i z trudem powracał do przytomności.

Pewna Wiedenka, pani Streicher, która poznała go w roku 1839 i została wkrótce potem jego uczenicą, opowiada, że była naocznym świadkiem następującej sceny: gdy Szopen grał, do salonu wszedł z biletem przybyłego gościa służący, przerywając improwizację. Jakby od prądu elektrycznego włosy Szopena zjeżyły się nagle i pozostały tak przez jakiś czas.

Jakiego pochodzenia mogły być te fale, które unosiły do sfer niedościgłych ducha Szopena? Jakie obrazy oglądały jego oczy w takich chwilach?

Joanna Stirling, której dobroć i słodycz przyniosły tyle ulgi Szopenowi w ostatnich latach jego życia, pisze o nim również: „Zdawało się, że jakaś siła wypychała go poza granice ziemskie". Ta cecha nadprzyrodzona Fryderyka jest godna uważnego przemyślenia.

Nie mam wrażenia, żeby istniała książka, która badając wszechstronnie skomplikowane „ja" Szopena, traktowałaby o tej właściwości z punktu widzenia psychicznego.

W każdym razie nie znam pracy tego rodzaju. Natomiast we wszystkich życiorysach Szopena podane są przez najwybitniejszych jego biografów ta-

kie fakty i odruchy, które o ile nie zasłużyły na szczególne podkreślenie w tych dziełach, zdają się bezprzecznie należyć do kategorii tych delikatnych zjawisk, które nazwać by można przenikaniem tajemniczości zaświatów.

Myślę, że te zjawiska istnieją w każdym z nas w większym lub mniejszym stopniu. Materialne warunki i stan fizjologiczny, szablon codzienny i rodzaj życia, jaki prowadzimy z konieczności, z rzadka tylko pozwalają nam na obserwowanie w nas samych tego czegoś niejasnego, co się w głębi naszej świadomości kryje i co się objawia tylko na skutek jakichś zewnętrznych warunków lub nieoczekiwanego dotknięcia serdecznych ran naszej duszy. Są chwile, kiedy nie wiedząc o tym jesteśmy bardzo bliscy cudu, bo cud ten staje się w nas samych, złączony z iskrą nadprzyrodzoną, która jest zaczątkiem naszego przeznaczenia. Poprzez namiętności, choroby i ból kiełkuje ziarno naszego losu w tych donośnych godzinach, na których leży pieczęć woli Boskiej, kiedy w duszy budzi się to, co jest wiekuiste. I tylko wtedy żyje dusza istotnym życiem. A gdy przejdzie ona przez ból i miłość i stanie się wrażliwsza i subtelniejsza, gdy zadrga wspólnym rytmem z nieskończoną mnogością dalekich jej i bliskich dusz, wyczuje ona wtedy w tej jednolitej wibracji tajemniczy prąd, który istnieje w nas, poza nami i ponad nami, w tętnie naszych serc, w porywach budzącej się wiosny i promiennym drżeniu gwiazd.

Bo choć formy są mnogie, ale życie jest jedno.

Artysta, szczególnie w takim wypadku gdy prócz

szczególnej wrażliwości posiada jeszcze specyficzne przeczulenie na skutek choroby, potęgującej jego, że tak powiem, siłę promieniowania, może, jak antena o niezwykle delikatnej budowie, odbierać i nadawać tajemnicze fale, które płyną z jakiegoś oceanu światła, o istnieniu którego inni nie przypuszczają nawet.

Ciężka i egoistyczna forma codziennego życia i walki o byt przeszkadzają zbyt wielu do wzniesienia się na wyżyny, gdzie żyją dusze artystów czuwających nad nami, jakby jaka straż mistyczna.

Szopen jest jednym z wielkich tej straży: Jednym z tych, których powroty w nieskończoność były bardzo częste.

To co dziś wraz z Richetem przyjęto nazywać „szóstym zmysłem", tj. niejasną i głęboką możliwością ducha odczuwania i stwierdzenia pewnych zjawisk i zdarzeń, całokształt okultystycznych mocy, oświetlonych zaledwie przez doświadczalną psychologię, kompleks fenomenów telepatycznych, przeczuć, wizji i wzruszeń, dających się pochwycić niektórym, nie wiadomo dlaczego bardziej obdarzonym duszom, — wszystko to może być wprowadzone w krąg mistycznych właściwości, które nazwać można właśnie „zmysłem tajemniczości".

Aby się cud przemienienia mógł spełnić, ten zmysł tajemniczości nie powinien ograniczać się do rejestrowania zjawisk nadprzyrodzonych, ale łącząc to, co nas przerasta w nieskończoności, z iskrą Bożą, którą w sobie nosimy, powinien dać naszej duszy tętno i rytm wieczności.

Myślę, że kiedy miłość stanie się jakby najradośniejszą formą cierpienia, a cierpienie ze swej strony zapładniać będzie coraz szerszą miłością; gdy wreszcie cierpienie osiągnie pewne głębie, a miłość pewne wyżyny, wówczas dusze utoną w atmosferze promienistej fali, zmysłu tajemniczości, w której się odzwierciedla obraz boskości.

Z zaświatów dalekich przebijają: światło, które tylko pewne źrenice mogą dojrzeć, i drgania subtelne, które tylko najwrażliwsze anteny mogą pochwycić, uprzedzając o nawałnicach i zorzach niespodzianych.

To przeczucie mistycznej ojczyzny, ziemi obiecanej, tego „czegoś", co jest poza nami, ukazuje się też w formie nostalgii uprzywilejowanych dusz, które zachowały jakby wyraźniej od innych wspomnienie zaledwie opuszczonych krain.

Nie ma wątpliwości, że Szopen posiadał w wysokim stopniu zmysł tajemniczości i wróżbiarstwa.

Musiał też mieć właściwą Słowianom, silnie rozwiniętą medialność, którą pojmuję, jako niesłychaną wrażliwość ducha. Sztuka jego porywała go w dziedziny ideału, który staraliśmy się niejednokrotnie pochwycić. Wreszcie choroba trawiąca go przez całe życie powodowała często stan jakby oderwania od ziemi; wędrował wtedy w nieskończoność, która była dla niego, chorego artysty, upragnionym i upajającym cierpieniem.

Pragnienie nieskończoności!

Jakże silnie odczuwał je Szopen, zaostrzone przez tęsknotę i ból, doprowadzone do męki przez gorącz-

kę twórczą artysty. Dlatego może zdołał on pochwycić, oddać i utrwalić wibrację tej „aura magnetica" zaświatów.

Przypomnijmy sobie niektóre z tych „wibracji". Przede wszystkim odkrycia swego „daimona", kiedy pisze do Tytusa o tym, że na nieszczęście może ma już ideał... To przeczucie nieszczęścia ma wartość proroctwa duchowego. Następnie przeczucie ostatecznego oderwania od Polski, które miał w Warszawie i Wiedniu; „myślę, że jadę umrzeć", pożegnanie z krajem, smutek przebijający beznadziejną nutą w listach, wyczucie śmierci przedwczesnej w notatkach w dzienniku, zapisane jakby pod wrażeniem wizji trupa. Ciągłe oczekiwanie na coś, co się miało stać, oczekiwanie, które nie opuszczało go przez całe życie; wewnętrzna pewność „zmierzchu" miłości, symptomatyczny frazes napisany do Fontany podczas pobytu na Majorce: „czekam wiosny, czy czego innego", gorączkowe majaczenia podczas nocy balearskich, kiedy kurytarze klasztorne wypełniały się dla niego szeregami upiorów, niesamowite narodziny deszczowego Preludium, opisane dokładnie przez George Sand, coraz silniejsze i natarczywsze nawoływania śmierci, którą widział i wyczuwał szczególnie w ostatnim okresie życia. I wreszcie dokładne prorocze powiadomienie bliskich o rozpoczęciu własnej agonii.

Im bliżej był końca swego krótkiego życia, im bardziej pogłębiał się ból i zgęszczały jego barwy, tym potężniej i częściej dusza jego przebijała powłokę ziemską i poprzez rany zadane cierpieniem uprze-

dzała uwięziony w niej samej tajemniczy zmysł wróżbiarski.

W tym ostatnim okresie życia Szopen czuje prawie stale stojącą przy nim śmierć. Dusza jego od bardzo dawna już oczekuje na jej nieodwołalne przybycie. I wtedy kiedy Beethoven, dotknięty głuchotą, zbolały od reumatyzmów, zdradzony przez przyjaciół i krewnych, pozbawiony miłości, bez środków do życia, wznosi w godzinę śmierci pięść do nieba i woła „Boże, Boże, gdzież jesteś?", — Szopen złamany chorobą, tęsknotą do miłości, ciepła, słońca i ojczyzny, szepce uśmiechając się łagodnie: „Bóg obdarzył mnie swoją łaską". Miałże wyraźne przeświadczenie wewnętrzne, że cierpienie i wyrzeczenie były drogami do dostąpienia tej łaski?

I kiedy na łożu śmierci powiedział gasnącym głosem, że niebawem zacznie się agonia i że uważa za łaskę Boską objawienie mu tej chwili, dusza jego wyzwolona z więzów materii przez długie cierpienie płynęła już po falach nieskończoności, której rytmy poznał już od dawna zmysłem przenikania tajemnic zaświatów.

ZMIERZCHY ANGIELSKIE

Na tle ostatniego okresu życia Szopena ukazuje się czysta i słodka postać, która była aniołem stróżem jego zmierzchu: Joanna Stirling.

Ta rasowa, inteligentna i bardzo zamożna kobieta mieszkała w Paryżu w latach 1840 — 1850; by-

wała często w sferach artystycznych stolicy, tam też poznała Fryderyka Szopena. Zrodził się w niej niebawem gorący i bezinteresowny kult dla niego. Podobno malarz Ary Scheffer odtworzył jej rysy w jednej z postaci swego obrazu „Christus consolator". Była ona naprawdę pocieszycielką cierpiącej duszy Szopena; niejeden raz potrafiła też z wielkim taktem i delikatnością dopomóc mistrzowi w ciężkich chwilach, tak że nie wiedział nawet, komu miał dziękować.

Jak się to zwykle dzieje, znaleźli się tacy, którzy starali się rzucić złe światło na przyjaźń czarującej kasztelanki i gasnącego muzyka. Nie zastanawiali się widocznie ani chwili nad przepaścią, jaka dzieliła tych dwoje: Joanna zdrowa, piękna, pełna zapału i anglosaskiego wdzięku, uważała życie za obietnicę szczęścia. Szopen kaszlący coraz mocniej po ostatnim koncercie tracił z dniem każdym siły. Gdy grał za długo, wyczerpanie graniczyło z omdleniem. Żeby ustać na nogach i nie tracić pogodnego uśmiechu, musiał brać podniecające środki.

Prawdą jest to, że przyjaźń Joanny i Fryderyka była czysta jak lilia. Piękna Szkotka zakochała się platonicznie w wielkim artyście. Żaden list nie nasuwa najmniejszej w tym względzie wątpliwości. Fryderyk oddał się z radością tej troskliwej i czułej opiekunce, której tak bardzo potrzebował od czasu, kiedy opuściła go pani Sand. Joanna Stirling zrozumiała swoje delikatne posłannictwo: goiła jeszcze otwarte i bolesne rany.

Na prośby tej zacnej uczenicy Fryderyk decyduje

się na wyjazd i szereg koncertów w Anglii. Joanna organizowała wszystko w ten sposób, że osłabiony i wyczerpany Fryderyk nie miał żadnych kłopotów i trudów, tylko zadowolenie z sukcesów, a dochód z koncertów został nie jeden raz zaokrąglony przez dobrą przyjaciółkę jego, o czym on naturalnie nie wiedział.

Po pierwszych już koncertach wszystkie gazety jednogłośnie napisały pełne zachwytów o Szopenie artykuły, tak że stał się on od razu bożyszczem Londynu. 23 czerwca grał u pani Sartoris, 7 lipca u lorda Falmoutha, potem u lady Galsborough, margrabiego Douglassa i księżnej Southerland w obecności Jej Królewskiej Mości Wiktorii i Księcia Małżonka Alberta.

Wyczerpanie zmusiło go jednak niebawem do zaniechania dalszych koncertów oraz do odmownych odpowiedzi na prywatne zaproszenia. Cały świat londyński walczył o niego. Ale niestety nie mogły się już powtórzyć te czasy, kiedy improwizował godzinami o miłości i tęsknocie dla pięknych paryżanek... Teraz co chwila zwilżał rozpalone skronie wodą kolońską, zmuszony był zażywać krople podniecające i często powstając od fortepianu opadał zupełnie złamany na najbliższy fotel.

Nie chodził prawie, jeździł tylko karetą, nie było mowy o wychodzeniu na schody. Miał często bolesne ataki duszności, stary służący nie opuszczał go nigdy, nosił go nieraz na ręku nawet, jak małe dziecko.

Pomimo wszystko Fryderyk uśmiechał się do

wszystkich pogodnie, podkpiwał ze siebie, „starej mumii" i w dalszym ciągu nazywał żartobliwie swoje utwory „pisaną nudą". Walczył z chorobą, kaszlem, krwotokami, choć przeczuwał, raczej wiedział już, że tuż za drzwiami stała czekająca na niego śmierć. Wystarczy, aby zechciała uchylić trochę odrzwia.... Zna ją już z nocy klasztornych, kiedy słuchał upiornych głosów Certozy...

Nie weszła wtedy, ale teraz...

Gra na koncertach tylko dlatego, że potrzebuje pieniędzy; życie w Anglii jest bardzo kosztowne. Ale tak jak i w Paryżu, stawia sam warunki, naznacza ceny i układa listę płatnych zaproszonych. Nigdy więcej jak dwieście osób, coraz bardziej nie znosi tłumów. Nie może przyjąć propozycji dużego koncertu w Towarzystwie Filharmonijnym Londynu, czuje się zbyt słabym.

Poznaje w tym czasie Carlyle'a, Dickensa, lady Byron.

W Edynburgu, gdzie zatrzymuje się dla wypoczynku podczas podróży przez półtora dnia, słucha w sklepie z nutami swego mazurka, wykonanego przez ślepego muzyka. Potem w karecie lorda Torpichena, wuja Joanny, zajeżdża do Calder House. starego zamczyska, otoczonego wielkim parkiem, gdzie się widzi tylko moc zieleni, łąki, stuletnie drzewa, góry i niebo.

Dobrze mu z Joanną i jej siostrą Katarzyną Erskine. Jest oczarowany anglosaską gościnnością; przy tym lubi ten wielkopański tryb życia, opisuje szczegółowo i malowniczo swój pobyt w listach do rodziny i przyjaciół. 28 sierpnia daje koncert w Manchesterze wraz ze śpiewakami włoskimi z Londynu, potem w Glasgow, u bratowej lorda Torpichena, następnie u lady Mutray, a w pierwszych dniach października w Edynburgu; musi zarobić trochę pieniędzy, bo zima zapowiada się jakoś niedobrze, a lekarze i kuracja kosztują bardzo drogo.

Ciekawe wyjątki z listów żony Carlyle'a charakteryzują wielkie wrażenie, jakie wywarła muzyka Fryderyka i on sam w Anglii: „Wolę jego muzykę od każdej innej, bo nie jest to nigdy oderwana cząstka jego sztuki, cząstka, która miałaby na celu wzbudzać zachwyt całego świata; jest to część jego duszy i życia, ofiarowana szczodrze tym, którzy mają uszy do słyszenia i serce do odczucia"... „Myślę, że każda z jego kompozycji odebrała mu wiele dni życia..."

Fryderyk jest dość obojętny na powodzenie i sławę w tym okresie. Zrozumiał, co go czeka; już niebawem będzie koniec wszystkiego. Myśli coraz częściej o tych przyjaciołach, którzy wyprzedzili go, porwani przez suchoty. Tak, i na niego już kolej... Nie ma ochoty zwierzać się fortepianowi. Ale wobec ludzi znajduje dość siły, żeby zachować dobry humor, i dowcipkuje nawet na temat własnej śmierci. Pisze do zacnego Fontany 18 sierpnia 1848 roku: „Jesteśmy stare cymbały, na których czas i okoliczności swoje tryliki nieszczęsne powygrywały. Tak, dwa stare cymbały, chociaż się będziesz bronił od tego towarzystwa. To nie ubliża ani piękności, ani zacności, la table d'harmonie doskonała, tylko się struny pozrywały, niektóre kołki powyskakiwały.

Jedyna bieda to: żeśmy sławnego lutnisty, jakiegoś Straduarego sui generis roboty, którego już nie ma, żeby nas zreperował. Nie umiemy tonów nowych wydawać pod kiepskimi rękami i dusimy w sobie to wszystko, czego dla braku lutnisty już z nas nikt nie wydobędzie. Ja już ledwie dyszę, je suis tout prêt à crever, a Ty łysiejesz zapewne i zostaniesz jeszcze nad moim kamieniem, jak te wierzby nasze, pamiętasz? — co te gołe łby pokazują. Nie wiem, dlaczego Jasio nieboszczyk i Antek mi teraz na myśli..."

Wspomina w tym liście zaprawionym goryczą wielu umarłych przyjaciół, nawet własnego stroiciela, i powiada: „Jeszcze czterech a pięciu niech mi pojedzie do bramy Ś-go Piotra, a całe życie moje wygodniejsze będzie ad patres. Wegetuję, czekam zimy cierpliwie... Marzę o domu, to o Rzymie, to o szczęściu, to o biedzie. Nikt mi dziś do gustu nie gra, ale tak się wyrozumiały zrobiłem, że mógłbym Sowińskiego Oratorium z przyjemnością słuchać i nie umrzeć... Co mi się zostało, to nos duży i 4-ty palec niewyrobiony... Ucałuj siebie i nie krzyw się. Twój Stary Ch."

A w liście do Grzymały inna nuta: „Żebym mógł jeszcze łazić po całych dniach od Annasza do Kaifasza, żebym od kilku dni krwią nie pluł, żebym był młodszy, żebym nie był zwalony w łeb od przywiązania, tak jak jestem, to bym może mógł na nowo życie zacząć"...

Pomimo wszystko opanowuje się ogromną siłą woli. I gra z gorączką, przeżywając w całym tego

słowa znaczeniu swoją głęboką tragedię. Jako pociechę i pomoc moralną ma grono wiernych przyjaciół, a przede wszystkim księstwa Czartoryskich, którzy dla niego opuścili Paryż i bawią w Londynie.

Gra coraz słabiej, bo siły fizyczne topnieją. W Edynburgu Joanna Stirling zakupuje osobiście 100 biletów, obawiając się, że zabraknie publiczności do wypełnienia sali koncertowej. Szopen rozumieć zaczyna, że jest bardzo, bardzo źle, że każdy dzień może być początkiem końca. Dnia 1 października pisze do Grzymały z Porth Shire, gdzie gości u lorda Stirlinga: „Jeżeli Ci jeremiad nie piszę, to nie dlatego, że mnie nie pokonsolujesz, boś jeden jest, który wiesz wszystko moje, ale że jak zacznę, to końca nie ma, a zawsze jedno. Źle mówię, że jedno, bo coraz ze mną pod względem przyszłości gorzej — słabszym się czuję, nic nie mogę komponować, nie tyle dla braku chęci jak dla fizycznych przeszkód, bo się codzień tłukę po innej gałęzi..."

Nie powiedział jednak jeszcze całej prawdy w tym liście. Ukrył, że nie wychodzi już wcale, chyba po to, aby się udać na koncert, że ma silne bóle newralgiczne, że co dnia w nocy zamęczają go po prostu ataki duszności. Daniel nie tylko nosi go po schodach, ale też ubiera go jak dziecko, żeby nie tracił sił potrzebnych mu dla koncertów. Wtedy stara się trzymać prosto i uśmiechać, jak na ostatnim koncercie w sali Pleyela; stara się opanować kaszel i okrutne po prostu zmęczenie.

Doktor Mallan opiekuje się nim bardzo troskli-

wie, ale mgły londyńskie i klimat stanowczo nie służą mu. Oddech staje się męczarnią, chwilami kaszel dochodzi do paroksyzmów. Trzeba wracać czym prędzej do Paryża. Pisze w październiku parę razy do Grzymały skarżąc się na Londyn: „wyjeżdżam z tego psiego Londynu... nie skarżę się, ale Ci tłumaczę, żem bliżej trumny niż łoża małżeńskiego. Umysł mam dość spokojny... zrezygnowany jestem". — „O matce, o domu myślę, o siostrach. Niech mi Bóg pozwoli zostać przy dobrych myślach. Tymczasem moja sztuka gdzie się podziała? a moje serce gdziem zmarnował? Ledwie że jeszcze pamiętam, jak w kraju śpiewają. Świat mi ten jakoś mija, zapominam się, nie mam siły, jeżeli się wzniosę trochę, to spadnę tym niżej"...

I jeszcze pisze, że choć nie przeklinał nigdy nikogo, jest teraz tak znużony życiem, że gotów przekląć Lukrecję, która z dniem każdym ma w sobie więcej złości. Niechże się choć nad Soli zmiłuje! Niestety, wszystko źle się na tym świecie układa...

Lukrecja, to George Sand, a Soli, to Solange.

Do tej drugiej pisze w wilię wyjazdu z Anglii, tj. 22 listopada 1848 roku: „Jadę jutro do Paryża powłócząc nogami, tak słaby, jakeście mnie jeszcze nigdy nie widzieli. Doktorzy gonią mnie stąd, jestem cały opuchnięty od newralgii, nie oddycham i nie śpię wcale. Od 1 listopada nie opuściłem wcale mego pokoju, tylko raz jeden, szesnastego, aby zagrać na koncercie dobroczynnym dla Polaków. Rozchorowałem się potem, ten klimat jest nie pomyślenia

dla takich ludzi jak ja, ale to tylko w zimowych miesiącach. Obiecałem wrócić w przyszłym sezonie!!! Sir Clarke, doktor królowej, był tu przed chwilą i dał mi swoje błogosławieństwo na drogę. Jadę stękać na Square Orléans, oczekując na coś lepszego..."

Zachodzące słońce posyła swoje ostatnie promienie: chylący się pod nawałnicą Szopen wsłuchuje się we własne, groźne dreszcze; tym razem wszyscy zobaczą, że zbliża się złowrogi mrok.

Podczas koncertu w Guidhall, właśnie tego na korzyść Polaków, zebrana na sali, roztańczona i rozbawiona publiczność zagłusza słabą grę mistrza. Smutek Fryderyka urasta chwilami do rozpaczy...

Od tej chwili wszystko go nuży, irytuje, nawet troskliwa opieka Joanny Stirling. Ktoś tam dowcipkuje na temat dziwnej przyjaźni pomiędzy piękną Szkotką i wybladłym Szopenem, który z trudem wlecze się od fotelu do fotelu. Czy są zaręczeni? „Można by zaręczyć mnie ze śmiercią" — odpowiada słabym szeptem Fryderyk.

Stracił prawie głos, zwilża co chwila eterem rozpalone skronie, zażywa duże dawki opium, żeby uśmierzyć bóle, ugina się pod cienkim szalem perskim, który okrywa mu plecy, za ciężkim dla jego słabych, skurczonych ramion.

Fryderyk wie, że po tym zimnym angielskim zmierzchu przyjdą dreszcze nie kończącej się nigdy nocy.

Nie ma ochoty już nawet grać; patrzy z żalem na białe klawisze, widzi teraz znacznie dalej. Poza tym nie ma sił, a zresztą, dla kogo ma grać, po co? Zdaje mu się, że czuje tchnienie śmierci krążącej wśród upiorów, palm i oleandrów, tak jak tam, w Valdemosie...

Może odżyje trochę w Paryżu. Pisze więc ostatni list z Londynu do Grzymały, prosząc o przygotowanie mieszkania na jego przyjazd: „każ kupić szyszek, niech pani Etienne nic nie szczędzi, żeby można się rozgrzać... żeby były dywany i firanki... żeby Pleyel fortepian przysłał... każ bukiet fiołkowy kupić, żeby w salonie pachniało, niech mam jeszcze trochę poezji u siebie, wracając, przechodząc do sypialnego pokoju, gdzie się pewno położę na długo... Jeszcze dzień dłużej tutaj, a zwariuję, nie zdechnę! Każ palić, grzać, okurzać, może przyjdę do siebie jeszcze. Twój do zgonu Ch."

Fiołki to ulubione jego kwiaty.

Pod opieką Leonarda Niedźwieckiego i swego służącego opuszcza Londyn w styczniu 1849 roku. W Paryżu czeka na niego zaraz na wstępie smutna nowina: nie rozwodząc się zbytnio o powodach donoszą mu, że jego przyjaciel, doktor Molin nie żyje. Jeszcze jeden...

Zbliżają się groźne chwile. Nie daje już lekcji, nie komponuje, nie odpowiada na zaproszenia. Spędza długi szereg dni aż do sierpnia w swoim saloniku obitym na szaro, jak to on lubi. Fortepian umilkł na zawsze. Fryderyk wita z wdzięcznością przyjaciół, którzy znoszą mu i ustawiają w wazonach kryształowych świeże fiołki na czarnym hebanie fortepianu.

Odezwie się czasem cicho, półsłowem. Choroba wbiła swoje szpony w gardło, cierpi ogromnie. Czasem zrobi jakiś gest, aby powstać, jak nieśmiałe dziecko, ale opada natychmiast w głąb fotelu i patrzy w dal z niewysłowionym smutkiem. Mawiał żartem, że i „cyprysy mają swoje kaprysy", oto przyszła godzina, w której przyjaciele pragnąc osłodzić mu długą, straszliwą agonię, czyhają po prostu na „kaprys", na jakieś skinienie.

Spala się jak świeca przed opuszczonym i próżnym ołtarzem.

Melodie ucichły. Popłynęły gdzieś w zaświaty, żeby zapowiedzieć jego rychłe przybycie.

Czasem prosi, żeby przysunięto jego fotel do fortepianu. Kładzie na nim ostrożnie przezroczyste ręce i słucha cichej odpowiedzi klawiszy. Uśmiecha się do widm unoszących się ponad ruinami wspomnień. Duszę zbolałą zalewają ojczyste melodie mazurków, piosenek służewskich, wiedeńskich walców, preludiów majorskich, nokturnów z Nohant... I nagle słyszy i czuje całym swoim jestestwem zbliżające się w rytmie Marszu Żałobnego kroki Wielkiej Wybawicielki. Czy już zawoła nareszcie na niego słodkim imieniem, jak wołały na niego ukochana matka i siostry: „F r y c k u..."

Doktorzy jeden po drugim radzą zgodnie zmianę klimatu i absolutny spokój. Fryderyk przecząco ki-

wa głową: i tak będzie miał wkrótce spokój bez ich rad, pisze do Solange. Coraz bardziej zamyka się w sobie. Nie chce widzieć nikogo, prócz najbliższych przyjaciół. I tak grać już nigdy nie będzie, czyż nie napisał o nim w ostatniej krytyce „Manchester Guardian", że wyglądał bardzo młodo, najwyżej na 30 lat, ale gra jego była jakby szeptem fortepianu, tak słabo grał, tak delikatnie. O czym właściwie miałby szeptać...?

Otacza go więc zwarte koło drogich przyjaciół: księżna Marcelina Czartoryska, miłosierna i zacna, przepiękna, o cudownym głosie Delfina Potocka, czarująca pani Kalerji o anielskim spojrzeniu, malarz Delacroix, paru oddanych mu wielbicieli z prowincji, onieśmielonych jego chwałą. Mieszkanie na Square d'Orleans staje się przybytkiem agonii, gorączkowego oczekiwania, oczu spalonych przez łzy.

Fryderyk widzi śmierć już tuż przy sobie. Wyziera z każdego kąta nieustannie, czuje jej zimny oddech na karku, plecach, skroniach, lodowatych palcach. Błaga siostrę Ludwikę: „Przyjeżdżajcie, słaby jestem i żadne doktory mi tak jak wy nie pomogą"...

Delacroix notuje w dzienniku swoim 14 kwietnia 1849 roku: „Byłem dziś u Szopena. Moja obecność po paru chwilach rozmowy podniosła go na duchu. Mówił, że dla niego najokrutniejszą męką jest nuda. Zapytałem, czy nie znał już przedtem straszliwego tego uczucia pustki, na które skarżył się obecnie. Odpowiedział mi, że potrafił zawsze zająć się czymś, że każde zajęcie, bodaj najbłahsze, wypełnia

czas i tępi nudę. Inaczej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o cierpienie"...

Gdy czas jest piękny, przyjaciele Szopena wywożą go na spacer. Naturalnie nie ma mowy o tym, żeby opuszczał powóz. Pozostaje na swoim miejscu owinięty szalami, uśmiechając się do znajomych i do swoich wspomnień.

O kim myślał najbardziej w tym czasie? O Konstancji? Maryni? Czy też o George? Z pewnością o tej trzeciej najczęściej, bo ją jeszcze kochał.

Chciałby napisać metodę fortepianową, ale z dnia na dzień odkłada rozpoczęcie pracy. Wyraża czasem jakieś życzenie, które przyjaciele wykonują na wyścigi. Nie zarabia naturalnie nic od dłuższego już czasu. Nie troszczył się nigdy zbyt poważnie o grosz i jutro. Leo i Franchomme załatwiają obecnie wszystkie jego sprawy. Wydawcy płacą bardzo mało, lekcji nie daje, nic nowego nie skomponował od dawna.

Na szczęście przyjazne serca czuwają, a przede wszystkim czuwa nad nim Joanna Stirling. W sierpniu Fryderyk opuszcza Square d'Orléans i przenosi się na rue de Chaillot, do spokojniejszej dzielnicy, gdzie jest więcej powietrza a gdzie warunki zdrowotne są znacznie lepsze. Komorne jest tam bardzo wysokie, ale Fryderyk o tym nie wie: podana mu przez przyjaciół cyfra nie odpowiada rzeczywistości, jest znacznie niższa.

Ostatnie słowa listu do siostry wskazują, jak bardzo czuje się osamotnionym bez rodziny: „Wszakże i cyprysy mają swoje kaprysy, mój kaprys dziś jest

was tu widzieć... może P. Bóg pozwoli, że będzie dobrze, a jak nie pozwoli, to róbcie przynajmniej tak, żeby miał pozwolić... rzadko wiele żądam i od tego byłbym się wstrzymał, gdybym nie był pusowany przez wszystkich, którzy mnie dobrze życzą; ...wasz brat przywiązany, ale słaby..."

Teraz jest już przeważnie zupełnie bez głosu. Trzeba uważać wtedy, żeby wyrozumieć urywane zgłoski. Aby ułatwić zadanie tym, którzy czekają na jego skinienie, stara się czasem jakimś słabym gestem wyrazić swoje życzenia i myśli.

Może cierpienie tych tygodni okrutnych sprawiło, że zrywając powoli więzy z tym światem Szopen mógł wyraźniej zobaczyć ścielącą się przed nim, nie kończącą się nigdy drogę do nieśmiertelności. Bliska śmierć ukazywała mu już jej majestatyczne piękno, które całe życie podświadomie oddawał w swoich utworach, poprzez które wyczuwał Boga i prawdę swojej wiary w Ideał. Pani Erskine, siostra Joanny, chciała, aby przeszedł w tym okresie na protestantyzm, ale spotkała się ze stanowczą odmową Fryderyka, który oświadczył, że nie odstąpi nigdy od swojej wiary.

„BÓG DAŁ MI ŁASKĘ..."

Oto koniec września 1849 roku. Trzeba szukać cieplejszego mieszkania wobec nadchodzących chłodów. Przyjaciele Albrecht i doktor O'Meara znajdują takowe na Place Vendôme.

Po przyjeździe siostry Ludwiki, jej męża i córki, Fryderyk pragnie koniecznie uściskać swego starego przyjaciela Tytusa Woyciechowskiego, który jest w Ostendzie, nie mogąc dostać paszportu do Francji.

Mijają nieskończone, długie dni. Życie uchodzi bardzo powoli. Prawdę powiedział jeden z przyjaciół Szopena, że umierał on właściwie co dnia po trochę, od dziesięciu lat. Walczył dzielnie pomimo tylu żywych okrywających go ran, ale oto przyszła najwznioślejsza godzina wyzwolenia.

Od przeniesienia na Place Vendôme nie podniósł się już z łóżka. Dostępnym dla niego światem jest już tylko jego pokój. Drzwi tego pokoju otwierają się ciągle, żeby przepuścić tych, którzy chcą go jeszcze raz zobaczyć i... pożegnać. W drzwiach tych zamglone oczy Fryderyka musiały dojrzeć i poznać też anioła swoich przeznaczeń, który szedł za nim stale od rogatek na Woli, gdy zabierał ze sobą garść ziemi ojczystej. Jechał wtedy z duszą na ramieniu... Teraz ta dusza wybierała się do wzlotu, jechał z nutami w tłumoku, a muzyka jego obecnie rozpłynęła się po całym świecie. Miał niebieską wstążkę ze sobą... Ta wstążka spoczywała w szufladzie zawierającej bolesne pamiątki „jego biedy"... W srebrnym pucharze ziemia rodzinna czekała na tę chwilę, kiedy rozsypana dłońmi wiernych przyjaciół utuli swego wielkiego syna.

W tych dniach ostatnich wsłuchiwał się Fryderyk uważnie w głos wewnętrzny, mówiący do niego: „Wszystko się spełniło, oto odejdziesz pogodnie uśmiechnięty wśród groną przyjaciół. Koniec Twój

będzie pełen harmonii, tak jak Twoja sztuka i życie. Pieśni Twojej zbolałej duszy nieść będą ukojenie i radość całemu światu, przez cierpienie doszedłeś do zwycięstwa".

Fryderyk zrozumiał, że umęczonym duszom pozostawi po sobie odpowiedź na tyle cierpień, tęsknot i żalu.

Coraz są częstsze krwotoki, coraz straszniejsza duszność i coraz bardziej męczący kaszel, który prawie nie ustaje. Cierpi ogromnie. Krewni i przyjaciele nie opuszczają go ani na chwilę. Widzi tylko twarze kochających i kochanych ludzi. Ludwika i księżna Czartoryska są stale przy jego wezgłowiu. Gutman bierze go w mocne ramiona, podnosi jak dziecko i poprawia poduszki, żeby mu było trochę lżej oddychać.

Początek października. Zgasły już wszystkie nadzieje. Z godziny na godzinę spala go gorączka. Wygląda jak posąg z kości słoniowej, nie znać prawie, że oddycha.

Fryderyk umiera. Szeregi ludzi czatują pod drzwiami. Brakuje tylko George Sand. Ale myśl o niej żyje...

Któregoś wieczoru w drzwiach pokoju Fryderyka ukazuje się postać księdza Aleksandra Jełowickiego. Przyjaciele Fryderyka zagradzają mu drogę w obawie, że choremu ta wizyta nie będzie miła. Przez dłuższy czas nie widywali się na skutek wynikłych pomiędzy nimi nieporozumień. Ksiądz Jełowicki przychodzi jeszcze dwa razy, aż mu się udaje powiadomić Fryderyka o swojej obecności w jego domu.

Przychodzi oto do przyjaciela, aby przynieść mu ukojenie i błogosławieństwo na daleką drogę. 13 października Fryderyk płacząc z radości wita sługę Bożego, który spowiada go, komunikuje i opatruje Świętymi Sakramentami. Ten akt wiary przed śmiercią będzie jedyną pociechą dla biednej starej Matki, która modli się gorąco za ukochanego syna daleko, w Warszawie.

Wielki spokój ogarnia Fryderyka. Nareszcie.

Nazajutrz ataki duszności stają się tak okrutne, że Gutman prawie stale trzyma go w ramionach. Po jednym z takich ataków słyszy nagle cichy szept: „Teraz zacznie się agonia". A potem mówi z trudem, ale stanowczo do doktora, który uważa za słuszne pocieszać go jeszcze słowami nadziei: „Jest rzadka łaska, którą daje Bóg człowiekowi objawiając mu chwilę rozpoczęcia jego agonii. Otrzymałem tę łaskę. Nie zamącajcie mi spokoju".

Wielka cisza panuje w sypialni Fryderyka. U wezgłowia jego stoi na straży Śmierć. Zda się, że na kogoś czeka.

Czeka również Fryderyk. Pochylający się nad nim Franchomme słyszy jakby w półśnie wypowiedziane słowa: „A przecież obiecywała mi, że umrę w jej ramionach..."

Zamiast George Sand przyjechała następnego dnia z Nicei Delfina Potocka. Szopen ostatnim wysiłkiem wita uprzejmie czarującą hrabinę. Uśmiecha się do niej i mówi: „A więc to dlatego Pan Bóg nie zabrał mnie jeszcze, żebym mógł mieć radość ujrzenia Pani..."

I oto nagle wyraża życzenie: chciałby posłyszeć jej cudowny śpiew raz jeszcze, posłyszeć ten kryształowy głos, który tak bardzo lubił. Fortepian zostaje przysunięty do drzwi na próg pokoju Szopena. Panuje półmrok, jak wtedy kiedy natchniony Fryderyk szukał „lazurowych nut“ wśród klawiszy. Jakże inny jest teraz ich głos.

Szept modlitw za konających ustał. Wszyscy klęczą pomiędzy łóżkiem Szopena i fortepianem, czarnym jak katafalk. Stoi tylko przy samym łóżku Delfina Potocka i śpiewa przerywanym od łez głosem może arię Belliniego z „Beatrice di Tende“, którą tak lubił Szopen, może jaki psalm Marcellego lub Stradellego, może „Stabat Mater“ Pergolesiego. Wzruszenie zabiło pamięć obecnych do tego stopnia, że nikt w następstwie nie mógł powiedzieć na pewno, co właściwie zaśpiewała.

Trzydzieści dziewięć lat minęło od chwili, kiedy życie witało Szopena melodiami piosenek i tańców polskich; żegnało go teraz zalewając harmonijną falą dźwięków, które ukochał.

Jeszcze dwa dni przeżyje. 16 października pragnie widzieć przy sobie wszystkich przyjaciół i dla każdego znajduje uprzejme słowa; do księżnej Czartoryskiej i panny Gavard mówi: „Będziecie grywały razem, myśląc o mnie, a ja będę was słyszał“.

Stopniowo gaśnie świadomość, ale chory stara się coś jeszcze powiedzieć. Pomimo wysiłków nikt nie może zrozumieć, czego pragnie. Fryderyk ma przed oczyma srebrny puchar z ziemią, słyszy słowa pożegnalnej pieśni. Zrozumiano nareszcie, że prosi o ołówek. Z wielkim trudem kreśli te słowa: „Ponieważ ziemia ma mnie przywalić, zaklinam was, abyście kazali otworzyć moje ciało, żebym nie został żywcem pogrzebany“.

Wkrótce potem zapada w półsen. Przed wieczorem odzyskuje trochę głosu i dysponuje, żeby wszystkie notatki zostały spalone, prócz szkicu metody fortepianowej: może oddać usługi tym, którym ją poleca, tj. Alkanowi i Reberowi.

Noc wlecze się bez końca. Fryderyk nie oddycha już prawie. Ksiądz Jełowicki wraz z obecnymi odmawia klęcząc modlitwy za konających. Pochylone nad łóżkiem Ludwika i księżna Czartoryska wpatrują się w każdy ruch umierającego Szopena. Gutman poi go co chwila wodą, zwilża mu czoło. „Drogi przyjacielu“... — szepce Fryderyk do niego i uśmiecha się słodko, przez mgnienie oka...

O 1-ej w nocy doktor pyta go, czy cierpi bardzo. Szopen odpowiada jednym jedynym słowem: „P l u s“. Już nie.

To jego ostatnie słowo. Wkrótce potem przestaje żyć.

Jest godzina druga w nocy z 16 na 17 października roku 1849.

. . . . . .

Życzeniu jego stało się zadość: obietnice spełniono. Ciało Szopena zostało otwarte, a serce przeniesione do Warszawy, gdzie spoczywa w kościele Św. Krzyża. Miłosierne i kochające ręce przyjaciół rzuciły na trumnę jego w chwili złożenia do grobu na

Pêre Lachaise w Paryżu garść ziemi polskiej, ofiarowanej mu przed 19-tu laty.

W szufladach mebli w mieszkaniu Fryderyka znaleziono prócz notatek muzycznych sporo przepisów i recept lekarskich na kaszel, na wstrzymanie krwotoków: oznaki cierpienia i choroby. I jeszcze znaleziono wstążkę Konstancji i różę Marii wraz z listami Wodzińskich w paczce z napisem *„Moja Bieda"*: smutne pamiątki po zrujnowanych marzeniach. Poza tym było tam trochę zgniecionych listów i nic więcej.

Ale tęsknota całego świata kołysała się już na falach jego melodii, dźwięków, które z jego duszy wypłynęły, muzyki, która była kwiatem upajającym jego życia i męki.

Szopen żyć będzie zawsze. Przed 39 laty Bóg dał go Polsce, a teraz Polska ofiarowywała ten dar bezcenny światu. Dając fortepianowi głos nieskończoności, a sobie samemu własną tragedię, sięgając przez mękę każdego dnia i godziny w nieskończoność, za pomocą swoich niebiańskich melodii umożliwił on wszystkim tęsknym, romantycznym i miłującym duszom odnalezienie tej prawdy, która była milczącym i tajemnym prawem jego żywota.

Nie ma zwycięstwa bez wyrzeczenia, nie ma zdobyczy bez cierpienia.

Oto płonie ŻAL Szopenowski, jak święty ogień na ołtarzu miłości i męki tych dwóch wieczystych rytmów, które żywią *Serce Świata.*

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA NARODOWY BIBLIOTEKA
Stowarzyszenia Z.A.I.K. I.F.C.

NINO SALVANESCHI

ŻAL SZOPENOWSKI

PRZEKŁAD I OPRACOWANIE
EWELINY RADOMSKIEJ



NAKŁADEM TRZASKI, EVERT
WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 13. GMACH

